

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVIII.

ROK XII.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Listopada 1887 r.

PAMIĘTNIKI BEUSTA.

Aus drei Viertel Jahrhunderten. Erinnerungen und Aufzeichnungen von Friedrich Graf von Beust. Stuttgart. 1887.

Zmarły przed kilku miesiącami, długoletni kierownik polityki saskiéj, następnie kanclerz cesarstwa austryackiego, zapisał się mimo wszelkich niepowodzeń, jakie jego akcya spotykała, zbyt jaskrawo w poczet przeciwników wszechwładnego kanclerza prusko-niemieckiego, aby wiadomość o istnieniu i wydawnictwie jego pamiętników nie miała wywołać pewnego zaciekawienia pośród publicystyki europejskiéj. Beust i Bismark byli przez całe życie reprezentantami zasadniczo odmiennych idei politycznych, wręcz przeciwbiegunowych stanowisk, z których każde, bez względu na sukces czy klęskę, ma swą racyą bytu, swe historyczne, społeczne i polityczne uprawnienie. Beust był, a przynajmniéj chciał być w Niemczech i organizacyi ich politycznéj wyrazem łączności narodowéj, na podstawie *federacyjnéj*. Bismarck stał się twórcą jedności niemieckiéj na podstawie militarnéj i administracyjnéj centralizacyi, wprowadzonéj w życie przez podbój pruski. Jeżeli Bismarkowa idea zatryumfowała obecnie, jeżeli jest chwilowo górą, któż nam ręczy, że wytwór jéj jest trwałym, że po różnych nie przeczuwanych dzisiaj przejściach, nie przyjdzie jeszcze kiedyś kolej na ideę Beusta mającą, cokolwiekbądź kto powie, swą racyą bytu, zapisaną w historyi i charakterze narodu niemieckiego, przyszłość w potrzebach jego społecznych i ekonomicznych. Jedna idea tedy, by mówić językiem powszednim, warta drugiéj. Inne pytanie natomiast, czy reprezentant idei federacyjnéj wart reprezentanta idei centralistycznéj, a tutaj to nasuwają się mimo wszelkich sympatyi, jakie wyznajemy dla pierwszéj, mocne wątpliwości, którym niepo-

śledniego właśnie materyału dostarczają *Pamiętniki Beusta*. Jeżeli reprezentant idei centralistycznéj stanął w postaci „żelaznego kanclerza“, przeprowadzającego swą tezę krwią i żelazem, bez wyboru w środkach; jeżeli niemiecką jedność oparł po prostu o gotowy organizm pruski, jeźli, krótko powiedziawszy, Niemcy sprusaczył,— przypadała reprezentantowi idei przeciwnéj rola w swoim rodzaju piękniejsza, humanitarno-polityczna, rola obywatela niemieckiego, broniącego własne społeczeństwo od moralnéj i politycznéj asfiksyi, broniącego choćby samoż społeczeństwo pruskie od następstw, jakie na nie przez robotę własnemi rękami spełnioną, prędzéj czy późniéj całym ciężarem spadły. Na odegranie takiéj wdzięcznéj, ale trudnéj roli, trzeba jednak było najsamprzód zupełnéj jéj świadomości ze strony tego, kto ją podejmował; trzeba było daléj, aby sam był mężem równie śpiżowego odlewu, jak jego przeciwnik. Czy tak mogło być, czy mąż reprezentujący ideę federalistyczną, ideę wolności w jedności niemieckiéj, mógł rozporządzać takiemi samemi, jak przeciwnik jego środkami materyalnemi, czy mógł rządzić się w akcyi swéj politycznéj podobną jemu bezwzględnością moralną, — może być rzeczą wątpliwą. Co niewątpliwa natomiast, to, że wobec reprezentanta idei centralistycznéj, wobec organizacyi stalowéj fizycznie i psychicznie, stanął jako reprezentant idei federalistycznéj człowiek niewątpliwie wysokiéj inteligencyi, porywów i dążeń idealnych, nie bez ambicyi daleko sięgającéj nawet, ale politycznie i towarzysko raczéj zabłąkany anachronicznie w dzisiejsze czasy, kawaler XVIII wieku i dworu Ludwika XV, aniżeli twardy i bezwzględny mąż stanu, przeznaczony na odegranie trudnéj roli adwersarza żelaznego kanclerza. Rozpatrując się w znaném przecież i zkądinąd życiu Beusta, rozczytując się w jego stwierdzających dawniejsze wrażenia pamiętnikach, odtwarzamy sobie bez trudu w całéj wierności postać efemerycznego kanclerza austryackiego. Raczéj dyplomata dawnéj daty, aniżeli Niemiec drugiéj połowy XIX wieku; przy większéj uczciwości prywatnéj, większéj pilności, wyższém ukształceniu fachowém, wielce podobny do swego poprzednika Metternicha. To samo lubowanie się w przyjemnościach życia, a nadewszystko w otoczeniu niewieściém; mniéj więcéj ten sam kierunek wykształcenia, ten sam osobnego rodzaju talent pisarski, to samo zamiłowanie we wszelkim artyzmie, ta sama miłość własna w popisywaniu się depeszami i notami własnéj ręki, specyminami własnéj wymowy. Kto czyta „pamiętniki“ Beusta, kto się co chwila w nich spotyka nie tylko już z depeszami politycznéj treści, z mowami autora, ale co więcéj z jego po francusku przykrojonemi *bons mots*, z jego dowcipami niemieckiemi, z jego

wierszami francuskiemi, przy najrozmaitszych sposobnościach, na cześć czy to pięknych dam, czy uprzejmych gospodarzy domu, temu mimowolnie staje na myśli bądź to książę de Ligne ze swemi konceptami o kongresie wiedeńskim: *„le congrès danse, mais il ne marche pas“*, bądź książę Pückler-Muskau ze swemi polującemi na efekt frazesami i pomysłami w *Tutolasso's Wanderungen*. Nie powiemy wprawdzie o Beuście tego, co swego czasu miał powiedzieć Napoleon III o Bismarku: *„c'est un homme d'esprit, mais ce n'est pas un homme serieux“*,—ale, co pewna, to, że czytając zapiski Beusta, czuje się z żalem, mimowolnie, iż nie *téj* miary, ani *tych* kształtów człowiek był zdolny stanąć przeszkodą na drodze późniejszemu kanclerzowi niemieckiemu.

Od powyższéj, wysnuwającéj się samą treścią i naturą rzeczy z przeczytanych pamiętników charakterystyki autora, przejdźmy do charakterystyki dzieła. Nie powiemy, aby ono miało szczególną wartość, jako dzieło pióra. Być może, iż to nie ze wszystkiém wina autora, którego śmierć wśród pisania pamiętników zaskoczyła, a który dla tego nie miał czasu i sposobności wprawić je w należyty ład, przyłożyć do nich ostatniéj ręki. Ztąd to spotykamy się w tych zapiskach z przerywającemi często w bardzo nieprzyjemny sposób tok opowiadania memoryałami, depeszami, listami, mowami treści politycznéj ; ztąd daléj znajdujemy w nich niejednokrotnie powtarzanie już opowiedzianych wyżéj rzeczy ; ztąd wreszcie anachroniczne przekładanie wypadków. Dowodem tego choćby tylko szeroki ustęp poświęcony wypadkom r. 1866 i genezie negocyacyi Nikolsburskich wśród saméj pełni wydarzeń wojny prusko-francuzkiéj z lat 1870 i 1871. Czyż pominąć milczeniem wśród téj ogólnéj charakterystyki pamiętników i autora, jeunę jeszcze uwydatniającą je cechę? Jest nią, jak dość naturalnie, pewna niechęć i gorycz do ks. kanclerza niemieckiego, uznanie dla jego politycznego geniuszu połączone z mniejszém uznaniem dla jego charaktaru, słowności, szlachetności i dobréj wiary. Usposobienie autora dla ks. Bismarka przebija się od początku do końca w całych pamiętnikach, znajduje poparcie w licznych opowiadanych o nim anegdotach. Pierwsze zaraz między obu późniejszymi przeciwnikami spotkanie miało się upamiętnić nie bez znaczenia rozmową. Odbyło się ono w grudniu 1848 w Berlinie, w mieszkaniu Savigny'ego, dawniéj posła pruskiego w Dreźnie. Było to właśnie po zajęciu Wiednia przez księcia Windischgraetza, pod świeżém wrażeniem egzekucyi Roberta Bluma. Savigny przygotował Beusta na obecność w swym domu gościa, którym jest „znany mu zapewnie ze swych wystąpień w tak zwanym połączonym sejmie pruskim z r. 1847 p. Bismark z Schönhausen.“

Wkrótce też „wyszedł do gospodarza domu i Beusta ów gość, przybrany w szlafrok z długą fajką w ustach.“ Rozmowa weszła odrazu na przedmiot wypadków wiedeńskich i egzekucyi Bluma. Beust biorąc w opiekę poddanego saskiego, Bluma, argumentował logicznie i obszernie, że spełnienie wyroku śmierci na nim, było ze strony zwycięskiéj reakcyi austryackiéj wielkim politycznym błędem. Na to odparł Bismark: „Zupełnie fałszywe rozumowanie; skoro mam nieprzyjaciela w mojéj mocy, powinienem go zniszczyć.“ „Wyrzeczenie to—dodaje Beust—przychodziło mi późniéj często na myśl.“ Postępowanie z Hannowerem, Hessyą i samąż Austryą; zachowanie się względem niego, Beusta, osobiste i polityczne; publikacye Buscha i Poschingera, które autor uważa za szczyt niedelikatności i niedyskrecyi względem monarchów niemieckich i kolegujących swego czasu z Bismarkiem w bundestagu frankfurckim ich reprezentantów,—wszystko to razem składa się w pamiętnikach Beusta na niekoniecznie zaszczytne i dodatnie dla ks. kanclerza niemieckiego świadectwo, przenika goryczą całe pamiętniki, goryczą, którą frazesy uznania dla akcyi jego politycznéj niekoniecznie i niezawsze łagodzą.

A teraz, zapisawszy ogólne spostrzeżenia nad stanowiskiem i charakterem pamiętników, uczynimy pono najlepiéj, chcąc zapoznać czytelników naszych z ich treścią, jeżeli zdamy pokrótce sprawę według własnego ich chronologicznego porządku.

Autor rozpoczyna swe opowiadanie z r. 1809, w którym przyszedł na świat jako nowe ogniwo jednego z najdawniejszych i najzasłużeńszych w dziejach Saksonii rodów. Pierwsze jego wspomnienia trącają o świeże bardzo tradycye pobytu Napoleona w Saksonii, o bitwę Lipską, któréj jako dziecko był naocznym świadkiem, przebywając naówczas wraz z matką w pobliskiéj polu bitwy dziedzicznéj włości Zöpen. Już od téj, powiedzielibyśmy, chwili rozpoczyna się w jego życiu i poglądach ów polityczny antagonizm z borusyzmem i borusomanią, pretendującemi do monopolu patryotyzmu niemieckiego wobec „dziedzicznego wroga“—francuza. Według wspomnień Beusta, nie był Napoleon wcale lubiony w Saksonii mimo politycznego z nią przymierza. Przyczyniała się do tego jego szorstkość osobista i bezceremonialność postępowania z damami pierwszego towarzystwa. Patryotyzm niemiecki w Saksonii był według Beusta nie mniéj żywy, aniżeli w całych Niemczech a w szczególności w Prusiech. Zwycięstwo Napoleona pod Jeną nie pozostawiało przecież Saksonii wyboru, nakazywało jéj liczyć się z okolicznościami, co nawet sam, uciekający z pola bitwy król pruski i jego generałowie ówczesnemu elektorowi zalecali. Trzeba było

dopiéro późniejszéj, korzystającéj z tego spekulacyi politycznéj, trzeba było niegodnie stronniczéj historyografii, na czele któréj widzimy figurującego niezrównanego w swoim rodzaju profesora uniwersytetu berlińskiego, Henryka Treitschkego, aby z zachowania się ówczesnego Saksonii ukręcić sobie argument przeciw egzystencyi małych państw niemieckich, akt oskarżenia przeciw rzekomemu wiarołomstwu późniejszego króla Fryderyka Augusta, zużytkować wszystko to razem wreszcie jako racyą tłómaczącą i uzasadniającą całe późniejsze postępowanie i anneksye pruskie.

Z czasów młodości Beusta, jego wychowania i karyery szkolnéj, dość wspomnieć, że po złożeniu egzaminów szkolnych, po studyach uniwersyteckich odbytych w Lipsku i Getyndze, młody Beust podejrzany nieco o liberalny sposób myślenia, nie mógł liczyć na szczególną protekcyą będącego u steru rządów Saksonii za królów Fryderyka Augusta i Antoniego, hr. Einsiedel. Zmiana dopiéro rzeczy, jaka nastąpiła wskutek wypadków r. 1830, otworzyła Beustowi podwoje karyery urzędowéj. Wstępuje w nią jako pracownik najprzód w jednym z wydziałów administracyjnych, następnie przechodzi do dyplomacyi, odbywając pierwsze swe w niéj próby w charakterze sekretarza różnych ambasad saskich, w Berlinie, w Londynie, Wiedniu. Wyborna to szkoła, która go zapoznawała ze stolicami europejskiemi, z ludźmi, z biegiem spraw politycznych, jakkolwiek w pamiętnikach ani zbyt szerokiego nie zajmująca miejsca, ani zbyt interesująco opowiedziana. Na szerszą i samodzielniejszéj akcyi widownią miały go dopiéro wyprowadzić wypadki roku 1848. Rewolucya Lutowa, następujące tuż po niéj zaburzenia w Niemczech i w ojczystéj Saksonii zastały go w Londynie. Powróciwszy do Drezna, znalazł już stan rzeczy doszczętnie zmienionym, Niemcy ogarnione unifikacyjnym prądem barwy demokratycznéj, zajęte wyborami do tak zwanego zgromadzenia narodowego frankfurckiego w kościele św. Pawła. Nie tutaj miejsce opowiadać jaskrawe i dziwaczne dzieje r. 1848 na widowni niemieckiéj; dwukrotne ekspedycye demokratów niemieckich z Szwajcaryi w Badeńskie, wybuch październikowy wiedeński z egzekucyą Roberta Bluma. Wypadkiem kulminacyjnym, nie mniéj we wszystkich tych przejściach, jak w zawodzie samegoż Beusta, jest powzięta w marcu 1849 uchwała narodowego zgromadzenia frankfurckiego, ustanawiająca tak zwane prawa zasadnicze *(Grundrechte)* narodu niemieckiego, nakładająca wszystkim rządom niemieckim obowiązek wprowadzenia ich u siebie w życie. Prusy odpowiedziały na tę uchwałę protestem i odwołaniem swych reprezentantów z frankfurckiego zgromadzenia. Takiż sam protest, powtórzony przez inne

państwa niemieckie, stał się hasłem gwałtownych wybuchów w Badeńskiém, w Palatynacie bawarskim, wreszcie w Saksonii. Wobec groźnéj sytuacyi, powołał Fryderyk August saski do boku swego tryumwirat składający się z Beusta, d-ra Zschinsky'ego i generała Rabenhorsta, tryumwirat, którego pierwszy był duszą i przewodnikiem. Szczegóły, jakie w pamiętnikach znajdujemy o tych „dniach majowych roku 1849“ w Dreznie, są wielce interesujące, a niezawodnéj ich autentyczności wierzymy najzupełniéj, jakkolwiek spotykamy się tamże z niemałą dozą uznania, którego autor nie szczędzi sobie samemu. Za jego to poradą, gdy już Stare-Miasto jeżyło się barykadami, wzniesionemi umiejętną ręką nadwornego architekta, kiedy załoga zamkowa zamieniała już strzały z powstańcami, udał się król wraz z otaczającą go rodziną pieszo za most na Elbie, gdzie go czekał statek parowy, który go miał przewieść na bezpieczne schronienie do Königsteinu. Odwiózłszy króla na Königstein, powrócił tryumwirat do Drezna na Nowe-Miasto, znajdujące się nieprzerwanie w posiadaniu wojsk królewskich, kiedy Stare-Miasto aż do mostu było opanowane przez powstańców i ulegało rozkazom rządu tymczasowego, którego duszą był—Bakunin. Tutaj to, odpoczywając niekiedy na słomie w jednéj z izb wielkiego odwachu Nowego-Miasta, oczekiwali ministrowie nadejścia posiłków pruskich, aby módz rozpocząć kroki zaczepne przeciw powstaniu. Upragniona chwila nadeszła. Po czterech dniach uporczywego boju, odniosła nareszcie zwycięstwo przewaga regularnéj siły wojskowéj nad waleczną niekiedy, ale niedyscyplinowaną ruchawką, a dnia 9 maja święcił rząd królewski restauracyą swą na bruku drezdeńskim. Z opisu dni tych, przemilczającego, nawiasowo powiedziawszy, niesłychane okrucieństwa, jakiemi zwycięski żołnierz najniepotrzebniéj zwycięstwo swe splamił, zasługują na wzmiankę dwa szczegóły, raczéj jaskrawo zaciekawiające, aniżeli ważne. Pierwszy dotyczy osoby Ryszarda Wagnera, ówczesnego dyrektora orkiestry królewskiéj, twórcy muzyki przyszłości. Znakomity muzyk poszedł walczyć na barykady. Nie dość na tém, zarzucał rewolucyjny rząd tymczasowy najrozmaitszemi pomysłami obrony Drezna. Beust, sam artysta, meloman, wyrobił mu późniéj amnestyą i pozwolenie powrotu do Saksonii. Wagner poszedł dziękować Beustowi, ale zarazem tłomaczyć się i zaręczać niewinność w sprawie powstania majowego. „Nie zapominaj, panie Wagner — odparł na to zimno minister—że mamy w aktach list twój, w którym podajesz plan spalenia zamku królewskiego i innych gmachów rządowych.“ Naturalnie, zamilkł muzyk przyszłości na takie *dictum acerbum*. Drugi z tejże saméj epoki szczegół tyczy jego własnéj osoby, a wychodzi

na zaszczyt majowych powstańców drezdeńskich, zwłaszcza w porównaniu z *innymi*, późniejszymi nieprzyjaciołmi Beusta. Po opanowaniu miasta przez powstańców, wysłał rząd tymczasowy ich oddział na odbycie rewizyi papierów i przetrząśnienie mieszkania Beusta. Papiery były zawczasu już usunione, rewizya nie mogła mieć żadnego rezultatu, a odwiedziny rewolucyonistów w mieszkaniu ministra skończyły się bardzo względnie,—na zabraniu jednego biletu wizytowego i odkrojeniu kawałka aksamitnéj portiery. „Nie tak łaskawie,“ dodaje Beust, „obeszli się z moją willą w Laubegast pod Dreznem Prusacy w roku 1866, niszcząc dom i mszcząc się na niewinnych meblach.“ Przy téj sposobności dodaje jednakże, iż jest jego przekonaniem, jako dzieło zniszczenia nie było nakazaném z góry.

Wracając do zgniecionego powstania drezdeńskiego, powiédzmy, iż Beust niemałą sobie ztąd robi zasługę, iż za jego staraniem żaden wyrok śmierci nie był wykonanym, że wszyscy skazani doczekali się po kilku latach amnestyi, że najoporniejszy z nich, muzyk Röckel, uzyskał ją także nareszcie w r. 1861. Najważniejszém przecież następstwem pogromu rewolucyi było, że Beust wyszedł zeń wszechwładnym, kierującym nawą Saksonii ministrem, że równocześnie z tém stanowiskiem rozpoczyna się jego działalność i pretensya, sięgajaca szeroko i daleko poza granice maleńkiéj ojczyzny. Beustowi istotnie za małą odtąd Saksonia, sięga na szerszą widownię a pierwszą i bezpośrednią tego sposobnością staje się słynny swego czasu zatarg między Austryą i odbudowującemi związek frankfurcki małemi państwami niemieckiemi a Prusami, usiłującemi pod romantyczném kierownictwem Fryderyka Wilhelma IV i męża jego osobistego zaufania, generała Radowitza, ocalić jeszcze z powodzi r. 1848 jakąś w Niemczech supremacyą. Saksonia z Beustem na czele, znalazła się w tym zatargu po stronie Austryi i restauratorów związku niemieckiego. Historyczny przebieg tego zatargu znany aż nazbyt dobrze. Prusy zmobilizowały swą armią i stanęły w obronie złamanéj konstytucyi heskiéj, swéj supremacyi niemieckiéj i niezależnego stanowiska księstw zaelbiańskich. W przededniu jednakże niemal samym mającéj się rozpocząć akcyi (w końcu października 1850), wysłał Fryderyk Wilhelm IV do Warszawy, gdzie bawił właśnie cesarz Mikołaj, w specyalnéj misyi, generała hr. Brandenburga. Rozmowa, jaką pruski wysłannik miał z cesarzem rosyjskim, nie pozostawiała Prusom najmniejszych iluzyi. Rosya zapowiadała stanąć po stronie Austryi i restauracyi *bundestagowéj* w razie, gdyby Prusy rozpoczęły akcyą wojenną. Generał Brandenburg uczuł się podobną odpowiedzią cesarza do tego stopnia

dotkniętym, że tuż za powrotem swym do Berlina życie zakończył. Prusy, zagrożone postawą Rosyi, uważały za rzecz tém mniéj wykonalną popierać siłą swój niemiecki program, że znajdowały się w stanie najzupełniejszego wojskowego nieprzygotowania. W takich to okolicznościach nastąpiła po raczéj śmieszném, aniżeli krwawém spotkaniu pod Bronzell między placówkami austryackiemi a pruskiemi, znana ugoda Ołomuniecka, w któréj Prusy, reprezentowane przez barona Manteuffla, podpisały się *sans phrase* na przywrócenie stanu z przed r. 1848 i restauracyą związku niemieckiego. W ocenieniu tego wypadku różni się Beust mocno od wszystkich publicystów i historyków pruskich. W ich oczach uchodzi „Ołomuniec" dotąd za szczyt upokorzenia, za synonim hańby pruskiéj, za pomnikowy objaw sukcesu austryackiego. Wręcz inaczéj Beust. Według jego zaręczenia, przyznawali wszyscy wojskowi pruscy, przyznawał sam Bismark, że Prusacy nie byliby wówczas żadną miarą mogli przeszkodzić wkroczeniu Austryaków i ich niemieckich sprzymierzeńców do Berlina, że więc zdrowy rozsądek nakazywał ustąpić, a że Manteufflowi udało się ów odwrót okupić nader tanim kosztem. Przeciwnie uważa, że jeżeli w konferencyach ołomunieckich był wyprowadzony kto w pole, to ks. Feliks Schwarzenberg, który wypuścił z rąk sposobność niewątpliwego pogromu Prus i zabezpieczenia Austryi i federacyi niemieckiéj spokoju przynajmniéj na jakie lat trzydzieści. Cokolwiekbądź, był przecież powrót do dawnego stanu rzeczy rezultatem stypulacyi Ołomunieckich a Beust znalazł się od r. 1851 kolegą p. Bismarka jako reprezentanta Prus w składzie rady związkowéj niemieckiéj frankfurckiéj. Z téj téż epoki datują się przeważnie owe rewelacye, które „stanowią główną okrasę publikacyi Poschingera o Bismarku w *Bundestagu* frankfurckim a które dzisiejszy kanclerz niemiecki pozwolił usłużnemu publicyście ogłosić, zapominając o obowiązkach dyskrecyi dla innych, pamiętając o nich zanadto dla siebie. Beust kładzie na taki charakter owéj téj publikacyi wyraźny przycisk, czyniąc zań nierównie więcéj odpowiedzialnym wielkiego i bezceremonialnego pryncypała, aniżeli słuchającego jego rozkazów wydawcę. Mianowicie przeczy Beust stanowczo, aby było prawdą, co się w sprawozdaniach ówczesnego reprezentanta pruskiego przy *Bundestagu* na każdéj niemal stronnicy napotyka, aby Austrya majoryzowała Prusy i małe państwa niemieckie, aby reprezentant jéj, czy to Buol, czy Münch von Bellinghausen wywierali jakibądź przymusowy nacisk na postanowienia ich reprezentantów w radzie związkowéj. Przeciwnie, stwierdza Beust, że reprezentant pruski raczéj narzucał Austryi z pewną złą wiarą podobną rolę, że starał się rozdrażniać przeciw niéj usposo-

bienie mniejszych państw niemieckich, że dążność ta objawiła się mianowicie w r. 1852 wobec kwestyi przedłużenia związku celnego niemieckiego. Wspomnieliśmy wyżéj, jak Beustowi Saksonia była za małą, jak z jéj poziomu usiłował wyjrzéć na szerszą widownię wielkiéj polityki europejskiéj, jak podstawą, z któréj owemu dążeniu starał się dać praktyczny wyraz, była dlań rada związkowa niemiecka. Zobaczymy jeszcze, jak z téj podstawy korzystał w sprawie wschodniéj; późniéj w sprawie niemieckiéj z r. 1863, w sprawie włoskiéj z r. 1859 i szlewicko-holsztyńskiéj z r. 1864. Na tymczasem zaś niezupełnie może nieciekawym jako prolog udziału jego w sprawie wschodniéj będzie epizod spotkania się jego z cesarzem Mikołajem w Dreznie r. 1852. „Cesarz Mikołaj“, mówi Beust, „stanął, przybywając z Wiednia, rychłym wieczorem w Dreznie a dnia następnego puścił się w dalszę drogę do Warszawy, odwiedziwszy poprzednio kr. Fryderyka Augusta w jego villi Weinbergu i udzieliwszy mi posłuchania. Cesarz zatrzymał się u swego posła; tam zaprowadzono mnie do jego gabinetu pracy, dokąd téż zaraz po mnie wszedł cesarz. Słyszałem wprawdzie zbyt wiele o jego osobistości, aby widząc go, spodziewać się wszystkiego raczéj, aniżeli widoku jakiegoś groźnego autokraty. Swobodna jednakże i pełna dystynkcyi uprzejmość, z jaką mnie powitał, przewyższała wszystko, na co byłem przygotowany. Kilku dla méj osoby uprzejmemi wyrazami poprosił mnie siedziéć, a puścił mnie dopiero po półgodzinie, rozmówiwszy się ze mną o rozmaitych, granice Saksonii daleko za sobą pozostawiających przedmiotach. Mogę powiedziéć, że trudno mi pomyśléć sobie więcéj ujmującéj postaci, aniżeli nią była postać cesarza Mikołaja, gdy podniósł wielkie, niebieskie, tak jasno i pewno patrzące oczy. Cesarz mówił o swym pobycie w Wiedniu i swéj przyjaźni dla cesarza Franciszka Józefa, którego niejednokrotnie nazywał *ce cher empereur*. Mniéj zadowolnienia okazywało jego wyrażenie się o królu Fryderyku Wilhelmie IV. „Widzisz pan“, mówił, „z moim szwagrem Pruskim nie mówię już o polityce. Jego pojęcia górują tak dalece nademną, że uważam się za niedołężnika obok niego.“ Nie mogę jednakże zapomniéć naszéj rozmowy o ówczesnéj palącéj kwestyi. Zamach stanu we Francyi został uwieńczony powodzeniem a wystąpiła na jaw, jakkolwiek jeszcze z pewną powściągliwością, kwestya cesarstwa, cesarz Mikołaj powiedział. „Ludwik Napoleon uczynił się prezydentem, zrobi się cesarzem. Dobrze, *jego* uznamy, ale *dynastyi* nigdy.“ Pozwoliłem sobie wypowiedziéć zdanie odmienne. Dla zasady monarchicznéj, zauważyłem, zdaje mi się przeciwnie być rzeczą ważną, jeźli się położy nacisk na to, iż nie pierwszy lepszy może się ogłaszać cesarzem.

Jest lepiéj, mówiłem, jeżeli podobna osobistość może wykazać dynastyczny początek, jak się to dzieje z księciem Ludwikiem Napoleonem, a dla tego jest mi téż „Napoleon III“ pożądańszym, aniżeli „Ludwik Napoleon“. Cesarz nie pozwolił się przekonać. Gdyby mi się to było udało, jakże inny obrót byłyby rzeczy wzięły“. Kwestya „*bon frère*“ nie byłaby natenczas miała podstawy a bez téj kwestyi nie byłoby wojny krymskiéj. Dwa razy dałem Rosyi radę, która złą nie była, pierwszą co do owego *bon frère*, drugą w sprawie morza Czarnego. Nie zważano na nią a dziękowano tém mniéj jeszcze.“

Tak to nastąpił w r. 1853 wybuch wojny wschodniéj, któréj przebieg sprawozdanie nasze do tyla obchodzić tylko może, o ile Beustowi pewną rolę wśród niego odgrywać przyszło. Smutnym, nie mającym nic wspólnego ze sprawą téj wojny wypadkiem, był niespodziany zgon króla saskiego Fryderyka Augusta w górach Tyrolu w lipcu 1854. Beust zaszczycony zaufaniem zmarłego króla, wyniesiony przezeń na pierwszorzędne stanowisko, wziął sobie śmierć swego monarchy głęboko do serca, domagał się jako osobnego dla siebie zaszczytu straży nad jego zwłokami, przeprowadził je na miejsce ostatniego spoczynku do Drezna. W urzędowém stanowisku Beusta nie sprowadziła jednakże śmierć królewska żadnéj zmiany. Zachował godność pierwszego ministra saskiego, męża osobistego zaufania i pod królem Janem. Równocześnie dała mu wojna wschodnia sposobność wyjrzéć z małego zakątka saskiego na szerszą widownię wielkiéj polityki europejskiéj. Tutaj zauważyć przedewszystkiém należy, że czy to z powodu wrażeń, jakie na nim sprawiła osoba cesarza Mikołaja, czy téż z powodu wystąpienia Rosyi przeciw Prusom w r. 1850, sympatye ministra saskiego w ciągu téj wojny były stanowczo po stronie Rosyi a objawiły się na korzyść jéj niezupełnie bezskutecznie. Mianowicie uwidoczniło się to wobec noty, jaką w ciągu r. 1854 wystosował minister spraw zagranicznych angielski, lord Clarendon, do związku niemieckiego, żądając, aby ówczesne Niemcy zamieniły swe stanowisko neutralności na udział w wojnie przeciw Rosyi. Beust wziął na siebie w imieniu związku niemieckiego obowiązek odpowiedzi na angielską notę i wyprawił ze swéj strony pod nazwą Bamberskiéj *noty* do lorda Clarendona pismo, które zachowując wszelkie względy zewnętrznéj przyzwoitości, zawierało w gruncie rzeczy nader szorstką odprawę pretensyi angielskich. O téj nocie wyraził się nawet późniejszy kanclerz niemiecki z wszelkiem uznaniem, żałując tylko, że „Saksonia jest zbyt małą, aby wolę swoję módz siłą przeprowadzić.“ Nadto widzimy Beusta, podczas całego trwania wojny krymskiéj, w żywéj a przychylnéj Rosyi korespondencyi z kanclerzem Nesselrodem, posłem

rosyjskim w Wiedniu hr. Budbergiem. Znana wreszcie rola, jaką odegrał w pośredniczeniu pokoju między Rosyą a zachodniemi mocarstwami baron Seebach, poseł saski w Paryżu. Beust przypisuje sobie zasługę téj dyplomatycznéj akcyi, powołując się na korespondencyą i instrukcye, które ku jéj spełnieniu Seebachowi przesyłał. W r. 1856 przyszedł tedy do skutku pokój paryski, kończący trzechletnie blisko zapasy Rosyi z Portą Ottomańską, obu wielkiemi mocarstwami zachodniemi i Piemontem, a nie bez usiłowań Beusta, przynajmniéj według jego własnego przekonania. Dwa lata następne po wojnie wschodniéj, od r. 1856—58, nazywa Beust w swych pamiętnikach „latami wypoczynku" a istotnie widać w tém dwuleciu jakoby mieszaninę epoki Brühla z epoką Metternicha, chęć używania i zabaw, tyle właściwą mężom stanu przeszłego i początków bieżącego wieku, tyle zapominaną a co najwyżéj lekceważoną wśród poważniejszych zajęć i zasępionych humorów naszéj bieżącéj chwili. „Drezno", pisze Beust, „znajdowało się wówczas (1856) w peryodzie towarzyskiego blasku. Znalazła się tam pewna liczba zagranicznych rodzin z wyższych sfer społeczeństwa a w rzędzie dyplomatycznego ciała stanęły dwie osobistości, których nazwiska, wychowanie i majątek przeznaczały na urodzonych reprezentantów wielkich dworów. Hr. Henryk Redern jako reprezentant Prus, książę Ryszard Metternich jako reprezentant Austryi. Odbywające się pod koniec r. 1856 zaślubiny dwóch córek króla (saskiego), księżniczki Małgorzaty z arcyksięciem Karolem Ludwikiem i księżniczki Anny, z następcą tronu toskańskiego, dały powód do świetnych balów u dworu, po których nastąpiły bale u mnie, u księcia Metternicha, i u nadzwyczajnego posła toskańskiego, księcia Corsiniego. Ten ostatni pozostawił w méj pamięci trwałe miejsce. Był on od stóp do głów żywém wcieleniem *grand-seigneura*. Na nim jednym zrobiłem spostrzeżenie, że można naraz, i to na krzyż, nosić dwie wielkie wstęgi orderowe. Bal, który dawał w salach *Towarzystwa Harmonii*, był świetny, ale rachunek téż temu odpowiedni. Książę Corsini zapłacił go bez żadnéj uwagi, mówiąc: Mój kochany, zdarłeś mnie po królewsku, robię ci prezent z téj szpilki. A przy téj sposobności ofiarował człowiekowi, przynoszącemu rachunek, kosztowną szpilkę. Książę Corsini był zresztą człowiekiem najprzyjemniejszych form a nie wolno mi téż zapomnieć, że należał do niewielu, którzy w r. 1859 w. księciu wiernymi pozostali. W owych dniach politycznéj ciszy a rozbudzonego życia towarzyskiego nie będzie mi zapewnie poczytano jako wypływ lekkomyślnéj rozpusty, że chwilę tę uważałem za stosowną do wyprawienia balu kostiumowego w moim domu. Udało mi się zebrać nie mniéj, aniżeli trzysta kostiumowa-

nych osób, co, jak na miasto o rozmiarach Drezna, nie jest bez znaczenia. Co przy tém głównie miałem na względzie, to aby trochę pieniędzy między ludność się dostało, powiodło się najzupełniéj. Odbierałem téż za to dowody wdzięczności. Król Jan powiedział, gdy prosiłem o zaszczyt jego obecności: *Przyjdzie mi się zapewnie pokazać jako August III*, aluzya do Brühla, z którym jak rozumiem nie zasługiwałem na porównanie. Naturalnie przyszedł król w mundurze, podobnie jak i następca tronu. Książę Jerzy natomiast uświetnił zabawę, biorąc na siebie rolę Cara w głównym epizodzie, przedstawiającym „Piotra Wielkiego w Saardamie". Ja sam byłem w ostatnim akcie, przedstawiającym ambasadę francuską w Konstantynopolu za czasów Ludwika XIV, ambasadorem, księżna Metternich ambasadorową, sułtanem dobrze znany moim czytelnikom austryackim, hr. Edmund Sichy. Znajdował się wtenczas w pełnym rozkwicie swéj męzkiéj piękności, jasna broda nie wskazywała jeszcze żadnego śladu siwéj przymieszki a ozdoby skarbca familijnego zgadzały się doskonale ze staroztureckim ubiorem. W mowie, którą do sułtana zwróciłem, dopuściłem się pewnych, ryzykownych nieco wycieczek, które zmierzały do pokoju paryskiego, tak że król powiedział do ambasadora francuskiego: *Demain je m'attendrai à une note.* Tenże przecież, zaprzyjaźniony ze mną i drogi mi zawsze baron Fort-Rouen, pojął rzecz z żartobliwéj strony i nie raportował z pewnością słów, które jeszcze sobie z méj przemowy przypominamy. „*Nous garantissons l'indépendance de la Porte, afin de pouvoir Vous y mettre.*" Powyższy ustęp przytaczamy umyślnie, jako niezgorszy przyczynek do charakterystyki autora. Jakże z owego kierownika polityki saskiéj, jakże z owego reprezentanta federalistycznéj idei niemieckiéj przegląda mimowolnie mąż stanu „*de l'ancien régime*", jaki książę Choiseul lub Aiguillon, jaki książę de Ligne, choćby może i książę Metternich z rozbawionéj i roztańcowanéj epoki kongresu wiedeńskiego! Nie takiemu to naturalnie człowiekowi było dano mierzyć się z przeciwnikiem Bismarkowego kroju.

Nie długo zresztą trwały lata owe, które Beust nazywa „latami wypoczynku", lata wypełnione zabawami, dłuższemi lub krótszemi odwiedzinami w Dreznie pierwszorzędnych osobistości. Dobrowolna abdykacya króla pruskiego w październiku 1858, mowa noworoczna 1859 Napoleona do ciała dyplomatycznego, zapowiadająca niewątpliwie już wybuch wojny włoskiéj,—wszystko to przerwało ów spokój a wyprowadza znów skrępowanego szczupłością Saksonii Beusta na widownię wielkiéj akcyi politycznéj w charakterze reprezentanta związku niemieckiego. W miarę wzrastania symptomów wojennych, w miarę zbliżającego się niebezpieczeństwa wybu-

chu wojennego, widzimy Beusta krzątającego się gorliwie około zażegnania go w interesie Austryi. Było to w początku kwietnia 1859 Król Jan przeznaczył mu misyą do Lizbony z powodu małżeństwa. swego syna Jerzego z księżniczką Maryą portugalską. Zbliżająca się wojna udaremniła tę misyą. Natomiast dostał Beust od swego króla, interesowanego mocno w powodzeniu małych dynastów włoskich, mianowicie w. ks. toskańskiego, polecenie udać się kolejno do Paryża i Londynu, starać się u jednego i drugiego dworu o powstrzymanie wymierzonego przeciw Austryi zamachu. Beust obrócił drogę na Monachium, następnie na Frankfurt i Darmstadt, gdzie się spotkał z ministrem heskim Dalwigkiem. Wszędzie znalazł, jak powiada, usposobienie odpowiadające najwierniéj jego własnemu, chęć identyfikowania interesu Niemiec z interesem Austryi we Włoszech. Tak natchniony przybył Beust do Paryża i uzyskał 23 kwietnia posłuchanie u ces. Napoleona. Rozmowa była bardzo długa a Beust zdał z każdego jéj szczegółu sprawę dworowi swemu. Napoleon nie łudził się ani na chwilę co do znaczenia Beustowéj misyi i powitał na samym wstępie ministra saskiego apostrofą: Przybywasz jako nieprzyjaciel, ale widzę, że nie osobisty! Beust nie zaniedbywał w ciągu wywiązującéj się następnie dłuższéj rozmowy niczego, coby było mogło utwierdzić Napoleona w przekonaniu wyrzeczoném na wstępie. Wbrew wszelkim przedstawieniom Napoleona, że zamach jego wymierzony przeciw Austryi nie zawiera żadnéj nieprzyjaznéj intencyi względem związku niemieckiego, że jest jego zamiarem nie naruszać w akcyi przeciw Austryi terytoryum niemieckiego, tłómaczył Beust Napoleonowi, że nie ma Niemca, któryby w obecnym przypadku nie solidaryzował interesu Niemiec z interesem Austryi, a że jeźli wojna potrwa nieco dłużéj, Francya znajdzie całe Niemcy przeciw sobie w obozie austryackim. „Znasz Niemców, najjaśniejszy panie“, mówił, „są powolnymi w powzięciu pewnego postanowienia, ale odkąd uczepili się jakiéj myśli, nie porzucą jéj tak łatwo, a dzisiaj pozór nawet zaczepki ze strony Austryi, nie zmieni nic w ich decyzyi.“ Jeżeli jednakże minister saski był stanowczym i wymownym w obronie swéj tezy, posunęły się rzeczy ze strony cesarza francuskiego zbyt daleko, aby pod wpływem jakichbądź racyi uledz jakiéjbądź zmianie. Posłuchanie skończyło się bez sprowadzenia rezultatu w głównéj sprawie, grzecznem ze strony Napoleona zapytaniem o zdrowie króla saskiego. Napoleon poszedł pod Magentę i Solferino, Beust udał się do Londynu, gdzie u królowéj Wiktoryi, lorda Clarendona, lorda Malmesbury robił równie bezowocne usiłowania na rzecz Austryi. Można nawet na podstawie jego zapisków powiedzieć, że misya jego w Londynie znalazła jeszcze

mniéj powodzenia, aniżeli w Paryżu. Ciekawym mianowicie pozostanie szczegół, że mąż królowéj Wiktoryi, książę Albert, okazywał nie tylko wrogie usposobienie dla Austryi, ale co więcéj, nie taił się wcale z życzeniami zguby dla niéj, by na jéj ruinach w Niemczech mogło wyrość jednoczące je cesarstwo pruskiego autoramentu. Naturalnie, nie mogła wśród podobnych okoliczności misya Beusta nie skończyć się niepowodzeniem. Wrócił tedy najprzód do Frankfurtu, następnie do Drezna, kiedy Francuzi wkraczali do Piemontu i zabierali się do ostatniéj w swych dziejach zwycięskiéj kampanii. Jedyna rzeczywista przysługa, jaką Beust mógł naówczas oddać Austryi, była ostra nota, którą w imieniu związku niemieckiego wyprawił do ks. Gorczakowa, domagającego się, aby Niemcy zachowywały stanowisko neutralności w wojnie między Francyą a Austryą.

Ponieważ Beust w swych pamiętnikach nie powraca już następnie do spraw włoskich, trudniąc się innemi, ważniejszemi dla siebie a bliższemi, pośpieszamy, aby i w naszém sprawozdaniu zakończyć rzecz o „materyale włoskim“, jaki znajdujemy w jego zapiskach, nadmienić następny szczegół, dowodzący, że Napoleon rozpatrzył się dość rychło, choć także już po czasie, w wątpliwych dla Francyi korzyściach emancypacyi Włoch. Jak się zdaje, było na prawdę jego zamiarem utrzymać wyemancypowane połowicznie Włochy w karbach, jakie im zakreślił podpisany w Villafranca pokój. Utworzenie pod bokiem Francyi jednolitéj, silnéj potęgi włoskiéj, wzbudzało jego obawy. Ztąd to, gdy w r. 1860 cały dotychczasowy polityczny organizm włoski począł się kruszyć i rozpadać, gdy księstwa włoskie zaczęły wypędzać swych małych dynastów, a Garibaldi podjął swą akcyą w Sycylii i Neapolu,—wyprawił Napoleon dawnego agenta z epoki wojny wschodniéj, barona Seebacha, w tajnéj misyi do Wiednia z oświadczeniem, iż bynajmniéj nie będzie przeszkadzał, jeżeli Austrya wobec ogarniającéj Włochy anarchii wystąpi ze zbrojną interwencyą i wyjedna praktyczne uznanie stypulacyom pomienionego pokoju. Wychodziło to w gruncie rzeczy na zniszczenie budowy, którą wzniósł własną ręką przed rokiem niespełna; ale Austrya nie miała ani chęci, ani siły, aby dzieło podobnéj restauracyi podejmować, a jedność włoska spełniła się ku szkodzie Francyi.

Następne lata po wojnie włoskiéj, aż do pamiętnego zjazdu cesarza austryackiego i książąt niemieckich we Frankfurcie w r. 1863, nie przedstawiają w zawodzie Beusta nic szczególnie uwagi godnego, jeżeli do kategoryi rzeczy istotnie w jego życiu zaciekawiających nie zaliczymy wymiany nader uprzejmych listów z późniejszym kanclerzem niemieckim, datujących się z roku 1862. Rok na-

stępny miał się zapisać w politycznem życiu Beusta szeregiem nierównie ważniejszych wydarzeń. Pomijamy w nich krótką tylko, niniejszą wzmianką, fakt powstania polskiego, które autorowi dało sposobność wystąpić z pewnemi przedstawieniami wobec Austryi i ująć się za wychodźcami, poszukującymi schronienia na ziemi saskiéj. Ważniejszym za to jest, według własnego jego przekonania udział w sprawie wspomnianego dopiéro co zjazdu frankfurckiego, następnie w sprawie szlezwickiéj. Co się tyczy zjazdu frankfurckiego, zaprzecza Beust, aby był jego inicyatorem, jakkolwiek się nie wypiera, że był oddawna zwolennikiem reformy związku niemieckiego, którego organizm niedołężnie i ciężko funkcyonując, koniecznéj wymagał naprawy. Według niego, wyszła inicyatywa owego zjazdu z Austryi i z gabinetów małych państw południowo-niemieckich. On i król jego nie mieli powodu stronić od dzieła, które zapowiadało naprawę federalistycznéj budowy Niemiec, a które jeżeli nie przyszło do skutku, należy przypisać tylko ambicyi zostających już naówczas pod kierownictwem politycznem Bismarka, Prus. Nie chciały one żadną miarą dopuścić, aby je w dziedzinie jakiejbądź reformy stosunków niemieckich uprzedzić miała Austrya. Charakterystyczniejszą ze stanowiska psychologiczno-politycznego, jeżeli tak wolno powiedziéć, ciekawszą, obfitującą niemal w melodramatyczne motywy była rola odegrana w kilka tygodni późniéj przez Beusta w sprawie *szlezwicko-holsztyńskiéj*. Do takiego zakwalifikowania jego działalności w téj sprawie mamy szczególne powody. Głównego dostarcza nam smutna, nie dająca się zaprzeczyć prawda, do jakiego stopnia duch germański w jakiejbądź postaci i odmianie, czy to w postaci federacyjnéj, reprezentowanéj przez Beusta, czy w kształcie wszechwładztwa państwowego, reprezentowanego przez dzisiejszego kanclerza niemieckiego, skłonny w interesie swych apetytów i aspiracyi nadużywać sofistycznie, wbrew dobréj wierze, argumentów prawa i racyi politycznych. Tak a nie inaczéj działo się w sprawie szlezwicko-holsztyńskiéj, będącéj istnym kamieniem probierczym prawdziwości i szczerości germańskiéj. Sam Beust przyznaje w innym, późniejszym ustępie swych pamiętników, że nie było na świecie lepszego tytułu własności politycznéj nad tytuł prawny króla duńskiego do księstw zaelbiańskich, że nie było lekkomyślniejszego twierdzenia nad podnoszony zbiorowo przez prasę niemiecką zarzut, jakoby kraj ten pod rządami królów Danii był ofiarą jakiegobądź bezprawnego, gwałcącego konstytucyą, ucisku. Mimo to nadużył Beust, idąc za popędem tego, co nazywa patryotyzmem niemieckim, a coby się prawdziwiéj powinno nazywać pożądliwością niemiecką, chcąc ubiedz Prusy w dziele oder-

wania księstw zaelbiańskich od Danii, w nieskąpéj mierze wszystkich tych argumentów, a raczéj posłużył się wszelkiemi wykrętnemi racyami i sofizmami, jakiemi walczyły w téj sprawie, oddawna Prusy i natchniona przez nie publicystyka niemiecka. Nie w innym charakterze, nie z innemi argumentami stanął Beust po śmierci króla duńskiego Fryderyka VII, jako pełnomocnik związku niemieckiego na konferencyi londyńskiéj. Nie można powiedziéć, aby pośród ówczesnych mężów stanu angielskich, nie był miał znaleść usposobienia, na jakie chęć wydarcia królowi duńskiemu księstw zaelbiańskich zasługiwała. Lord Clarendon, Russel, Palmerston przyjęli z oburzeniem pretensye i argumentacye niemieckie, kiedy przeciwnie królowa Wiktorya i jéj niemiecki małżonek okazywali się interesu niemieckiego wiernymi rzecznikami. Wiadomą dobrze rzeczą, jaki obrót wzięły i jak tragicznie się skończyły owe negocyacye dla federacyi niemieckiéj, która przez Beusta wyciągała kasztany z ognia nasamprzód dla koalicyi austryacko-pruskiéj, potém dla Prus samych. Nastąpiła tak zwana egzekucya związkowa w Holsztynie i Szlezwigu, na to jednakże tylko, aby po upływie kilku miesięcy egzekutorowie byli wypędzeni z najechanego domu przez silniejszą wobec nich i Danii egzekucyą prusko-austryacką. Zamiast zamierzonego utworzenia nowego państewka niemieckiego pod rządami „księcia szlezwicko-holsztyńskiego Fryderyka VIII“, skończyło się na okupacyi obu księstw przez spółkę prusko-austryacką, federacya niemiecka poniosła sromotną klęskę, robota Beusta sprawdziła dosłownie sens moralny przysłowia: „że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.“ Stan rzeczy stworzony przez ten zabór, spowodowane wskutek niego położenie w samychże Niemczech,—wszystko to było tego rodzaju, że o warunkach trwałości jego mowy być nie mogło. Stypulacye gasteinskie z r. 1865, dzielące oba księstwa zaelbiańskie, dzielące nadto wpływ niemiecki między Austryą i Prusy, przedstawiały na pierwszy rzut oka stan tak uderzającéj tymczasowości, że sam Beust przewidywał między Austryą a Prusami prędsze czy późniejsze starcie, że zaczął powoli Saksonią i Niemcy przygotowywać na jego ewentualność. Z téj téż epoki datują się owe przygotowania do wojny w Saksonii, powiększenie armii saskiéj, zbrojenie Kőnigsteinu, negocyacye z innemi małemi państwami niemieckiemi. Nie można powiedziéć, aby owa polityka obronna myśli federacyjnéj, któréj duszą był Beust, była sama przez się tak całkiém niezręczną i materyalnie niedołężną. Saksonia stanęła do walki należycie zbrojna i przygotowana, czego nie można powiedziéć o Bawaryi. Natomiast, co jéj się dało szczególnie we znaki, to zbytek skrupulatności patryotycznéj, którym się wcale nie

rządził równocześnie późniejszy ks. Bismark. Beust i federacya niemiecka gorszyli się myślą powoływania obcych mocarstw na pomoc ku rozstrzyganiu losów Niemiec. Zamiast odezwania się do gabinetu paryskiego, któryby w takim razie współdziałania nie był może odmówił, wolała federacya niemiecka z Beustem na czele, liczyć na siły własne i Austryi, kiedy Bismark nie skrupulizował się równocześnie podobną względnością, wchodził z Napoleonem III w stosunki, obiecywał mu nabytki terytoryalne nad Renem i granicą belgijską, kiedy później zawierał przymierze z wrogiemi Austryi, jako związkowemu państwu niemieckiemu, Włochami. Podobny brak skrupułów patryotycznych zaręczał Prusom z góry zwycięstwo, kiedy, przeciwnie, wyznawanie ich po stronie przeciwnéj czyniło jéj klęskę prawie nieuniknioną. Stając wreszcie w swém opowiadaniu przed fatalną datą r. 1866, kreśli Beust dziwnie sympatyczny nekrolog związkowi niemieckiemu frankfurckiemu i reprezentowanemu przezeń federacyjnemu organizmowi Niemiec. Nie występując wyraźnie jako przeciwnik jedności Niemiec i nowoutworzonego cesarstwa, powiada przecież, że przyszłość była niepewna, że jéj nikt odgadnąć nie mógł, że polityka Bismarka stérowała ostatecznie ku przystani niepewnéj, a stworzyła stan gorszego od wojny zbrojnego pokoju, kiedy tyle szarpany, tyle wyszydzany związek niemiecki obdarzył Niemcy trzydziestokilkoletnim pokojem, bezpieczeństwem od wszelkiego zagrożenia obcego, niezrównanym wreszcie dobrobytem, który się dla nich skończył, odkąd dzieło dzisiejszego kanclerza niemieckiego przyszło do skutku.

Uwagi te nie są bezwątpienia pozbawione słuszności, a to, co w téj mierze powiada Beust, ma wszelkie prawo posłużyć za drogocenny materyał do przyszłéj historyi epoki, która dziś znajduje tylko namiętnych i obałamuconych obecnemi sukcesami, krytyków. Wśród takich to okoliczności nastąpił wybuch wojny w roku 1866. Saksonia była należycie, odpowiednio do swych sił i swego obszaru przygotowaną. Aby uniknąć losu, jaki przed 110 laty spotkał armią saską w prologu siedmioletniéj wojny, postanowił Beust wywieźć zawczasu króla z Drezna, wyprowadzić armią do Czech i połączyć ją z armią austryacką. Według opowiadania Beusta, okazywał król Jan wśród tych ciężkich przepraw prawdziwą moc duszy, do pewnego stopnia optymizm, który niestety późniejsze wypadki zawiodły. Tak np. trudnił się jeszcze król o rychłym poranku dnia, w którym stolicę swą i kraj miał opuścić, odrabianiem zwykłych spraw bieżących i dekretowaniem w aktach. Wobec pesymistyczniéj usposobionego Beusta, wyrażał nadzieję, że los wojny obróci się może korzystnie dla koalicyi anti-pruskiéj, a że w takim razie są widoki

odzyskania tego, co Saksonia w roku 1813 straciła. O nieszczęsnym wypadku bitwy pod Sadową dowiedzieli się król Jan i Beust w Pardubicach. Winę przegranéj przypisuje Beust niedołężności, może złéj woli Bawarów, którzy nie stanąwszy, jak uroczyście zaręczyli, w sile 70-tysięcznéj na lewém skrzydle armii austryacko-saskiéj, sprowadzili tém samém jéj klęskę. Wobec tak nieszczęśliwego położenia rzeczy, nie pozostawało biednemu królowi saskiemu i jego ministrowi nic innego do roboty, jak szukać chwilowego schronienia w Wiedniu. Stanęli tam obaj w kilka dni po bitwie, przyjmowani na dworcu kolei żelaznéj przez cesarza Franciszka Józefa, „bledszego — jak Beust powiada — od swego białego munduru.“ Trzeba było wśród tak tragicznych okoliczności szukać środków ratunku. Beustowi dostała się specyalna misya do cesarza Napoleona, z prośbą o czynną pomoc, a co najmniéj dyplomatyczną interwencyą. Obraz, jaki Beust skreśla, nie wystawia cesarzowi Francuzów szczególnie pochlebnego świadectwa. Posłuchajmy jego opowiadania. „Było to dnia 9-go lipca, o bardzo późnéj godzinie wieczornéj, kiedy hr. Maurycy Esterhazy wszedł do mego pokoju, aby mi powiedzieć, że cesarz życzy sobie ze mną mówić, a że mianowicie chodzi o to, aby mnie posłać do Paryża, dla spowodowania cesarza Napoleona do energiczniejszéj interwencyi. Misya ta, jakkolwiek na nią przygotowany nie byłem, nie zadziwiła mnie mimo to. Wiedziano naturalnie w Wiedniu, że niejednokrotnie z cesarzem Napoleonem znajdowałem się w osobistych stosunkach i że z jego strony szczyciłem się zawsze sympatycznem przyjęciem. Że misya nie przedstawia szczególnych widoków powodzenia, nie taiłem sobie, jak równie, że przez przyjęcie jéj zrywam za sobą ostatni most powrotu do Drezna. Względy te nie mogły mnie powstrzymać od podjęcia próby i udania się tam, dokąd mnie zamierzano wyprawić. Mogło się przecież udać, a byc może, że uzyskam coś dla mojéj biednéj Saksonii, co téż istotnie nastąpiło. Hr. Esterhazy zaprowadził mnie do cesarza, przy któréj to sposobności obznajmiłem się po raz pierwszy z tak często i wśród tak rozmaitych usposobień zwiedzanemi późniéj kurytarzami „*Burgu*“, gdyż dotychczas wchodziłem doń tylko wielkiemi wschodami naprzeciw głównego odwachu. Nie wzbraniałem się oświadczyć gotowość do przyjęcia misyi za poprzedniém zezwoleniem króla, nie przemilczając jednakże moich wątpliwości co do widoków jéj powodzenia. Instrukcyi nie dostałem ani ustnych, ani piśmiennych. Wszystko pozostawiono memu osobistemu uważaniu rzeczy. Najwyższe cesarskie pismo dostałem tylko dla mojéj legitymacyi. Ileż to razy przyszło mi czytać w narodowo-liberalnych gazetach: Beust udał się tymczasem do

swego przyjaciela Napoleona, Beust bawił się w Paryżu i t. d. W odcinku *Neue Freie Presse* pisał jeszcze w późniejszych latach pan Braun z Wiesbaden dobranemi słowy: Było z jego strony wielkiém głupstwem pędzić do Paryża. Milczałem wobec tego wszystkiego. Dzisiaj, kiedy piszę historyą, należy mi nie w interesie osobistym, ale w interesie rzeczy wspomnieć o tém wiernie zachowaném, cesarskiém piśmie. Wieczorem dnia następnego wyruszyłem bez zwłoki do Paryża i stanąłem tamże drugiéj nocy. Cesarz Napoleon przyjął mnie w kilka godzin po mojém przybyciu. Poprzednio rozmówiłem się z ks. Metternichem i hr. Seebachem posłem saskim i dowiedziałem się od nich, że owo *za późno* spełniło się już w najlepszéj formie. Książę Reus, natenczas pruski poseł w Monachium, poprzednio jednakże długi czas pierwszy radca legacyjny w Paryżu, w Tuilleriach *persona gratissima,* został wyprawiony w tajnéj misyi do Paryża i opuścił go w chwili, kiedy ja tam przybyłem. Gdybym był wyprawiony w dzień po Königsgrätzu, byłoby można więcéj uzyskać. Moje i tak już słabe nadzieje spadły jeszcze niżéj, gdy zobaczyłem cesarza i słowa jego usłyszałem. Było nową dla Austryi fatalnością, że cesarz właśnie w owym czasie cierpiał do najwyższego stopnia na często wspominaną *prostatę,* co się objawiało nie tylko w jego zewnętrznéj postawie, ale i w jego intelektualném usposobieniu. Rok późniéj widzieliśmy go w Salzburgu na duchu i ciele świeżym, jak zwykle, ale w roku 1866 jak dziecko bełkotał ciągle tylko: *Je ne suis pas prêt à la guerre!* Było rzeczą nadaremną, gdy wyrzekłem do niego następne wyrazy, które sobie może późniéj przypomniał: „Nie żądam n. panie, abyś rozpoczynał wojnę; jestem cokolwiekbądź zbyt dobrym Niemcem, aby jéj nawet pragnąć; lecz nie chodzi wcale o to. Masz sto tysięcy ludzi w Châlons; wypraw ich na granicę, wyślij eskadrę na morze Niemieckie, otóż wszystko, czego trzeba. Linia operacyjna armii pruskiéj jest i tak już zbyt rozciągłą, aby armia ta nie była zmuszoną zatrzymać się na miejscu; w Wiedniu, w Monachium, w Stuttgardzie nabiorą odwagi, a Niemcy przyjmą cię z wdzięcznością za pośrednika. Jeżeli tego nie uczynisz, będziesz sam miał może wojnę z Prusami w pięć lub sześć lat, a wtedy zaręczam ci, że całe Niemcy pójdą z niemi.“ Mówiłem z Drouyn de l'Huys'em; jakkolwiek przychylniejszy Austryi, aniżeli Prusom, okazywał się chwiejnym, doradzał prędkie zawarcie pokoju, a gdy powyższe słowa i do niego zwróciłem, wsiadł na wysokiego konia: *Si on nous attaque, nous, nous saurons bien nous défendre.* Drouyn de l'Huys rozwodził się w późniejszych latach, kiedy byłem posłem w Paryżu, wobec mnie o ówczesnych wypadkach w szczególny sposób, a przy téj sposobności kładł na to przycisk,

jak za jego radą, postanowiono energiczne kroki, ale jak wykonanie ich zostało sparaliżowane wpływami przeciwnemi. W takiż sam sposób mówi o Drouynie de l'Huys w swojéj publikacyi hr. d'Harcourt. Nie zaprzeczam ani jednemu, ani drugiemu, nie mogę jednakże przemilczéć, że cokolwiekbądź, wobec mnie Drouyn de l'Huys w tych stanowczych dniach występował w obronie nie odradzanego, ale wskazanego wyżéj przezemnie zdania. Powiodły mi się jednakże dwie rzeczy: dla *Austryi*, że cesarz był zmuszony uznać moralny obowiązek, wskutek przyjętego ustąpienia Wenecyi w toczących się układach pokojowych, odezwać się na rzecz Austryi, w czém mi zaprzyjaźniony osobiście, a w bliskich stosunkach z cesarzem pozostający, ówczesny prezes ciała prawodawczego hr. Walewski, w jak najlojalniejszy i nader stanowczy sposób dopomagał; dla *Saksonii*, że Francya domagała się zachowania jéj całości. Mogę powiedziéć, że ocaliłem wtedy Saksonią od zupełnéj zagłady, gdyż jakkolwiek ze strony Austryi gorąco się za nią wstawiano, nie może ktoś, co jak ja w dzień Nikolsburskich negocyacyi, obu kierowników ministeryum spraw zagranicznych widziałem na Ballplatzu, a znałem usposobienie i osoby dyplomatów układających się tamże, wątpić, że bez francuskiéj pomocy nie byliby pozostali wytrwałymi. Po kilkudniowym pobycie wyprawiłem piśmienne sprawozdanie do hr. Mennsdorfa i opuściłem Paryż. Za powrotem moim do Wiednia, znalazłem stan umysłów lepiéj usposobiony. Arcyksiążę Albrecht przybył z południową armią. Wszyscy mówili o dalszém energiczném prowadzeniu wojny i o oporze. W Schönbrunn dawano właśnie wielki obiad na cześć przybyłego króla hanowerskiego, obiad, na który i mnie zaproszono. Cesarz (austryacki), o którym zawsze z uznaniem zaszczytném powiedziéć mogę, że nigdy na nim, ale co najwięcéj, na jego poddanych zrobiłem doświadczenie o znanéj „wdzięczności domu austryackiego", mówił mi z wdzięcznością i pochwałami o mojéj misyi paryskiéj. Hr. Mennsdorff i hr. Esterhazy nie chcieli o niéj nic wiedziéć; nie odebrałem z ministeryum ani słowa podziękowania, ani jednego guldena wynagrodzenia za podróż. Bawiło mnie późniéj, gdy sam zająłem stanowisko na Ballplatzu, żem pozostawił ten dług niezapłaconym, tak, że dzisiaj jeszcze mógłbym żądać zwrotu kosztów podróży z r. 1866." Jak wiadomo, nie trwała zbyt długo w Wiedniu owa temperatura podniesionego ducha, ustąpiła przeciwnie zupełnemu jego upadkowi i apatyi, co wpłynęło niemało na zawarcie pokoju.

Z téj epoki paryskiéj misyi, wspomina jeszcze Beust o innym, charakterystyczniejszym w swoim rodzaju fakcie, któremu i my dajemy tutaj miejsce. „Z tą paryską misyą moją — pisze Beust—łączy

się wspomnienie niezatartéj w méj pamięci negocyacyi z baronem James Rothschildem. Postarano się w Dreźnie o to, aby wszystko, co z rzeczy mających wartość mogło być przewiezioném, odesłać do Monachium, gdzie nam przeznaczono w jednym z gmachów państwowych, bezpieczne od ognia schowanie. Podobnie jak generałowi Rabenhorst zawdzięczać należy zupełne przygotowanie armii, tak ministrowi skarbu Friesenowi wczesne uwiezienie tego skarbu, który na kilka dni przed nadejściem Prusaków powędrował przez Pragę do Monachium. Znalazły się w nim część *Grüne Gewölbe*, papiery państwowe i gotówka. O bezpieczeństwo przesyłki nie należało się obawiać, ponieważ ręczył za nie stary, wypróbowany urzędnik saski, tajny radca von Weissenbach; po nieszczęśliwym jednakże wypadku bojów w północnéj Bawaryi, przedstawialo się niebezpieczeństwo wkroczenia Prusaków do Monachium, a miałem ministeryalną odpowiedzialność i dyspozycyą nad skarbem wartości przeszło 40 milionów talarów. Moja uwaga zwracała się w pierwszym rzędzie na usunienie gotówki, która była umieszczona w beczułkach. Przyszła mi myśl schronić ją u Rothschilda w Paryżu, a tenże zrobił, jak na ówczesne okoliczności, godną przyjęcia propozycyą oprocentowania jéj po 2%. Gdy wszystko już było przygotowane do podpisu, zwrócił nagle stary baron Rothschild znane swe, łzami zachodzące oczy na mnie i odezwał się następnemi słowy: Ależ powiedz mi pan, Prusacy są w Dreźnie? Z pewnością — odpowiedziałem—inaczéj nie byłbym tutaj. „Dobrze — odparł wtedy baron James—jeżeli Prusacy zażądają tych pieniędzy, wydam je im. — Skoro tak, odpowiedziałem, jest z pewnością interes niezły dla pana, ale niemożliwy dla mnie." Zagrożony podobną ewolucyą semickiéj bezinteresowności, udał się Beust do reprezentanta Szwajcaryi w Paryżu, który za telegraficzném przyzwoleniem swego rządu, ofiarował schronienie skarbowi saskiemu w Zürichu.

(D. n.) *Kazimierz Jarochowski.*

LUDWIK BLANC

I JEGO PROJEKT ORGANIZACYI PRACY.

Pochodzenie Ludwika Blanc'a.—Walka jego o pozycyą społeczną.—Dziennikarski zawód. Ewolucya jego przekonań.—Dziełko o organizacyi pracy.—Dzisiejsza industrya i konkurencya.—Warsztaty społeczne.—Wielka uprawa korzystniejsza.—Rolnicze warsztaty społeczne.—Praca literacka.—Kredyt.—Praktyczność pomysłów Blanc'a.—Sprawy społecznéj nie oddziela on do politycznéj.—Dlaczego Blanc dostał się do rządu tymczasowego?—Szkic jego portretowy przez Sterna i Hercena.—Rola jego w rządzie tymczasowym.—Parlament robotniczy.—Socyaliści w tym parlamencie.—Uchwały tego parlamentu.—Zdanie Milla o tych uchwałach.—Czy parlament ten przyniósł jakie pozytywne korzyści?—Warsztaty narodowe.—Brak stanowczości w charakterze Blanc'a.—Zasady jego.—Socyalizm państwowy.—Droga od dołu.—Stosunek gminy do państwa.—Konkurencya ekonomiczna.—Historya wielkiéj rewolucyi francuskiéj.—Blanc w r. 1871 i w późniejszych latach. Wpływ jego.—Ferdynand Lassalle.—Wpływ propagandy blanc'owskiéj na emigracyą naszą. Wiktor Heltman. Propaganda zasady stowarzyszania się w Poznańskiém. Karol Libelt.

Rewolucya lutowa 1848 r. w Paryżu, pełna aspiracyi socyalistycznych, wysunęła na czoło kierunku, który miał stwarzać nowy porządek ekonomiczny, Ludwika Blanc'a. Któż to był ten Ludwik Blanc i dla czego rewolucya nie postawiła u steru ani Considérant'a, ani Cabet'a, najbardziéj może popularnych podówczas pomiędzy socyalistami, ale właśnie tego publicystę i historyka?

W Ludwiku Blanc'u płynęła krew korsykańska. Matka jego była korsykanką z domu Pozzo di Borgo. Urodził się i wychowywał Ludwik pod niebem południowém. Przyszedł na świat w r. 1813 w Madrycie, gdzie ojciec jego, za Józefa Bonapartego, był jeneralnym inspektorem finansów; wychowywał się dzieckiem na Korsyce, uczęszczał zaś do kolegium w Rodez (departament Aveyron). Chociaż spokrewniony z rodzinami, które miały znaczną pozycyą w społeczeństwie i majątek, Blanc musiał jąć się ciężkiéj i niewdzięcznéj pracy, by wyrobić sobie jakieś stanowisko społeczne. Zaczął od dependowania u jednego z adwokatów paryskich. Porzucił jednak to zajęcie, które wcale nie odpowiadało jego usposobieniu i przyjął na

prowincyi obowiązek domowego nauczyciela u bogatego fabrykanta w Arras. Tam pierwszy raz zbliżył się do robotników, którzy go mocno ujęli gorącą swą chęcią nabycia wiedzy.

Wkrótce jednak Blanc trafił na właściwą sobie drogę. Już w Arrasie dał się poznać pisanemi z talentem artykułami w tamtejszym dzienniku radykalnym. To utorowało mu drogę do paryskiego dziennikarstwa. Przybywszy w r. 1834 do Paryża, umieszczał artykuły swoje w dzienniku „Le Bon sens". Następnie Armand Carrel, poznawszy w nim niepospolite zdolności, powołał go do redakcyi „National'a" i, pomimo oporu większosci członków redakcyi, otworzył łamy tego dziennika dla szeregu jego artykułów w kwestyach społecznych. Godefroy Cavaignac, poznawszy Blanc'a, zaprzyjaźnił się z nim i zjednywany coraz więcéj przez niego dla przekonań socyalistycznych, wezwał go do redakcyi „Reformy" (*la Reforme*). W dzienniku tym Blanc zajął wybitne stanowisko i wprowadził go na tory socyalistyczne.

Ludwik Blanc w rozwoju swoim umysłowym przeszedł gradacyą, którą wiele wybitnych umysłów już nieraz przechodziło: od liberalizmu do demokracyi radykalnéj, od demokracyi zaś do socyalizmu. Widoczna jego propaganda socyalistyczna rozpoczęła się— można powiedzieć, z dniem 15-go stycznia 1839 r., kiedy założone przez niego czasopismo: „*Revue du progrès politique, social et littéraire*" zaczęło wychodzić. W tém właśnie piśmie pojawiła się jego *Organizacya pracy,* która następnie wyszła osobno. W dziełku tém złożył Ludwik Blanc swe pomysły socyalistyczne, którym w znacznéj części w r. 1848 zawdzięczał swoje stanowisko polityczne. Rozpatrzmy się więc w niém.

Autor „Organizacyi pracy" jest w zasadzie komunistą. Robiony mu więc zarzut—jeżeli dalsze rozwijanie swéj myśli może stanowić dla kogo zarzut—że stał się on komunistą dopiero w 1848 r., jest niesłuszny. Niepodobna jednak nie przyznać, że poglądy Blanc'a r. 1848—co zresztą jest rzeczą zupełnie naturalną—wyjaśniły się lepiéj i uzupełniły. Nadto w projekcie „Organizacyi pracy" chodziło autorowi więcéj o stronę praktyczną, aniżeli teoretyczną. Dziełko Blanc'a nie jest ani wykładem teoryi socyalizmu, ani utopią stosunków doskonalszych, lecz opartą na danych statystycznych krytyką dzisiejszéj anarchii w dziedzinie pracy i praktyczną wskazówką, w jaki sposób ta praca dałaby się zorganizować, z pożytkiem tak dla samych pracowników, jak dla całego społeczeństwa.

Dziełko Blanc'a rozpada się na cztéry części, poświęcone przemysłowi, pracy rolniczéj, pracy literackiéj i kredytowi. W tym samym porządku podamy główne jego myśli.

Dzisiejszy przemysł, uważany jako dziedzina indywidualnéj czynności każdego człowieka, opiera się na konkurencyi. Jest to więc walka nieustanna o życie i o pozycyą na arenie przemysłowéj. Robotnikom chodzi o życie, kapitalistom zaś o to, by utrzymać się wobec innych współzawodników. Kapitalista, im taniéj płaci za pracę, tém więcéj sam zyskuje i dla tego bierze tego robotnika, który najmniejsze stawia wymagania. Robotnik, nie mający żony i dzieci, może sprzedawać się drożéj, niż ten, co ma rodzinę; silniejszy—od słabszego. Następstwem tego: obawa zawierania związków małżeńskich, ostateczna nędza słabszych, ruina cielesna silniejszych. „Z indywidualizmu powstaje konkurencya; z konkurencyi—ruchomość i niedostateczność płacy... Daléj widzimy upadek rodziny. Małżeństwo zwiększa ciężary: pocóż ubóstwo miałoby się łączyć z ubóstwem? Ustępuje więc ono miejsca nałożnictwu. Rodzą się dzieci. Jak je wyżywić? To jest powodem, że znajdują tyle nieszczęśliwych tych istot nieżywych gdzieś w zaułkach, na stopniach kościołów odległych, w przedsionku nawet pałacu, gdzie się układają prawa. I ażeby usunąć wszelką wątpliwość co do przyczyn dzieciobójstwa, statystyka powiada nam, że liczba dzieciobójstw w czternastu tylko departamentach, najbardziéj przemysłowych, tak się ma do liczby w całéj Francyi, jak 41 do 121 (1).“ I pomimo to, faktem jest niezaprzeczonym, że wzrost ludności w klasie ubogiéj szybciéj się odbywa, a niżeli w klasie zamożnéj. Nędza nędzę płodzi. Ludwik Blanc nie przeczy temu, że przeludnienie bywa, że nadmiar ludności jest możliwy, ale w jego przekonaniu dzisiejszy porządek industryalny mniéj, niż jakikolwiek inny, zapobiedz mu jest w stanie. Jeszcze wyraźniéj tłómaczy się w tym względzie w swojéj „Historyi rewolucyi 1848 r.“, odpowiadając na zarzuty Johna Stuarta Milla. „Dla zapewnienia miejsca przy stole biesiady, przeciwko rujnującemu wtargnięciu nadliczbowych gości, we Francyi—zdaniem jego, niema zgoła żadnéj potrzeby ustaw zakazujących. Nadmiarowi ludności stawiają przeszkodę w naszym kraju zdrowy rozsądek i przezorność każdego ojca rodziny, znajdującego się w dostatku. Pomiędzy nimi mało jest takich, którzyby nie stosowali liczby swych dzieci do wielkości swych środków materyalnych, a to dla tego, by naprzód módz je wychować, a następnie dać im możność starczenia samym sobie“ (2). Konkurencya przemysłowa, doprowadzając klasę robotniczą do ostatecznéj nędzy, szerzy także zniszczenie i w klasie

(1) Organisation du travail, par Louis Blanc. Neuvième édition. Paris 1856, str. 48 i 49. Jest to wydanie, uzupełnione nowemi rozdziałami o pracy rolniczéj i kredycie. — (2) Histoire de la Révolution de 1848. T. I. Str. 132.

burżuazyjnéj. Fabryki zabijają rzemiosła; magazyny wystawne morzą głodem skromne sklepy; ten, co ma miliony, zjada tego, co ma krocie tysięcy; rzemieślnik, pracujący sam na siebie, wyżyć nie może, wobec konkurencyi fabryki i, sprzedawszy swój warsztat, musi zostać robotnikiem dziennym. Przykład Anglii wystarcza, by potępić system konkurencyi przemysłowéj.

Cóż zamiast tego systemu można postawić? Organizacyą pracy. W jaki sposób? Przez zakładanie *warsztatów społecznych* (*ateliers sociaux*). Robotnicy jednego zawodu tworzą jeden warsztat. Jeżeli robotnicy jakiéj gałęzi przemysłu nie są dosyć liczni, by mogli utworzyć warsztat, w takim razie przyłączają się do tego warsztatu, z którym najczęściéj ich łączy sam rodzaj zajęcia. W ogóle, należy pamiętać o tém, że warsztaty powinny być wielkie. Wewnętrzną ich organizacyą obmyśli i zakreśli władza prawodawcza. Mają one pozostawać pod nadzorem władzy państwowéj. W pierwszym roku istnienia warsztatu zarząd i hierarchia jego czynności—jak się wyraża autor—mają być ustanowione i uregulowane z ramienia rządowego; w następnych jednak latach sami robotnicy wybierać i regulować je będą. Wszyscy robotnicy mają otrzymywać równą zapłatę. Uznając słuszność zarzutu komunistów, że równość płacy nie zgadza się z zasadą, iż „każdy otrzymywać powinien stosownie do swoich potrzeb“, Blanc w późniejszych wydaniach wyjaśnia, że zapłatę równą uważa tylko jako postanowienie czasowe. Pozostawiając każdemu robotnikowi swobodę używania swego zarobku stosownie do swojéj woli, autor wszakże mniema, że widoczna oszczędność i niezaprzeczona wyższość życia wspólnego skłonią do tego, że stowarzyszenie pracy stanie się także stowarzyszeniem potrzeb i przyjemności. Zysk, otrzymany przez każdy warsztat społeczny, ma się dzielić na trzy części: jedna przeznacza się do podziału pomiędzy robotników; druga do utrzymywania starców, chorych i słabych; trzecia do łagodzenia klęsk, sprowadzonych przez przesilenie ekonomiczne. Kapitaliści mogą brać udział w stowarzyszeniu i będą oni pobierali procent od swego kapitału, ale nie mają należéć do podziału zysku. Na zarzuty, podniesione co do tego punktu, autor „Organizacyi pracy“ odpowiadał w ten sposób: „Dobrze, czy źle urządzone społeczeństwo, zawsze jest ono tém, co zrobiły z niego błędne przekonania, smutne przesądy, powszechna ciemnota i tradycyjna niesprawiedliwość, trwające przez wiele wieków. Żądam więc, aby warsztat społeczny płacił kapitalistom procent od ich pieniędzy i to procent wysoki z następujących względów: 1) ponieważ chodzi o to, ażeby proponowane zakłady nie odpychały żadnego środka, któryby mógł popierać ich rozwój; 2) dla tego, że, dążąc

w naszym projekcie do odnowienia całego społeczeństwa, chodzi nam o to, ażeby jak największa pobudka skłaniała kapitalistów do stowarzyszenia się powszechnego, i ażeby w ten sposób skupienie się wszystkich sił rozproszonych odbyło się szybko" (1). Zorganizowawszy warsztaty społeczne, trzeba je równocześnie połączyć solidarnie z sobą.

W pierwszych wydaniach „Organizacyi pracy" Ludwik Blanc zajmował się właściwie tylko przemysłem i dopiero wyemigrowawszy do Londynu uzupełnił swoją pracę rozdziałami o rolnictwie i kredycie. Kwestya, którą przed kilku laty u nas po pismach warszawskich rozważano, czy większa, czy też mniejsza posiadłość ziemska jest korzystniejsza dla produkcyi i społeczeństwa, została przez Blanc'a, zdaniem mojem, gruntownie rozstrzygniętą na korzyść systemu wielkiéj kultury. I tak, ze względu na produkcyą, bydło, które stanowi główną podstawę dobrego gospodarstwa rolnego, w małych posiadłościach, zwłaszcza po usunięciu wspólnych pastwisk, nigdy nie może być chowane w tym samym stosunku do rozległości ziemi, co w wielkich posiadłościach. Pomijamy wiele innych korzyści, które przedstawia wielki folwark w stosunku do małego, jak możność zaprowadzania racyonalnego płodozmianu, używania maszyn itd. Anglia, gdzie panuje wielka kultura, produkuje o wiele więcéj od Francyi, w któréj rozdrobnienie gruntów przyczyniło się znacznie do upadku jéj rolnictwa. Lecz we Francyi większość rolników ma się o wiele lepiéj, aniżeli w Anglii. Niezawodnie. I oczywiście, jeżeli charakter posiadłości ziemskiéj ma pozostać indywidualny, to zawsze musimy się oświadczyć za małą posiadłością, ponieważ interes ludności, bądź co bądź jest ważniejszy od interesu produkcyi. Można atoli interes produkcyi połączyć z interesem ludności, demokratyzując wielką kulturę. W tym celu Blanc proponuje organizowanie *rolniczych warsztatów społecznych.* Podług jego obliczenia, wielkie społeczne folwarki powinnyby mieć w przecięciu po 500 hektarów i łączyć we wspólnéj pracy 50 rodzin czyli przeciętnie 250 osób. Każdym folwarkiem społecznym zarządzaliby dyrektor i rada stowarzyszenia (*conseil de l'association*), mianowani w pierwszym roku przez państwo, w następnych zaś latach wybierani przez samych stowarzyszonych. Rada stowarzyszenia, pod przewodnictwem dyrektora, wyznaczałaby każdemu pracę stosownie do jego zdolności, oznaczałaby ilość godzin pracy, nadzorowała rachunkowość i załatwiała zewnętrzne interesy stowarzyszenia. Wykluczanie ze stowarzyszeń zależałoby od ogółu stowarzyszonych, który de-

(1) Organisation du travail. Str. 210 i 211.

cydowałby o tém przez głosowanie. Wszystkie rodziny stowarzyszone mieszkałyby w jednym gmachu, zbudowanym w taki sposób, ażeby każda rodzina miała swe własne osobne mieszkanie. W stowarzyszeniu nie powinno być robotników najemnych. Członkowie otrzymywaliby w naturze żywność, odzież i ruchomość wszelką stosownie do koniecznych swoich potrzeb, albo odpowiednią temu wartość pieniężną, gdyby znaleźli się tacy, coby to woleli. Przy każdém stowarzyszeniu ma się znajdować szkoła. Czysty zysk, otrzymany przez stowarzyszenie rolnicze, szedłby do podziału na cztery części: jedna część na umorzenie kapitału, pożyczonego przez państwo; druga na otworzenie kasy pomocy dla starców, chorych, kalek itd.; trzecia na podział pomiędzy robotników, stosownie do liczby dni pracy; wreszcie czwarta na utworzenie kapitału zapasowego, któryby miał na celu podtrzymanie solidarności pomiędzy rozmaitemi warsztatami społecznemi.

Autor słusznie powiada, że niema nic obrzydliwszego nad pracę literacką, która się ogląda li tylko na wynagrodzenie pieniężne. Jeżeli materyalna własność indywidualna opiera się przeważnie na nadużyciu, to indywidualne prawo własności w dziedzinie umysłowéj jest i niedorzeczne i szkodliwe dla rozwoju umysłowego. Ażeby jednak zapewnić możność drukowania dzieł, które zasługują na to, i uczynić najlepsze książki najtańszemi, autor proponuje zorganizować księgarnię społeczną, którąby miała na oku przedewszystkiém korzyść społeczną, nie zaś zyski pieniężne, i która zostawałaby pod kierownictwem reprezentacyi narodowéj.

Dopóki w stosunkach ekonomicznych panują indywidualizm i konkurencya, dopóty kredyt nie może być ani powszechny, ani bezpłatny. Dopóki kredyt znajduje się w rękach prywatnych, dopóty służy on tylko interesowi prywatnemu. Chcąc, by kredyt miał na względzie interes publiczny, trzeba mu nadać koniecznie charakter publiczny. Niech przeto państwo czyli całe społeczeństwo stanie się bankierem. Na dowód, jak wiele dobrego, nawet przy warunkach konkurencyi, może zrobić bank państwowy, Blanc przytacza Bank Polski, założony w r. 1828. Skoro państwo stanie się bankierem, pieniądz metaliczny można z łatwością zastąpić pieniądzem papierowym. Bank, udzielając kredytu wszystkim zorganizowanym warsztatom społecznym, uczyni kredyt powszechnym, albowiem każdy pracownik może zostać członkiem swego zawodowego stowarzyszenia. Państwo, któremu chodzi nie o zyski, ale o dobro publiczne, udzielać będzie kredytu stowarzyszeniom robotniczym bezpłatnie, a więc kredyt stanie się bezpłatny.

Plan ustroju ekonomicznego, nakreślony w *Organizacyi pracy*, był najpraktyczniejszy i najłatwiejszy do zastosowania ze wszystkich planów socyalistycznych, które przedtém przedstawiano. Blanc ujął nawet cały swój projekt w paragrafy ustawy państwowéj. Zachowawcy nawet przyznali temu projektowi pewną praktyczność i zgadzali się na to, że istotnie można na téj drodze przyczynić się do polepszenia losu klasy robotniczéj. Wielu fabrykantów, zagrożonych po wybuchu rewolucyi 1848 r. ruiną, udawało się do Blanc'a z propozycyą oddania państwu swych zakładów z jedynym warunkiem, aby im zapewniono tylko jakie miejsce w nowéj organizacyi (1).

Ludwik Blanc bardzo dobrze pojmował, że przeobrażenia społecznego nie podobna oddzielić od przeobrażenia politycznego. Jeżeli pierwsze jest *celem*, to drugie *środkiem*. Nie dość wiedziéć, jak i co robić, trzeba jeszcze zdobyć możność robienia. „Otóż władza państwowa jest to siła zorganizowana. Opiera się ona na parlamencie, sądach, wojsku, tj. na potrójnéj potędze praw, wyroków i bagnetów. Kto nie zdobędzie téj władzy, jako narzędzia dla siebie, ten będzie ją miał przeciwko sobie jako przeszkodę" (2). Blanc uznając konieczność rewolucyi, nie chciał jednak przewrotu gwałtownego opartego na sile pięści. „Zreformować społeczeństwo, nie wstrząsając niém, nadać sprawom publicznym kierunek korzystniejszy i więcéj opiekuńczy, unikając niecierpliwości dzikiéj burzenia, egzystencyi, opartéj na nadużyciach, które usiłujemy zniweczyć: słowem, przygotować przyszłość, bez gwałtownego zrywania z całą przeszłością. Czy stanowi to wyrachowanie tylko? Nie. Jest to obowiązek" (3).

Nie sama atoli większa praktyczność pomysłów Blanc'a, które Thiers nazwał mniéj chimerycznemi od innych pomysłów socyalistycznych; nie sama tylko gotowość jego do walki politycznéj, kiedy inni przedstawiciele szkół socyalistycznych usuwali się od niéj,— postawiły autora *Organizacyi pracy* u stéru rządu. Przyczyniły się jeszcze do tego dwie ważne okoliczności. Był on autorem znakomitéj „*Historyi lat dziesięciu*" (1830—1840, 5 tomów, Paryż, 1841 do 1844), która moralnie zabiła powagę dynastyi orleańskiéj, i miał wpływowe znaczenie u republikanów w dziennikarstwie, z ramienia którego—jak wiadomo, powstał rząd tymczasowy. Najwięcéj wpływowemi dziennikami w obozie demokratyczno-radykalnym były: „National", oddany tylko walce politycznéj i będący organem inteligencyi burżuazyjnéj, i „Réforme", która w programie swoim, pióra

---

(1) Histoire de la Révolution de 1848. Str. 143. — (2) Organisation du travail. Str. 12. — (3) Organisation du travail. Str, 211.

Ludwika Blanc'a, objawiała pragnienia socyalistyczne (1). Dzienniki te przed rewolucyą od miesiąca ze zjadliwą zawziętością walczyły z sobą, lecz w chwili wybuchu pogodziły się, zawarły sojusz i ułożyły listę rządu tymczasowego. Na téj liście zamieszczono także Ludwika Blanc'a, chociaż—co prawda na ostatniém miejscu. Listę tę przyjęto z dodatkiem paru osób. Nadto robotnicy wprowadzili do rządu robotnika Albert'a, którego Blanc przedtém nie znał, ale który stał się wkrótce jego przyjacielem i gorliwym wyznawcą jego przekonań i pomysłów.

Chociaż Ludwik Blanc, kiedy wszedł do rządu tymczasowego, miał już 35-ty rok życia, wyglądał on nader młodo. Pani d'Agout, opisując bankiet reformistowski w Dijon'ie, kreśli taki jego portret. Obok Ledru-Rollin'a—powiada—„ujrzano człowieka małego wzrostu, wyglądającego jak dziecko, wciąż śmiejącego się i pokazującego ładne białe zęby, nieustannie mówiącego i gestykulującego, ciągle wodzącego po audytoryum czarnemi dużemi oczyma, skrzącemi śmiałością i rozumem" (2). Dla uzupełnienia tego portretu, przytoczę krótką charakterystykę Blanc'a, którą podaje inny bystry obserwator charakterów ludzkich. „W małém ciałku Ludwika Blanc'a—powiada Hercen—żyje duch mocny i bardzo żywy z silnym charakterem, z dokładnie wyrzeźbioną mu właściwością, a przytém zupełnie francuski. Bystre oczy i szybkie ruchy nadają mu równocześnie jakiś wygląd ruchliwy i wygładzony, nie pozbawiony pewnego wdzięku. Podobny jest do człowieka skupionego, doprowadzonego do najmniejszych rozmiarów, kiedy tymczasem olbrzymiość jego przeciwnika, Ledru-Rollin'a, podobna jest do nabrzmiałego dziecka, do karzełka w ogromnych rozmiarach, albo pod szkłem powiększającém. Obaj oni mogliby znakomicie figurować w podróży Gulliwera. Ludwik Blanc—i to stanowi wielką siłę i nader rzadką zdolność—doskonale włada sobą. Jest w nim wiele powściągliwości: w największym zapale rozmowy, nie tylko publicznie, ale pomiędzy przyjaciołmi nawet, nie zapomina nigdy najbardziéj skomplikowanych stosunków, nigdy w sporze nie unosi się, nie przestaje wesoło uśmiechać i nigdy nie zgadza się z przeciwnikiem. Ma znakomity dar opowiadania, i mimo to, że jak Francuz—mówi wiele, jak Korsykańczyk—nigdy nie powié zbytecznego wyrazu" (3).

---

(1) Czytamy w nim następujące ustępy: „Robotnicy byli niewolnikami, byli poddanymi, są dzisiaj najemnikami: trzeba dążyć do tego, by stali się stowarzyszonymi". „Należy zamiast organizacyi kredytu indywidualnego postawić organizacyą kredytu państwowego. Państwo, dopóki proletaryusze nie wyzwolą się, powinno stać się bankierem ubogich". — (2) Daniel Stern. Histoire de la Révolution de 1848. Paris str. 19. — (3) Sbornik posmiertnych statiej Aleksandra Iwanowicza Hercena. Izdanie wtoroje. Genève-Bâle-Lyon 1874.

Większość rządu tymczasowego, złożona z byłych deputowanych, spoglądała od samego początku na Ludwika Blanc'a jak na intruza. Zmuszona uznać zasadę *prawa do pracy*, nie chciała przyjąć tego, co jednak było koniecznym wynikiem téj zasady, to jest *ministeryum i organizacyi pracy*. Kiedy robotnicy 28 lutego domagali się od rządu, by utworzył rzeczone ministeryum, Blanc silnie poparł ich żądania, lecz znaczna większość członków rządu stanowczo temu się sprzeciwiła. Wówczas podał się on do dymisyi. Członkowie rządu, obawiając się wzburzenia z tego powodu umysłów, zaproponowali mu utworzenie komisyi rządowéj dla pracowników *(Commission de gouvernement pour les travailleurs)*, któraby się zajęła pod jego przewodnictwem zbadaniem możności załatwienia kwestyi społecznych. Czy dobrze zrobił Ludwik Blanc, zgadzając się na tę komisyą, chociaż rząd tymczasowy nie chciał jéj przyznać żadnéj władzy wykonawczéj, ani téż wyznaczyć budżetu dla niéj—trudno odpowiedziéć. Sam Blanc opowiada w swojéj *Historyi rewolucyi lutowéj*, że się wahał, że przewidywał ogromne trudności i nieprzyjemności, z jakiemi będzie musiał walczyć, ale ostatecznie przemogła to wszystko myśl, że pozyska trybunę dla socyalizmu, która może wywrzéć wielki wpływ na Francyą i miéć nawet znaczenie europejskie. Został więc prezydentem téj komisyi, Albert zaś wice-prezydentem.

Komisya miała pierwsze posiedzenie w pałacu Luksemburskim 1 marca. Zebrało się około 200 wysłanników rozmaitych korporacyi robotniczych w Paryżu. Na propozycyą Blanc'a uchwalono, ażeby każda korporacya wyznaczyła trzech delegatów, z których jeden miał zasiadać w komisyi rządowéj, a dwaj inni braliby udział w zebraniach ogólnych, które Blanc nazwał *parlamentem pracy*. Nadto komisya zaprosiła do swego łona wszystkich, którzy byli znani z tego, że żywo obchodziła ich sprawa ludu pracującego. Zaproszono więc saint-simonistów: Karola Duveyrier, Cazeaux, Jana Reynaud; furyerzystów: Wiktora Considérant'a i Toussenel'a; zaproszono także ekonomistę Ludwika Wołowskiego. „Jeżeli — powiada Blanc—brakło kilku znakomitych myślicieli, to albo nie było ich w Paryżu, jak Piotr Leroux, albo sami odmówili swego udziału, jak Emil Girardin; albo téż, jak Enfantin, mniemali, że przekonania ich dostatecznie reprezentują ich przyjaciele, biorący udział w pracy komisyi" (1). Czy do liczby tych ostatnich należał Cabet, nie wiadomo. Dla czego jednak nie wymienił go Blanc, najwięcéj w teoretycznych zasadach do niego zbliżony? Może właśnie z po-

(1) Histoire de la révolution de 1848. Str. 171 i 172.

wodu tego pokrewieństwa zasad, wreszcie może dlatego, że po wypadkach czerwcowych 1848 r. nazwisko Cabet'a wzniecało w obozie reakcyjnym nienawiść i stało się celem pocisków zohydzających i spotwarzających. Szczególnie czynnemi byli w komisyi dwaj znani socyaliści: Vidal i Pecqueur. Vidal, który był sekretarzem komisyi, w jasny i treściwy sposób opisał wypracowane w niéj projekty.

Parlament pracy rozpoczął swoje posiedzenia 10 marca. Obrady jego odbywały się bardzo poważnie. Robotnicy zachowywali się skromnie, nie troszcząc się o krasomóstwo, wypowiadali gruntowne i trafne zdania w rzeczach sobie dobrze znanych. Blanc wymienia dwóch robotników: bronzownika Malarmet'a i krawca Bérard'a, jako szczególnie odznaczających się wielką inteligencyą.

Parlament wespół z komisyą uznał za potrzebne, dla rozwiązania kwestyi społecznéj, następujące środki:

1) utworzenie ministeryum pracy;

2) utworzenie ministeryum postępu, któremuby polecono: *a)* nabycie kolei żelaznych i kopalni, *b)* przeistoczenie Banku Francyi w Bank państwowy, *c)* scentralizowanie wszystkich ubezpieczeń, *d)* założenie rządowych magazynów, w którychby wytwórcy składać mogli swe towary i otrzymywaliby za nie kwity, mające w obiegu wartość pieniężną, *c)* otworzenie pomniejszych bazarów, w których odbywałaby się wyprzedaż cząstkowa;

3) utworzenie funduszu specyalnego dla budżetu robotniczego z zysków, otrzymywanych przez koleje żelazne, kopalnie, bank, asekuracye, składy towarowe i bazary;

4) dostarczanie kredytu stowarzyszeniom robotniczym i koloniom rolniczym z przychodu budżetu robotniczego, po roczném opłaceniu procentów i umorzeniu pewnéj części pożyczanego przez państwo kapitału;

5) udzielanie kredytu państwowego tym tylko stowarzyszeniom robotniczym, któreby się organizowały na zasadzie solidarności braterskiéj.

Organizacya stowarzyszeń robotniczych, wskazana we wnioskach zgromadzenia luksemburskiego, jest taka sama, jaką podaje Blanc w swojém dziełku o organizacyi pracy. Czy propozycye te możliwe były do zrealizowania? Posłuchajmy, co w tym przedmiocie mówi znakomity ekonomista angielski, John Stuart Mill. „Na prawdę — powiada on — we wnioskach luksemburskich nic nie ma takiego, coby tłómaczyło ten szalony strach, jaki wzbudza z obu stron kanału La Manche złowroga nazwa socyalizmu. Wydaje się zupełnie słusznem żądanie, ażeby rząd przez udzielanie pożyczek, i to w granicach rozsądnych, ułatwiał zakładanie spółek przemy-

słowych, opartych na zasadach socyalistycznych. Gdyby nawet przedsięwzięcie to nie miało się udać, to i w takim razie należałoby wykonać tę próbę. Robotnicy bowiem nigdy nie uwierzą, ażeby nie miało się ono udać, dopóki im oczywistego nie da się dowodu na to. Dadzą się oni przekonać wówczas tylko, kiedy się zrobi wszystko możliwe w tym względzie. Wreszcie już ze względu na to, że czynione usiłowania w tym kierunku rozwinęłyby wysokie przymioty moralne, i że z niepowodzenia nawet wypłynęłaby ważna z tego nauka, wartoby wydać na doświadczenie narodowe tego rodzaju te miliony, które idą na rozmaite przedmioty, obejmowane zwykle nazwą wychowania ludowego“ (1).

Robiono powszechny w obozie nieprzyjaznym socyalizmowi zarzut, że parlament pracy wraz z komisyą zajmował się jedynie gadaniną i żadnych pozytywnych rezultatów nie wydał. Zaiste, nie mając ani organu wykonawczego, ani pieniędzy, trudno coś zrobić. Ale i to nieprawda, że nic nie zrobiono. Blanc w swojéj historyi wykazał to faktycznie. Pomijając ważne korzyści bieżącéj chwili, jak łagodzenie sporów pomiędzy pryncypałami i robotnikami, ułatwianie wzajemnego porozumiewania się robotników z sobą, należy wspomnieć o wydanym na podstawie Ludwika Blanc'a dekrecie 2-go marca, który, jak tego żądała komisya luksemburska, zakazał tak zwanego *marchandage* (2) i ograniczył czas pracy w Paryżu do 10, na prowincyi zaś do 11 godzin. Nadto parlament luksemburski rozpoczął organizacyą ruchu spółdzielczego na wielką skalę. Nie jego wina, że późniejsza reakcya wszelkiemi możliwemi sposobami tamowała i niweczyła ten ruch. Usiłowaniem komisyi luksemburskiéj zorganizowano stowarzyszenie krawców w Clichy, stowarzyszenie siodlarzy i inne, a wkrótce, bo po kilku miesiącach, ruch spółdzielczy liczył przeszło sto spółek w rozmaitych gałęziach pracy. Stowarzyszenia wytwórcze pojawiły się także w Tours, Reimsie, Lyonie, Angers i t. d. O spółkach tych dzienniki reakcyjne rozgłaszały, że upadły i pobankrutowały, kiedy tymczasem one żyły i rozwijały się. William Conningham, który przyjechał w kwietniu 1851 do Paryża w celu wyrozumienia powodów, dla czego spółki paryskie nie mogły się utrzymać, z wielkiém zdziwieniem przekonał się o kłamstwie dzienników. Spółki kucharskie, które jakoby miały zbankrutować, rozwijały się pomyślnie, i było ich co najmniéj 40. „Co więcéj—powiada Conningham—przekonałem się, że stowarzy-

---

(1) Westminster and Foreign Quarterly Review, kwiecień 1849 r.

(2) *Marchandage* oznacza pośrednie dawanie roboty: pryncypał oddawał całą robotę jednemu robotnikowi, a ten rozdzielał ją pomiędzy innych robotników.

szenie braterskie krawców, założone przez Ludwika Blanc'a, będące celem tylu pocisków, nie tylko że nie upadło, lecz zrealizowało sumę 70,000 franków i otworzyło na przedmieściu Saint-Denis warsztaty przestronne, dobrze oświetlone i przewietrzane."

Obwiniano—niektórzy jeszcze i dotąd nie przestają obwiniać—Blanc'a, że utworzył warsztaty narodowe *(ateliers nationaux)*, które stały się wkrótce stekiem próżniaków, i rozwiązanie których zapaliło rokoszem zniechęcone już ku rządowi tłumy robotnicze. Tymczasem dyrektor tych warsztatów, Emil Thomas, wyraźnie wykazał w swojéj historyi *(Histoire des ateliers nationaux)*, że warsztaty te powstały z inicyatywy Marie, największego w rządzie tymczasowym przeciwnika Ludwika Blanc'a i właśnie miały służyć do zrównoważenia jego wpływu, wywieranego przez parlament robotniczy w Luksemburgu. Świadectwa Lamartine'a i Garnier-Pagès'a zupełnie to potwierdzają.

Autor *Organizacyi pracy* może i odznaczał się silnym charakterem — jak to twierdzi Hercen — ale brak mu było stanowczości, i to tłómaczy nam dwuznaczne często jego zachowanie się i tę okoliczność, że nie korzystał z przyjaznéj dla siebie i dla swoich planów chwili. Zarzucano mu jakobinizm, tymczasem właśnie z obawy jakobinizmu wpadał on w drugą ostateczność. Rozumiał dobrze, że wybory powszechne wypadną raczéj na korzyść reakcyi, aniżeli socyalizmu; przeczuwał nawet, że znowu dojdzie do dyktatury, albo na korzyść socyalizmu, albo przeciwko niemu, i pomimo to opierał się ujęciu władzy, kiedy mu ją prawie w ręce kładziono. Tak było w czasie manifestacyi 17 marca, a jeszcze bardziéj podczas manifestacyi 15 maja. Lojalne zachowanie się jego wobec swych kolegów w rządzie tymczasowym i następnie w zgromadzeniu narodowém nie ocaliło go od prześladowania. Już po manifestacyi 15-go maja, zaledwie zdołał obronić własną osobę, lecz parlament robotniczy zamknięto. Po krwawych dniach czerwcowych, z któremi Blanc nie miał nic wspólnego, zgromadzenie narodowe 25 sierpnia wydało go jeneralnemu prokuratorowi. Blanc jednak słusznie nie zaufał bezstronności sądów ówczesnych i uciekł do Anglii, gdzie pozostawał aż do upadku Napoleona III i proklamowania rzeczypospolitéj we Francyi.

Ludwik Blanc w zasadzie był komunistą. Wypowiedział to jeszcze przed rewolucyą lutową, krytykując system saint-simonistów w swojéj *Historyi lat dziesięciu*. W *Katechizmie socyalistów*, wydanym w r. 1849, przedstawia przyszłe społeczeństwo jako takie, „gdzie rozdział pracy i podział jéj owoców na téj zasadzie byłby uskuteczniony, która dziś jest główną zasadą rodzin: *Od każdego podług jego*

sił, a każdemu podług jego potrzeb" (1). Teoryą téj zasady filozoficznie usprawiedliwił w swojéj *Historyi rewolucyi 1848 r.*

„Człowiek—powiada—otrzymał od przyrody pewne zdolności kochania, poznawania się, działania. Lecz zdolności tych nie dano mu na to, aby wykonywał je samotnie; są więc one potężną wskazówką, co każdy winien społeczeństwu, którego jest członkiem, i tę wskazówkę każdy nosi wpisaną w swéj organizacyi zgłoskami płomiennemi. Jeżeli jesteś dwa razy silniejszy od twego sąsiada, jest to dowodem, że przyroda wyznaczyła ci dźwigać podwójny ciężar. Jeżeli umysł twój jest wyższy, znaczy to, że przeznaczeniem twojém szerzyć światło dokoła. Słabość jest wierzycielką siły, ciemnota nauki. Im więcéj człowiek *może*, tém więcéj czynić *powinien*. Stąd aksiomat: *od każdego podług jego sił.* Jest to obowiązek.

„Lecz wraz ze dolnościami człowiek otrzymał potrzeby: potrzeby umysłowe, moralne i fizyczne; potrzeby serca, umysłu, zmysłów, wyobraźni. Otóż, w jaki sposób zdołałby każdy wypełnić swą czynność, do któréj stworzyła go przyroda, jeżeliby instytucye społeczne, które ciążą nad nim, przeszkadzały mu rozwinąć całkowicie swe jestestwo, odmawiając mu zadosyćuczynienia potrzebom nierozłącznym z właściwą mu organizacyą? Stąd w granicach środków pospolitych, i biorąc wyraz *potrzeby* w szlachetniejszém jego znaczeniu, wynika aksiomat: *Każdemu podług jego potrzeb.* Jest to prawo" (2).

Jakżeż może się przedstawić przyszłe społeczeństwo?

„Wyobraźcie sobie — odpowiada na to Blanc — społeczeństwo, w którém przez wychowanie wspólne, bezpłatne i obowiązkowe, wszyscy obywatele byliby powołani do zajęcia miejsca u źródeł inteligencyi ludzkiéj; w którém wydawanoby na szkoły to, co się wydaje dzisiaj na więzienia; w którém lichwę, ten gruby despotyzm, zastąpionoby kredytem bezpłatnym, który jest długiem wszystkich względem każdego; w którém dopuszczanoby w zasadzie, że wszyscy ludzie mają prawo *równe* do zupełnego rozwoju swoich zdolności *nierównych*, a więc w którém narzędzia pracy nie stanowiłyby większego przywileju od promieni słonecznych; w którém zamiast walczyć zawzięcie, w anarchii barbarzyńskiéj, w rujnujących bojach konkurencyi, o dziedzinę przemysłu, wytwórcy połączyliby się w grupy solidarne w celu, aby tę dziedzinę użyźnić i płodami jéj dzielić się po bratersku; w którém dążonoby do celu wskazanego zarówno przez przyrodę, jak sprawiedliwość: do wytwarzania w sto-

---

(1) Wiara socyalistów przez Ludwika Blanka, przenarzeczył Mieczysław Romański. Lwów, 1868. — (2) Tom I, str. 147.

sunku do zdolności, a spożywania w stosunku do potrzeb; w którém czynności wyznaczane nie ręką kapryśną przypadku, lecz na podstawie praw przyrody ludzkiéj, odpowiadałyby rozmaitości uzdolnień, nie zaś różnicy majątkowéj; w którém uczucie honoru i żądza dobra publicznego, przeniesione z pola bitwy do warsztatu, dodałyby potęgi i bodźca interesowi osobistemu i uświęciłyby współzawodnictwo, czyniąc je więcéj energicznem; w którém zbytek stanowiłby okazałość demokracyi, znajdującéj się w ciągłym postępie; w którém państwo byłoby przewodnikiem, swobodnie wybranym, narodu w pochodzie do światła i szczęścia" (1).

Dla czego nie bez pewnéj słuszności datują *socyalizm państwowy* od Ludwika Blanc'a? Wszak saint-simoniści także chcieli owładnąć państwem i odpowiednio swym zasadom zorganizować je? Pomijając, że saint-simoniści stanęli na gruncie niezgodnym z dążnościami demokratycznemi swego wieku, ideał ich był zanadto abstrakcyjny, miał za mało — powiedziałbym — praktycznéj konkretności. Przytém, chcieli oni właściwie utworzyć nowy kościół, obejmując nim wszystkie czynności ludzkie, nawet te, które dotychczasowy kościół wypuszczał niejako z pod swojego skrzydła. Z dwóch odmian komunizmu, babewizm chciał także działać przez państwo, ale programu jego późniejszego nie znano, dawniejszy zaś nie wystarczał. Zresztą babewizm nie widział innéj możności działania jak przez dyktaturę żelazną, niemal teroryzm. Tego lękano się, tego nie życzono sobie. Wreszcie babewiści chcieli rozpoczynać od drugiego niemal końca. Zwykłe oko nic prócz ciemności nie widziało. Ci zaś co rozjaśniali wiedzą swą drogę, zaczynali pojmować, że historya przedewszystkiém jest ewolucyą, że skoki wprawdzie można robić, ale niezbyt wielkie, i że chcąc skoczyć odrazu zadaleko, łatwo można wpaść w przepaść.

„Dla czegoż właściwie rząd ma rozpocząć dzieło społecznego odrodzenia?" — zapytuje Blanc.

„Bo to jest — odpowiada — dzieło wielkiéj wagi, mające przed sobą za wiele przeszkód materyalnych, za wiele ślepych uprzedzeń i przesądów, aby z łatwością przez jakikolwiek związek pojedyńczych przedsiębiorstw mogło być do skutku doprowadzone. Do tego potrzebne jest dążenie wszystkich, energicznie prowadzone do czynu kierownictwem najświatlejszych i najlepszych. Rząd pośredniczący w sprawie odrodzenia społeczeństwa jest głową, starającą się o zdrowie reszty ciała" (2).

---

(1) Le Nouveau Monde. Journal Historique et Politique rédigé par Louis Blanc. N. 1, 15 juillet 1849, Bruxelles 1849. Str. 5. — (2) Wiara socyalistów. Str. 15.

Wszakże Blanc nie mniemał, że to jest jedyna możliwa tylko droga. Kiedy we Francyi po dniach czerwcowych u steru rządu reakcya coraz silniéj sadowić się poczęła, radził on w 1850 r., aby próbowano drogi od dołu: „niechaj stowarzyszenia robotnicze porozumieją się, niechaj zawiążą pomiędzy sobą ten drogocenny węzeł solidarności, który podtrzyma je przeciwko uciskowi środowiska otaczającego; niech się utworzy *komitet centralny robotników stowarzyszonych*; niech ten komitet otworzy składkę nie tylko w Paryżu, ale i po prowincyach, składkę najważniejszą: *składkę na obalenie proletaryatu.*" „Komitet ten — bez charakteru urzędowego — stanie się prawdziwém ministeryum postępu, a kapitał dostarczony przez składki dobrowolne, przez ofiarność, stanie się budżetem robotników" (1).

Krok daléj i mamy Stowarzyszenie Międzynarodowe.

Autor *Organizacyi pracy* w przekonaniach swoich był raczéj centralistą niż federalistą, chociaż skądinąd był on zwolennikiem rozległego samorządu gminnego. Dopóki państwo jest despotyczne, dopóty lepiéj gdy się nie wtrąca do spraw społecznych. Lecz inaczéj jest z państwem prawdziwie demokratyczném. W tym wypadku „państwo jest to społeczeństwo, które w tym charakterze rozciąga swoję czynność na wszystko, co posiada widoczny charakter społeczny" (2). Blanc określa w następujący sposób stosunek gminy do państwa. „*Gmina*, jest to zasada stowarzyszenia; *państwo*, jest to zasada narodowości. *Państwo*, jest to cała budowa; *gmina*, jest to podstawa téj budowy" (3). Blanc, pomimo że hołdował rewolucyonistom 1793 r., lękał się bezpośredniego udziału ludu w rządach politycznych. Mniemał *(Plus des Girardins)*, że bezpośrednie rządy ludowe przyprowadzą do federalizmu, rozkawałkowania niepodzielnéj rzeczypospolitéj na jakieś komuny, wogóle do „babelizmu."

Ważną zasługą naukową Ludwika Blanc'a jest dokładne wyjaśnienie charakteru *konkurencyi ekonomicznéj*. Prowadzi ona *do niepomiernego wzrostu sił produkcyjnych i do odpowiedniego zmniejszania się środków spożywczych* (4). Dzięki nieograniczonéj konkurencyi, widzimy dziwne zjawisko: nieustanne zmniejszanie się odsetek kapitału i systematyczne obniżanie się płacy zarobkowéj (5). Burżuazya źle także na tém wychodzi. „Nie spostrzega, że wszystko to prowadzi do pożarcia małéj własności przez wielką; że wszystko to prowadzi wprost do ruiny handlu; że ostatecznym kresem tego pięk-

(1) Organisation du travail. Str. 122. — (2) Louis Blanc. L'état et la commune. Paris 1866. Str. 26. — (3) Ibidem, str. 62. — (4) Le socialisme par Louis Blanc. Troisième édition. Paris 1849. Str. 32. — (5) Ibidem, Str. 37.

nego systemu jest stosunek lenniczy większości burżuazyi do bardzo nielicznéj oligarchii potężnych kapitalistów" (1). Proudhon, jeden z najostrzejszych krytyków Blanc'a, zastanawiając się w 1855 nad egoistyczną konkurencyą, powiada: „Uchybilibyśmy swemu obowiązkowi, gdybyśmy w tém miejscu nie przypomnieli dzieła Ludwika Blanc'a, pełnego wymowy, a które dwanaście lat temu sprawiło takie żywe wrażenie" (2). Jeden ze znakomitszych naszych myślicieli, autor *Filozofii ekonomii materyalnéj*, Henryk Kamieński, przeciwstawiając wyłączność (monopol) współubieganiu (konkurencyi), był tego zdania, że współubieganie „pod żadnym względem nie może być uważane za *walkę pomiędzy ludźmi*, tylko za wyścigi o wspólne dobro społeczeństw, a walką jedynie jest *wyłączność*, czyli zaprzeczenie współubiegania wszystkich ludzi, tworzenie sztucznéj nierówności sił" (3). Autor — jak widzimy — nie odróżnia współubiegania (emulacyi) od konkurencyi kupieckiéj, co jednak L. Blanc czyni; widać to nawet w przytoczonym przez Kamińskiego ustępie z *Historyi lat dziesięciu*. Konkurencya ekonomiczna, nawet w warunkach równości majątkowéj, nie przestaje być walką o środki żywności. Im tych środków jest więcéj, tém walka łagodnieje; im tych środków jest mniéj, tém walka staje się zawziętszą. Możemy to obserwować w świecie zwierzęcym i na pierwszych szczeblach uspołecznienia ludzkiego. Zdaniem autora, jest zupełnie mylném mniemanie, jakoby praca miała jakie granice; a jednak w rzeczywistości jest tak. Praca jest wynikiem żywności, a żywność zawsze jest tylko w pewnéj określonéj ilości. Kamieński stając w obronie zasady, że społeczeństwo może i powinno bezpośrednio rządzić funkcyami materyalnemi, co—zdaniem jego—możliwém jest jedynie pod wpływem współubiegania, mylnie mniema, że takie rządy bezpośrednie przestałyby istnieć, gdyby się stały świadomemi, i jako świadome miałyby pewien kierunek i pewne organy, a więc pewną określoną organizacyą.

Pozostając na wygnaniu, Ludwik Blanc wzbogacił literaturę francuską drogocenném dziełem: najlepszą dotąd jeszcze, według mego zdania, historyą wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Czynią mu zarzut, że historya ta napisana jest stronniczo. Zapewne. Żyrondystów ocenił z punktu widzenia owoczesnych Górali. Ale czy zupełny obiektywizm możliwy jest w historyi? Wszak historyk jest człowiekiem, obywatelem swego kraju, wyznawcą tych lub owych przekonań. Obiektywizm w historyi, dotąd przynajmniéj, świadczy

(1) Ibidem str. 36.—(2) Théorie de la propriété. Paris 1871. Str. 304.—(3) Filozofia ekonomii materyalnéj ludzkiego społeczeństwa. Cześć druga. Poznań 1845. Str. 212 i 213.

o pewném wyziębieniu uczuć obywatelskich i nieraz skłania się ku reakcyjnym poglądom. Najlepszym dowodem tego historya rewolucyi Taine'a. Mojém zdaniem, nie obiektywizm jest ważny w historyi, ale poczucie sprawiedliwości, poczucie prawdy. Nie gwałt zadawać swoim uczuciom należy, ale nie obrażać i nie zatajać prawdy. Objektywizm naukowy zostawmy dynamice socyologicznéj; w historyi uczucie obywatelskie powinno drgać silnie. Historya niech będzie nauką cnoty i obyczajów, jak tego chciał Adam Wawrzyniec Rzewuski.

Wojna domowa 1871 r. bolała mocno Ludwika Blanc'a. Był on zawsze gorącym patryotą francuskim. „Zajmuje się on—powiada o nim Hercen—jedynie Francyą, zna tylko Francyą, i nic okrom niéj nie zna. Wypadki wszechświatowe, odkrycia naukowe, trzęsienia ziemi i powodzie interesują go o tyle tylko, o ile dotyczą Francyi" (1). Patryota, ze zgrozą patrzał na potoki krwi bratniéj, przelane wobec 800-tysięcznéj armii niemieckiéj, stojącej na ziemi francuskiéj. Nie mógł on wprawdzie sprzyjać reakcyjnemu usposobieniu zgromadzenia narodowego w Wersalu, ale komuny nie rozumiał i przestraszał go jéj program decentralizacyjny. W oczach jego zgromadzenie narodowe reprezentowało bądź co bądź jedność polityczną, a Komuna rokosz przeciwko téj reprezentacyi. Brak stanowczości w jego charakterze uwydatnił się jeszcze jaskrawiéj w tym czasie, aniżeli dawniéj. Zająwszy pośredniczące, pojednawcze stanowisko, kiedy wszystkie jego usiłowania w tym względzie spełzły na niczém, powinien był, jak Lockroy, Clemenceau i inni, ustąpić ze zgromadzenia. Nie zrobił tego i tém ogromnie zaszkodził swojéj popularności. Kiedy następnie rzeczpospolita ugruntowała się, i Mac-Mahon ustąpił, przemawiał on silnie i przekonywająco za amnestyą powszechną dla komunalistów. W parlamencie został uznany przez skrajną lewicę za przywódcę i jako początkowy jéj program nakreślił: zakupienie i administrowanie przez państwo dróg żelaznych, asekuracyi i kopalń; unarodowienie Banku Francyi; kredyt państwowy dla wszystkich stowarzyszeń robotniczych odpowiednio zorganizowanych. Organ jego, *Le Réveil Social*, bardzo dobrze redagowany, wskazywał nieustannie na konieczność rychłego podjęcia reform społecznych.

Strapiony śmiercią swojego brata, znanego estetyka, Karola, coraz więcéj zapadał Ludwik Blanc na zdrowiu. Wyprawiony przez lekarzy na południe Francyi, umarł 5 grudnia 1882 r. w Cannes. Zwłoki jego sprowadzono do Paryża i bardzo uroczyście kosztem

(1) Sbornik pośm. stat, Str. 103.

państwa pochowano. Pomimo że popularność Ludwika Blanc'a wielce się była zmniejszyła w ostatnich dziesięciu latach, niezliczone tłumy odprowadzały ze szczerym żalem zwłoki jego na cmentarz. Nad grobem Edmund Chojecki, przyjaciel zmarłego, odczytał mowę pogrzebową, napisaną przez Wiktora Hugo, który sam z powodu słabości zdrowia nie mógł przybyć na pogrzeb.

Teoryą Ludwika Blanc'a rozwijali i wyjaśniali: Adolf Boyer (*De l'État des ouvriers et de son amélioration par l'organisation du Travail*), Buret (*Sur la misère des classes laborieuses en France et en Angleterre*), Vidal i inni. O wiele większy wpływ pozostawił po sobie Blanc na polu polityczném, jako założyciel stronnictwa radykalno-socyalistycznego. Dzisiaj potężne już to stronnictwo stoi na progu do władzy państwowéj.

Poglądy Ludwika Blanc'a wywołały największy wpływ na rozwój myśli socyalno-demokratycznéj w Niemczech. Wpływ ten jest widoczny już w dziele profesora Winkelblecha (Karola Marlo), który często powołuje się na Blanc'a, podnosi wysoko głębsze jego wniknienie w historyą czasów ostatnich i przyznaje mu jako publicyście pierwszorzędne stanowisko, ale nadewszysto uwydatnia się w pomysłach Ferdynanda Lassalle'a. Nieraz czyniono z tego zarzut Lassalle'owi, jakkolwiek jest to zarzut dziwnego nabożeństwa. Chodzi o to, czy myśl jest słuszna i wykonalna, a nie o to, czy jest ona powtórzeniem czyjéjkolwiek myśli, lub nie. Lassalle jednak odpierał ten zarzut i powiadał: nie prawda, w systemie Ludwika Blanc'a państwo jest samo przedsiębiercą; mój zaś system stawia je tylko w możności zostania przedsiębiercą. Temi samemi niemal słowami bronił się Ludwik Blanc, kiedy *Phalange* (wrzesień, 1840 r.) czyniła mu zarzut, że jego pomysł jest właściwie pomysłem Saint-Simona. Nie pragnę—odpowiadał na to Blanc—ażeby państwo stało się wszystkiém, stało się samo przedsiębiercą, jak tego chce Saint-Simon; dążę jeno ku temu, by państwo wzięło inicyatywę w rewolucyi przemysłowéj, która zasadę konkurencyi ma zastąpić zasadą stowarzyszenia. Wreszcie myśl Ludwika Blanc'a otrzymała—rzec można sankcyą w programie robotniczym, który marksiści i lassalczycy, łącząc się w jedno stronnictwo, ułożyli razem w Gotha w maju 1875 r. W jednym z ustępów tego programu czytamy: „Ażeby przygotować rozwiązanie kwestyi społecznéj, niemieckie stronnictwo robotnicze socyalistyczne domaga się ustanowienia, przy pomocy państwowéj, spółdzielczych stowarzyszeń wytwórczych socyalistycznych, pod kontrolą ludu pracującego. Stowarzyszenia te tak w przemyśle jak rolnictwie, powinny mieć takie rozmiary, ażeby następstwem ich utworzenia była organizacya socyalistyczna wszelkiéj pracy".

Nie omylimy się, utrzymując, że propaganda Blanc'owska zasady stowarzyszenia nie pozostała bez ważnego wpływu na naszą emigracyą. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli demokracyi naszéj, Wiktor Heltman, ogłosił w listopadzie 1844 r. prospekt nowego pisma, które miało wychodzić w Strasburgu, p. t. *Praca*. Pismo to, mające zajmować się wyłącznie zasadami społecznemi, nie doszło do skutku. Przekonania swoje społeczne Heltman streścił w napisanym r. 1850 artykule p. t.: „Przejście z dzisiejszego porządku społecznego do organicznego", który to artykuł po siedmnastu latach wydrukowała, wychodząca z Zürichu *Niepodległość* (N. 49 i 50 w grudniu 1867 r.). Autor wyłożył tu, w jaki sposób propaganda *zasady stowarzyszenia* przyczyni się do odmiany porządku społecznego. Przedstawia on siedm epok. W pierwszéj epoce myśli krążą bez ładu; w drugiéj wytwarza się już plan działania; trzecia cechuje się propagandą; w czwartéj myśl zstępuje do mas. Co do trzech ostatnich epok, przytoczymy własne słowa Heltmana.

„Epoka V. Propaganda zaczyna wywierać skutek. Tu i owdzie tworzą się stowarzyszenia rzemieślników, fabrykantów, rolników po większéj części chaotycznie, dla braku pojęcia głównéj myśli i wielu innych przeszkód, do których działania innych myśli policzyć trzeba. Myśli, próby téj pierwszéj organizacyi wytrzymać nie mogące, przestają istniéć."

„Epoka VI. Stowarzyszenia cząstkowe łączą się z sobą stosownie do okoliczności i potrzeb miejscowych, jakotéż wyrobionych pojęć; niezawsze w duchu natchnień z ogniska pochodzących. Ztąd nowy chaos (gzygzakami). Ruch w narodzie zaczyna wszakże być powszechny. Myśl stowarzyszenia się przeważa widocznie. Naród jest przygotowany do przeobrażenia społecznego. Myśli przeciwne mocniéj jeszcze bezsilność swoję czują. Nie jedno ich narzędzie zniechęcone działać przestaje."

„Epoka VII. Przygotowane prace dojrzały. Władza narodowa przystępuje do organizacyi. Nakazuje ją. Istniejące stowarzyszenia cząstkowe i zbiorowe rozwiązują się. Stowarzyszenie w gminy tworzy się wprost z mas ludu, porządne bez zamieszania (liniami prostemi) i łączy się z rządem za pośrednictwem obwodów. Innych myśli ledwie ślady tu i owdzie zostają. Uporczywsze wynoszą się za granicę (emigrują). Między niemi są i takie, co zawcześnie się urodziły, wrócą późniéj i panować będą. Władza łączy się z władzami innych narodów, dla stworzenia powszechnego stowarzyszenia."

Zasada stowarzyszenia się znalazła licznych wyznawców pomiędzy inteligencyą polską, a zwłaszcza w Poznańskiém, gdzie silny ruch umysłowy od 1840 r. nadawał téj prowincyi przewodnie zna-

czenie. W 1845 r. ukazała się w Poznaniu *Praktyczna filozofia wiejskiego gospodarstwa*, w któréj autor skłaniał większych właścicieli ziemskich, ażeby stowarzyszali się z włościanami. Każda wieś powinnaby utworzyć stowarzyszenie, do któregoby należeli wszyscy w niéj zamieszkali ludzie, wkładający w gospodarstwo kapitał, pod którym autor także i pracę rozumiał. Zyski dzieliłyby się w stosunku do włożonego kapitału. Każdy stowarzyszony byłby uważany za akcyonaryusza i brałby udział w ogólnych zgromadzeniach, gdzieby radzono o ważniejszych robotach, wybierano urzędników itd. Myśl tę gorliwie popierał Karol Libelt. W 1868 r. wydał on dziełko p. t. *Koalicya kapitału i pracy*, w którém zalecał stowarzyszanie się większych właścicieli ziemskich w pierwszéj linii z czeladzią i urzędnikami gospodarczymi, w drugiéj—z gospodarzami włościańskimi. Podług niego—na co zupełnie się zgadzamy, nie kolonizacya i parcelacya, lecz wielkie gospodarstwo rolne stowarzyszone jest jedyną właściwą drogą w dzisiejszych warunkach ekonomicznego rozwoju. „Spółka koalicyjna—powiada Libelt—ma na celu utrzymać i owszem majątek ziemski w całości, a nawet rozwiększyć go przez przykupywanie gruntów przybyłych, lub przez przystępywanie do niéj właścicieli sąsiednich, np. gospodarzy włościańskich. Ostateczne jéj cele daléj jeszcze sięgają. Z czasem, choćby po upływie wieków, ma zamienić wszystkie własności ziemskie dominialne na własności spółkowe, okryć ziemię rolniczemi koloniami spółkowemi, jakby kupiskami mrówek, pracującemi ku własnemu i powszechnemu dobru. Wszelka większa własność produkcyjna ma przejść na współwłasność. W miejsce jednostki, osoby właściciela, będzie postawiona osoba moralna ze stowarzyszonych do jedności współwłaścicieli“ (1).

---

(1) Koalicya kapitału i pracy. Poznań, 1868. Str. 43 i 44.

B. L.

BOBYLE.

(OBRAZ Z ŻYCIA BEZROLNYCH).

VI.

Był listopad. Przed pałacem stał powóz sześciokonny, ze starym Omelką na koźle. Wokoło dziedzińca przybyło, bo drzewa stały nagie. Przy ganku czekała służba. Nad głowami sunęły brudne, brzemienne długotrwałą słotą chmury, nozdrzów dolatywała woń spalonéj słomy przy ogrzewaniu pieców, tęsknoty nawiewając. Ścisnęły się u sług serca od żalu po ulatującém z pałacu życiu pańskiém, którego okruchy wpadały i do ich kalet ubogich. Gdy państwo z okien patrzeli na nich, rozrzewnieni byli przywiązaniem tych ludzi. Zdawało się im, że to są bracia i nad wszystkimi rozpięte jest skrzydło „czasów ojcowskich". Państwo wsiedli, służba cisnęła się do powozu. Dawne piastunki całowały się w twarz z panienkami i paniczami, mówiąc: daj Boże szczęśliwie! Furman cmoknął, konie targnęły i powlokły za sobą karetę. Jak na dźwięk sygnaturki kościelnéj większość tłumu pobożnych pada na klęczki lub krzyżem i tylko gdzieniegdzie sterczą ludzie zbuntowani, ledwie głowę pochyliwszy; tak słudzy na pańskie „bywajcie", jedni, jak Antin, z czupryną odkrytą, do pasa się pokłonili; drudzy, jak Taras z Musijem, kiwnęli zaledwie, zsuwając nieznacznie czapki. Kobiety wołały w pogoń: bywajcie zdrowi, jaśnie wielmożni, a klucznica przykładała chustkę do oczu. Państwo pojechali do stolicy. Służba odeszła, śmieléj gadając. Klucznica dała jakiś rozkaz, chcąc pokazać swe namiestnictwo w pałacu, ale głos jéj zagłuszyły śmiechy.

— Pojechali dyable lachy! — warknął Taras, objawiając tém gniew swój za zamiar wypuszczenia żydowi sadu.

Zima przeszła mroźna i śnieżna. Nadszedł kwiecień. Tarasa pociągnął nałóg do dworu. W sadzie pańskim zastał żyda, który po-

żerał okiem bogate kwiecie grusz i jabłoni. Dla niego każdy płatek zmienił się już zawczasu w rumiane jabłka i złotawe gruszki, brzęczenie pszczół i trzmielów budziło wspomnienie gwaru jarmarcznego. Taras spojrzał na drzewa, dawniéj przez siebie pielęgnowane, na trawę pod niemi, puszczającą się gęsto i zielono, a pod sercem tak go załaskotało boleśnie i za gardło ścisnęło, że aż kąty oczu wytrzéć musiał palcem szorstkim. Teraz tę trawę żyd sobie skosi i Ickowéj kozie odda. Gdyby pan był, możeby i nadal pozwolił. Oj, czasy parcha teraz nastały! Dawniéj był tylko lach i żyd, a teraz już sam ino żyd. Cieszy się niechrzczeniec, bodaj by mu przymrozki kwiat owocowy zwarzyły!

Po za krzewami malin i porzeczek dwa ule stożkowate, starannie przez tchórzliwego żyda omijane, stały. Taras nieznacznie go tam zaprowadził. Woń, właściwa chałatowym żydom, podrażniła czuły węch owadu, kilka z nich nad uchem mu zabrzęczało. „Zmykaj, Herszko!“ — krzyknął Taras, wpadając pierwszy umyślnie pod same ule. Żyd za nim, a rój złośliwych pszczół—w samę twarz! Cwałował po sadzie jak opętany, wzywając pomocy i powtarzając rozpaczliwie aj, waj! a pszczoły w ślad, tnąc żądłem. Jedna najuporczywiéj go ścigała, a do niéj po drodze dołączył się szerszeń urażony. Twarz żyda bąblami się pokryła, a Taras patrząc, mściwie szczerzył zęby.

Gdy idąc na folwark po zapłatę za swą podwodę do kolei, mijał kuchnią, słyszał miarowy odgłos noża Musija, siekającego mięso na posiłek dla ochmistrzyni i przedrzeźnianie Kuby śpiewów księżowskich. Ścieżką od kredensu do kuchni, na tle zieleni młodocianéj bzów, dźwigając naczynia białe, z monologiem mrukliwym na ustach, przesuwał się Musij. Stanęła mu w pamięci żywo służba kilkoletnia w sadzie. Stanąwszy nad jarem, miał pod sobą mieszkanie ekonoma, zasłonione dębami na skłonie, a po za niemi widniały strzechy słomiane budynków gospodarskich; stodoły z młocarnią, obory i stajnie. Od ekonomstwa wracała klucznica, panna Wysokińska.

— Nie ma już jurnego Tyszki! — obolewał złośliwie przed nią. Teraz wam, panienko, tęskno musi być... Inny nastał... Choć młody, ale żonaty!...

— Idź precz, zbóju jakiś! Ten co teraz nastał, potrafi wam chamom skóry wygarbować lepiéj!

— Oj, jaka panienka zła teraz, jak Tyszki niema!

— Precz włóczęgo jeden! Jak pana niema, to chamstwo to pozwala sobie....

Spuścił się na dół. Tam zżydowszczało wszystko. Szwargot dzierżawcy, spólników i komisantów nie umilkał. Odebrał należ-

ność, nawymyślawszy za okrawanie jéj, i wracał do domu mimo dworu, skąd pałac biały, o czerwonym dachu, spoglądał rzędem dużych, jasnych okien, zasłonięty zlekka jeszcze rozpękającą, młodocianą zielenią kwietniową. W polu orka szła i ruń pszeniczna mieniła się w promieniach słońca. Przy pługach, z parą wołów ociężałych na przedzie, zgięci, w koszulach tylko i szerokich, kołyszących się szarawarach, zostawiając za sobą długie czarne bruzdy, z jednostajném „cob-cob" na ustach i zmęczeniem na twarzach opalonych, szli wciąż naprzód i wstecz parobcy folwarczni. Nad nimi wrony krakały, czyhając na pędraki wyorane i krety ślepe, obumarłe, a daléj w błękicie, niewidzialne jakieś ptaszęta zalewały się rzewną pieśnią i skowronki świegotały wesoło. Wiosna łagodnie kołysała powietrze.

— Orze nasz brat żydowi, orze! Obaczymy, jak parch zagada do nas, gdy żniwa przyjdą.

Taras czekał czasu żniw i Wilszanka również.

Pałac ocknął się, zakipiało w niém znowu życie państwa, co wrócili ze stolicy na lato dla wytchnienia. W polu nalane kłosy pszenicy uderzały o siebie z szelestem, chwiane wiatrem. Ozwał się dźwięk kos, zaświeciła na falującym, żółtym łanie, bielizna chłopska. Nastały dni robocze. Taras, Fedosia i Hanna także poszli na zarobek do żyda, jak przedtém do pana chodzili. On zataczał półkola kosą i zmiatał za każdym zamachem dużo, a kobiéty jego zgięte wiązały pszenicę w snopy. Gdy słońce zbyt dopiekło z góry, nie przysłonięte choćby jedną chmurką, skóra oblała się potem, ręce zapałały nieznośnie, natarte rękojeścią kosy lub kręceniem przewiąseł, w oczach pociemniało od dopływu nadmiernego krwi do głowy; tych troje ludzi przystawało w robocie wraz z innymi. Ocierali czoła i zwilżali wodą, nagrzaną żarem lipcowym, gardła zaschłe. Potém znów imali się pracy. Migotały kosy, rósł obszar ścierniska, przybywało mendlów, raziły promienie w czaszki, mięśnie owładał znój. Tak aż do schyłku dnia! Myśl każdego z nich płynęła nieujęta, rozpływna, jednostajna, jak łan żółty, jak rozłogi niezmierzone, jak dal sinawa, z gwoździem troski o los zapłaty. Czasem z zaschłego gardła dziewczyny wypadł dyszkant smutnéj pieśni i zawisł bezsilny w przestrzeni pałającéj, lub ekonom żydowski przemknął konno dla dozoru.

O zmierzchu roboty zawieszano. Ze ścierniska, pokrytego mendlami, wracały trzy partye najemników. Przodem szły dziewczęta z grabiami na ramieniu, za niemi chłopcy, kołysząc kosy na barkach, a z tyłu mężowie z żonami. Szli krokiem ciężkim, do rozmowy nie ochoczy. Zato na przedzie języki obracały się żwawo

i śmiéchy rozlegały, kończone rozbitym, niestrojnym, ochrypłym chórem pieśni żniwiarskiéj. Pochód ten najemników zaścigał po drodze panny i paniczów na przechadzce, zalęknionych widokiem téj ciżby roboczéj, grubéj, gotowéj im krzywdę jaką zrobić. Późniéj spuszczał się do jaru. Tam okrążał dom ekonoma i czekał, aż zapisane będą dni robocze. Przy oknie otwartém siedziało dwóch żydów, Szloma Horodkin, dzierżawca, i Szmul Lajman, jego spólnik. Ten ostatni najwięcéj był niecierpiany za brutalstwa. Raz sypnął gradem obelg Hannie, gdy zdało mu się, że kilka snopów związała niedbale. Tarasowi nie mógł zapomniéć obrony siostry. Podszedł do niego wtedy ten bobyl, potem oblany, z czapką na bakier, robiąc piersiami od zmęczenia i potrząsając gniewnie kosą, spytał ostro: „Czego wam trzeba od niéj?“—„Do ciebie nie należy! kosić mi!“ Gdy Taras wciąż stał między siostrą a nim, zuchwały i urągliwy, zbójem go nazwał, odchodząc. Na całym łanie ucichły pobrzękiwanie kos i wyprostowały się plecy najemników zaciekawionych. Opuszczając ich, czuł za sobą oddech nienawiści, stłumione obelgi na siebie „skórodziercę„ i „chrystobójcę.“ I teraz, gdyby go Szloma Horodkin nie ciągnął za połę, puściłby wodze swéj pogardy dla téj tłuszczy brunatno-siermiężnéj, tonącéj w zmierzchu wieczora i tłoczącéj się do okna, żeby śledzić każdy ruch jego pióra, kreślącego liczby niesprawiedliwe. Obrachunek zarobku tygodniowego miał nastąpić nazajutrz. Wracali do domu z utyskiwaniem na gospodarstwo żydowskie.

Nazajutrz znowu łan się zabielił od koszul kmiecych i zamigotał połyskiem kos. Słońce raziło, pot się toczył, a stérta na klepisku w dwójnasób urosła. Po trzynastogodzinnych trudach przyszli wilszańcy pod okno, gdzie pejsy czerwieniały Szmula Lajmana. W tym jarze, ocienionym z jednéj strony ogrodem dworu, a z drugiéj dębami, rozproszonemi po skłonie, było ponuro i duszno, oborą i stajnią trąciło. Paciorki kościane na sino-połyskliwych prętach „szczotów“ latały pod palcami żyda, jak opętane, od boku do boku ramek czarnych. Pióro kreśliło cyfry, a najemnicy kołysali się niecierpliwie, rozmawiając. Gromada dziewcząt i mołodyć odeszła, śpiewając, ponieważ odbierały zapłatę miesięcznie. Na uboczu stało kilku bobylów i Taras z Dribnym.

— Jak ty, Tarasie, myślisz? Mnie się zdaje, że niechrzczeniec ten rudopejsy urwie nam...

— Ino patrz, jak nam to samo zrobi, co najemnikom z Jacek! Tylko z nami może trudniéj będzie—ulęknie się!

— A cóż on zrobił? Dobrze nie wiem.

— A to zrobił — ciągnął Taras, złowrogo zérkając na okno — że wpierw, psubrat, żeby zachęcić naszego brata, przyrzekł im po rublu dziennie mężczyznom, a po cztéry złote kobietom. Głupi cham zaufał żydowi, pocił się od wschodu do zachodu, a kiedy przyszło do obrachunku, zamiast rubla, otrzymano pięć złotych!... Kobiéty za wiązanie dostały nie po cztery, ale po dwa i dwadzieścia! Późniéj, niecny chrystobójca, widząc gniewy, wyszczerzone zęby i zaciśnięte pięści, postawił wiadro gorzałki dla udobruchania!

— Cha, cha, cha! Dobry basarunek! — odzywał się chór parobków.

— Ja myślę, że i nam nie dotrzyma słowa?—rzekł któryś z bobylów.

— Czemuż to?

— Ha, pszenica prawie skoszona, a to dla nich najważniejsza.

— Nie odważy się parch! — syknął Taras.

— Ej, czemuby nie miał podłości zrobić naszemu bratu? Alboż nie żyd?

— Kiedy ci mówię, że nie będzie śmiał, to nie!

— A jackowscy?

— Co tam jackowscy! Głupia trzoda! żydowska smycz! Myśmy nie jackowscy! Łaski naszéj jeszcze poprosi, parch, bo owies na pniu i dojrzewa, jęczmień téż! A młócka jesienna? Gadanie!..

— Ho, ho, młócka! Sprawi ci on kurtę nam, gdy maszyny wynajmie!

— Głupiś z maszyną! Nie opłaci mu się!

— Oj, oj, jeszcze jak! Prędzéj zmłóci i do kolei odstawi!

— To cóż? Ale jednak bez nas ani rusz! Przecie u hrabiego łońskiego roku młóciła maszyna téż, a brata naszego siła kręciła się koło niéj!

— Ja to wiem — rzekł Taras — że jeśli maszynę sprowadzi, będzie kiepsko!

— Albo co?

— Ten panicz z Warszawy, co u państwa, mówił mi, że maszyna, to krzywda dla naszych rąk. Będziemy mieli mniéj zarobku.

Wydłużyły się twarze obecnym, stanęli bliżéj Tarasa. Tymczasem u okna wciąż latały paciorki oszalałe. Żyd swój różaniec odmawiał nad skórami chłopskiemi. Liczenie ucichło, a wybuchła sprzéczka. Namiętny głos Szmula głuszyły wymówki najemników. Gdy hałas był większy, ekonom powtarzał: „cicho chłopcy!“ Paciorki warczały znowu. Księżyc blady, okradziony z połowy swego kręgu, posuwał się brzegiem sklepienia, zarumienionego na zachodzie zorzą. W jarze powietrze płynęło świeże. Na stawie plu-

skało wiosło, wybuchał srebrzysty śmiech panienek białorękich, uciekał śpiéw dźwięczny, uczony, do ogrodu, zalanego zmrokiem, powtarzany przez drzewa.

— Jakto — mniéj zarobku?

— Oczywiście! Mniéj dni naszych roboczych potrzeba mu będzie. U pana dawniéj przy młocarni tośmy prawie całą zimę pracowali, a maszyna zmłóci za dwa tygodnie wszystko!

— A prawda! Dobrze Taras mówi!..

— A co, widzicie? Ja sam wytrzeszczałem z początku oczy, kiedy mi ten panicz z Warszawy to mówił. „Czy wy lubicie maszyny? — pytał mię. Bodaj ją niemoc! — mówię. Po co nam ta nowość? Ojcowie nasi nie znali tego! Dopiéro mi tłómaczy, za co ją trzeba nie lubić. „Ona sama przez się — powiada—dobra jest. I wy mielibyście z niéj pożytek, gdyby ona waszą była i młóciła wasze zboże?

Chrząkali i głowami trzęsli, dumając.

— Ej, panie kupcze!—krzyczano u okna. Tak nie można! To krzywda!..

— Co krzywda? jaka krzywda? Tyle wszędzie płacą!

— Nie prawda! Gdzieindziéj lepiéj płacą!

— Dobry sobie! Przyrzeka więcéj, a daje mniéj! My nie jackowscy!

Cisnęli się wszyscy do okna, ciekawi i rozdrażnieni.

— Więcéj nie dam! Chcecie—bierzcie pięć złotych!

— Co pięć? rubla, rubla! Nie trza było zwodzić! Nie poszlibyśmy na robotę!

— Tak, rubla! Nie inaczéj!

— Cicho, chłopcy!— uspokajał ekonom. — Kupiec także musi zarobić!

— Co zarobić? Niech zarabia, ale nie na naszych skórach!

— Więc nie dacie, kupcze, więcéj? — sapał Taras nad samém uchem żyda.

— Nie dam! Ja nie przyrzekałem więcéj, to mój spólnik!

— Tak? To twój wspólnik? Tyś jego wspólnik, a on twój, bies was zrozumie!

Nienawiść ogarnęła Tarasa. Dyszący, z ogniem w oku, podsunąwszy swą obrosłą i spoconą twarz pod sam nos żydowi, syczącym głosem, po przez zęby krzyczał:

— Cóż ty, plemię parszywe, brata naszego zwodzisz, hę?

Żyd chwycił mu garść koszuli na piersiach, potrząsnął i wrzasnął: „Idź precz! Cham ten! zbój! Tyś zbój, wiesz o tém?“ Dribny pięścią mu nad głową wygrażał, lecz on go pchnął.

— Hej, Tarasie!—wołano z tłumu—dajesz się żydowi garbować?

Krzyk u okna zmienił się w ryk zwierzęcy. Żyd charknął i na wciąż zadawane sobie namiętne pytania przez Tarasa, splunął mu spienioną, cuchnącą czosnkiem śliną w twarz. Ręce jego wplotły się w żyda. Ująwszy go pod ramię, ciągnął przez okno, radując obecnych. Potém, gdy zrozpaczony, zaczepil się nogami za stół, przewiesił go na oknie. W ręku Dribnego zjawił się bicz parobka folwarcznego. Rozległ się miarowy świst rzemienia. Tłum liczył razy z oznakami zadowolenia.

— Tak, tak! Bij go! Wal! Jeszcze raz! Niech popamięta parch!

A żyd, przewieszony na oknie, z zatoczonym aż na głowę „łapserdakiem", ukazując plecy z odzieżą w nieładzie niebu gwiaździstemu i półksiężycowi, drżał, jak liść osinowy. W wystraszonéj wyobraźni jego roiły się widma śmierci, mordu.

— Cóż to, rozbój?—grzmiał ekonom. Héj starosta! Gdzie starosta?

Na równi z innymi rzucał obelgi żydowi, śmiejąc się z niego najgłośniéj.

— Toś ty taki urzędnik? Rozdziawiasz gębę, jak inni? Rozpędzić mi ich zaraz!

— Hej, chłopcy! Przestańcie! — wołał, a głos jego marł we wrzawie.

— Dosyć bracia! Chodźmy do domu!

Nie słuchano.

— Przestańcie!.. Bożeż, mój Boże!—żalił się chudy, wyżółkły, z lichym kosmykiem brody, człowieczek.

Ochłonąwszy, odeszli.

W kilka dni później, w jarze, Taras z Dribnym siedzieli na dużym dębowym pniu. Przed nimi stało kilka brogów siana. Zorza przyświecała i przepiórki się wabiły w pszenicy nad jarem. Patrzali złowrogo na siano, przypominając onegdajszą scenę z żydem. „Nie wyżyje parch z nami!" —powtarzali. W długich butach, w kurtce, ukazującéj koło szyi i na piersiach koszulę wyszywaną po ukraińsku ze strzelbą na ramieniu, szedł ów panicz z Warszawy, zwany przez nich „skubentem".

— Daremnie, paniczu, chodzicie tu ze strzelbiną! Myszy nawet nie upolujecie! Żyd niechrzczony powypłaszał, co było!

— Dobry wieczór wam!—rzekł, zbliżywszy się, a twarz miał o zmierzchu, jak gdyby czarną chustą podwiązaną pod szczękami. Lecz nie była to chusta, tylko broda czarna, poniżéj wargi dolnéj rosnąca. Oczy mu ciemne błyskały żywo, a w około ust i nosa smutek się błąkał.—Alboż chyba poluje?

— Tak—na nasze skóry!

— Krzywdzi was?

— Kto nas nie krzywdzi? Ale parchy najwięcéj!..

— Lepiéj było, gdy sam dziedzic gospodarował?

— Tak, paniczu, przywykło się!.. Pan nasz nie taki nieużyty, jak żyd!

— Sprzątnęliście już z pola? Pszenicy dużo siejecie?

— Bogać tam dużo! Pszenica, to nie nasze ziarno, ale pańskie! Gdzie ją siać? Ledwie pod żyto wystarczy roli...

— Wyście rolni?

— Nie, paniczu, ja bobyl! Oto on—rolny! Służyłem panu za ogrodnika. Teraz sad w arendzie, zarabiam u parcha...

— Dużo takich jest we wsi?

— Są, paniczu...

— A zamożni gospodarze są?

— Są i zamożni, są i biedni—różni!..

— Po ile najwięcéj mają włók?

— Kto tam ich wié. Jednym wystarcza do nowego i na podatki, innym zbywa... Chodzę na zarobek...

Ale czego to on tak się zajmuje nami? Bawi go to? Czy nie cesarski posłannik? Woli naszego brata, rzadko w pałacu bywa, ma ręce mniéj białe... Dyabeł zrozumié tych książkowych, surdutowych! Nieufność, zmieszana z nadzieją nieokreśloną, zakłóciły ich spokój. Tarasowi stanęły w pamięci czasy nadań—gruntowych, komisya, omętry, Dribnemu—turma... Dał im po papierosie i oddalił się, nucąc „gdy naród na pole"...

— Czemu on pyta?

— Albo ja wiem? Ciekawy...

Światło dzienne skonało, gwiazdy zamigotały.

— Poczekaj, Tarasie! Później!... Teraz ekonom ma wracać z Jacek...

— Nic to! Będzie mu jaśniéj...

Zapałka, rzucona pod stértą, zaświeciła małym, bladym płomieniem, a oni do wsi podążali, szepcąc. Potém jar utonął w świetle, i niebo nad nim zciemniało. Wrony, drzémiące na dębach, zakrakały, pierzchając. I zające, spłoszone, strząsały rosę z trawy, zmykając na widok kupy czarnéj siana, owiniętéj jasnością. We dworze serca zabiły trwogą od łuny i żyd nazajutrz łamał ręce, gdy mu kilkadziesiąt pudów paszy ubyło.

VII.

Na klepisku stało ośm dużych, żółtych stert. Lokomobila rozdzierała powietrze wyrywającym się od czasu do czasu świstem przeraźliwym. Młocarnia wydawała łoskot. Roiła się od czerwonych spódnic kobiet i białych koszul mężczyzn. Jedni z nich zgrabiali słomę zmiętą, a drudzy podwozili wołami pszenicę. Kobiety, jedne stojąc na drabinie drugie na ziemi, podawały snopy, na wierzch. Wiatr roznosił plewę. Pełno jéj było drobniutkiéj, zawieszonéj w powietrzu. Zasypywała oczy robotnicom i zatykała płuca, drapiąc gardła. Jednak śmiech i śpiew ochrypły nie opuszczały ich. Śmiały się z młodości, a śpiewały obrzędowe pieśni, rozmarzone nadchodzącym czasem wesel jesiennych. O południu odpoczywało wszystko, i ludzie, i woły, i młocarnia. Najemnicy z Wilszanki i Jacek posilali się. Żony znosiły garnki ze strawą, zawinięte w szmatę płótna, wiodąc ze sobą dzieci. Maszynista poszedł do ekonoma, „bo, jak się o sobie wyrażał, człowiek szlachetnego urodzenia nie może przestawać z chamstwem, chyba w czasie roboty, gdy trzeba doglądać.“ Z pod lokomobili, czerwony, jak rak w ukropie, wygramolił się palacz, dziecko Polesia, w łapciach, o włosach kołtunowatych, brudny, pomarszczony, wytrzymały na gorąco piekielne przy piecu maszyny. Gdy przemówił do obecnych swą nietutejszą, miękką, ślamazarną mową, śmiano się zeń: oj, *łapacan*, *łapacan*!

— Żydzi podejrzywają ciebie, Tarasie, o podpalenie stogu w jarze—szepnęła mu na ucho Fedosia, stawiając przed nim i Hanną garnki z barszczem i ziemniakami.

Położył kęs chleba na język, łyknął polewki ćwikłowéj, zamlaskał łapczywie, łypiąc oczyma.

— Wiem! Nic nie zrobią, świadków nie było... Groził, parch, że słomy nie da na opał. Obaczymy! Pan pozwolił—wezmę!

— Oj, na pokaranie nasze Bóg zesłał tych parchów!

— Bóg! Pański wynalazek! Sprzykrzyło się w domu siedziéć, żyda wpakowali nam na kark!

— A może już nie pojadą? Będzie przed kim się pożalić...

— Gdzie tam! Pojadą! Wymłócimy żydowi pszenicę, sprzeda ją parch, da pieniędzy, pojadą; lecz wprzód kurnik Musij wypróżni, usmaży ostatnie kurczę, a potém—jazda!

Dokoła, nad rowem polowym, zwiesiwszy weń nogi lub nieopodal młocarni, chłeptano barszcz, żuto chleb razowy. Słychać było czkawkę, od łapczywego spożywania wstrząsającą piersi. Krzyżowały się śmiechy i żarty parobków i dziewcząt. Śród mężczyzn krążyły słowa utyskiwania, niezadowolenia z żydów. Przebrali mia-

rę niesłuszności! Chcąc ukarać za krnąbrność naszego brata, sprowadzili z Białéj-Cerkwi żołnierzy do kopania buraków. Wyzuli dziewczęta wilszańskie z zarobku dawnego, psubraty. Oj, ci komendanci rotni! Oni także za żydów! Przyjechali, poszeptali z parchami, napisali umowę, nabrali pieniędzy i wrócili do miasta trwonić je w karty, za żołnierzy... Dwie roty przyszło. Gmerzą teraz tam w polu z guzami błyszczącemi na płóciennych mundurach, zawodzą pieśni zgodne o matce Wołdze, o „dębinie“, o „białym łabędziu“ lub o własnéj żołnierskiéj doli. Gdzie się obróć, żyd nieużyty stanie ci na drodze. Czy może być co niegodziwszego? Kupy całe liści burakowych leżą na polach, a zabrać dla bydląt nie pozwala!

— Tak, tak, nieużyty parch! — wybuchła Fedosia. Nie daléj jak onegdaj, idę do jaru, gdzie są buraki wykopane i botwina więdnie. Zabiorę, myślę sobie! Krowa się pożywi, wieprz, po co to ma gnić? Tylkom się nachyliła i jęła w fartuch zagarniać, aż tu ci z góry *parchuć* woła: rzuć mi zaraz, babo, ty siaka taka, bo kija zarobisz!

— I cóż?—pytały inne.

— Musiałam posłuchać! W jarze ja tylko i on byliśmy, mógłby mię otrzepać, kanalia!..

— Mści się niechrzczeniec za poturbowanie w czasie żniw!

— A jużci!

— Oj, nie wyżyje on z nami! Wyleci!

Ucichli i powstawali zwolna. Żydzi, ekonom i maszynista ukazali się na klepisku.

— Do roboty!

Palacz-łapacan wskoczył do jamy swéj przy piecu, płomień buchnął, a po chwili znowu maszyna zagwizdała i pasy się ocknęły. Młócono. Dziewczęta bose, opylone plewą, raźno nosiły snopy, ciskając je czasem na głowy parobków żartem.

— Kiedyż ty, Hanno, pójdziesz na zarobek do cukrowni w Saliwonkach?—pytały ją towarzyszki.

— Jak tu skończę!

— Nie straszno ci będzie jednéj śród kacapów i łapacanów?

— Czego mam się bać? Są tam i nasi. Z Jacek kilka najemnic jest, Maryna Omelki furmana pójdzie ze mną...

— Patrz ino, żeby się tam z rucianego wianka nie odarto!— przestrzegały siostrę Tarasa, doświadczone mołodycie. Dużo tam jest zwierzchników młodych.

— Musiała się nauczyć już od Antinichy, jak przyszłego męża podejść i ukryć ślady cudze... żeby nie obił, gdyby poznał...

Hanna nie słyszała ostatnich słów. Smagła i wiotka, przystanęła nieco, wsparta na widłach, i patrzała w dal, na zachód. W pro-

mieniach wieczornych słońca czerniał smukły i wysoki komin cukrowni hrabiowskiéj, widny o trzy mile w koło. Od strony buraków, tam gdzie resztki stepu starego biorą początek, leciał chór dziko-poważny żołnierzy pracujących.

— Czego stoisz, kozo jedna?—wymyślał żyd. Dużoś zrobiła już? Taka praca i dwóch złotych nie warta!

— A wy to po jakiemu podajecie snopy, córki ladacznicze! Nie rozrzucać!

Śmiały się, kpiąc między sobą z żyda i ekonoma.

Za niemi mężczyzni zgrabiali słomę. Taras całe wiązki dwupudowe wyrzucał w górę. Tonęli w niéj, mieli ją na plecach i włosach. Stérty pszenicy z klepiska znikały, a rosły worki ziarna. Parobcy zwozili je dużemi wozami drabiniastemi na folwark, do stodoły. Tam zsypywali w kupy. Najemnicy patrzeli na dzieło swe i trzęśli głowami smutnie. Ten dar słońca i ziemi, pokropiony potém ich, obciąży wagony za kilka dni, a późniéj za morze popłynie. Gdyby w ich mocy było, nie puściliby!

— Tak, tak, wywiozą od nas ziarno boże—mówił Taras jakby do siebie—a nam ochłapy zostaną, za które późniéj żyd podwójnie zedrze!

Ostatnie słowa wywołały w jego duszy obraz panicza „skubenta" z brodą czarną, rzadką i smutno-złośliwym uśmiechem.

— Prawdę mówi!—potwierdzano.

— A czemu ja prawdę mówię, hę?

— Bo prawda i dość!

— Patrzcież ich! Bo gdy mało czego jest, a dużo ludzi razem prosi, parch ich w garści trzyma i lichwę zdziera!

— Dyabli syn-—odpowiadano.

W kupie słomy nad jarem poruszyło się coś! Zaognione twarze dwojga ludzi wyjrzały. Powstał wpierw Dribny, późniéj Ustimia.

— Ci nie sromają się! I w dzień i w nocy...

— Zgrabiajcie chłopcy, tylko dobrze!—zachęcał żyd.

— Rozumié się, kupcze! Za to nam płacisz...

Obejrzeli się po sobie złośliwie.

— Ej, Taras, Taras!—ubolewał żyd—przestałbyś buntować ludzi! Po co kłótnia? Czy nie lepiéj by po sąsiedzku? Ja wam, wy mnie... Dość będzie Dribnego!

— Gdyby nas nie obdzierano, bylibyśmy po sąsiedzku!

— Któż was obdziera? Toć to wy nas obdarliście...

Zająknął się.

— My? was? cha, cha, cha!

— A spalone stogi?

— To my? Bóg pokarał za krzywdę!

— Oj, nic! Znam ja kogoś...

Spojrzał na Tarasa.

Ostatnie snopy młocarnia migła, stukając swemi przyrządami coraz głośniéj. Tłoki maszyny ustawały. Palacz, oblany potem, czerwony, opuścił swą norę. Omało w niéj śmierci nie znalazł onegdaj, gdy wóz słomy wywrócił się nad jamą, gdzie podsycał ogień buchający z maszyny. Najemnicy odchodzili gromadkami do domu. Prawie całą stértę zmłócono tego dnia.

Codzień ubywało tyle i kupy ziarna przewianego rosły w stodole. Koło niéj codzień więcéj piętrzyło się żółtych, porządnie ułożonych stért słomy zmiętéj. Po dziesięciu dniach już lokomobila nie gwizdała i nie sypała popiołem głowy najemników. Nie było już jéj wcale na klepisku, pozostało tam nieco ziarnek dla wróbli i ośm czworoboków blado-żółtych trawy smutnéj, uciskanéj trzy miesiące ciężarem stert. Młócka skończona. Nad jarem, stoi słoma dużemi kupami, w stodole—kilkadziesiąt tysięcy pudów zboża. Na polach zielona ruń, z któréj na przyszły rok znowu ziarno będzie.

Wypłaty odbyły się burzliwie, z obustronném wymyślaniem, przy pogróżkach najemników. Omal nie powtórzyła się scena z czasów żniw. Krzyknięto nawet w tłumie: „w siedzenie parcha!“ ale nikt nie miał ochoty. Odchodząc tylko, powtarzano: Popamiętasz, parchu! Bóg cię ukarze za krzywdę!

Z jesiennych robót polowych jeszcze pozostawało odstawienie buraków do cukrowni. Sprzężajem folwarcznym za trudno byłoby, w fabryce przynaglano, należało śpieszyć. Wobec zniżonéj skali produkcyi, spowodowanéj ogólnym zastojem, dostawcy surowca, mający go za dużo, zależeli zupełnie od łaski cukrowników. Kaprysy wypadało znosić cierpliwie. Ekonom jeździł konno na wieś i namawiał do roboty. Znaleźli się tacy, którym nie pilno było zarabiać, przednówek ich nie trwożył. Ci radzili zemstę za sprowadzenie żołnierzy do buraków, za niesłuszną płacę i wiele innych krzywd. Małorolni i bobyle inaczéj trzymali o tém. Podawali ucha, bo przyrzekano im dobrą zapłatę.

— Kupcy wam zapłacą od puda — zapewniał, uroczyście ekonom.

Potrzeba zarobku skłoniła i Tarasa. Zaprzągł swego gniadosza i ruszył z innymi w pole.

Saliwoniecka cukrownia od buraków zdawała się leżéć bardzo blisko, komin jéj jak gdyby wyrastał tuż zaraz z pod ziemi i dymił

nie daleko. Tymczasem dzieliło ją od tego miejsca przeszło dziesięć wiorst. Po nieścignionéj okiem płaszczyźnie, twardą, gliniastą drogą ciągnął się długi szereg wozów do cukrowni z obłoconemi burakami na nich. Konie i woły poganiali ludzie, niknący w kurzu. Obok nich, konno, ze strzelbą na ramieniu, harcował ekonom. Bydlęta aż się uginały pod brzemieniem, tak dużo ładowano na wozy. Od puda miano zapłacić, więc jaknajwięcéj, aż do treszczenia kości nieszczęsnych czworonogów, nabierano. Koń Tarasa ciężko wzdychał, uginał się biedak, rwał wciąż naprzód, smagany, korzystając z każdéj chwili zadumy swego pana, by zwolnić!

— Czegoś przystanął, opętany?—gromiono go—bodajbyś zkołowaciał!..

Wlókł znowu swą taczkę, stękając, z okiem szklaném, wyskakującém z powiek.

— Pocoście tyle nabrali!—wołał ekonom z konia. Nie dowieziecie! Czy można tak dręczyć zwierzęta?

— Nic to!—odpowiadano, licząc w myśli zarobek.

Szereg wozów sunął, skąpany w kurzu i promieniach ukośnych, jesiennych. Mijano łagodnie zaokrąglone, zielone mogiły, których siostry odskoczyły w dal siną. Czasem zapadano w jar, otwierający się po drodze. Gdy jechano pod górę, grad razów spadał na grzbiety zwierząt. Potém znowu równina niezmierzona i komin czarny, sterczący na ziemi. Nuda i tęsknota od takiéj roboty!

Wozy dudnią po moście, rzuconym z brzegu na brzeg rzeki. Woda, powściągniona śluzą, szumi pod spodem, wpadając wściekle na koła młyna po lewéj ręce, a po prawéj rozlał się szeroki, błyszczący staw. Na przeciwległéj stronie olbrzymia, czerwona masa cukrowni zapadła w tonie na opak, z piętrami swemi, oknami i kominem sążnistym o czarnym falującym warkoczu dymu.

— Przywieźliście dużo niezdatnych buraków!—spostrzega chemik fabryczny. Spory procent strącimy w tym roku!

Wozy i ludzie otoczyli elewator. Ważono przy wtórze niespokojnego tętna dostawców. Buraki znikały w składach cukrowni. Budynek czerwony piętrzył się olbrzymio nad głowami wilszańców. Myśl ich pracowała napróżno nad tajemniczém wnętrzem jego. Odpowiadał im stłumionym sapaniem pary kotłowéj, zmięszaném z oddechami ludzi zamkniętych w jego czeluściach. Tam ci dopiero mozół i pot!

— Co tam jest?—pytali siebie.

— Bóg święty wié!

— Czy to prawda, że tam mężczyzni razem z kobietami nago chodzą?

— Prawda!—mruknął Taras.

— To i twoja siostra także?

— Nie, ona niżéj, przy płókalni...

— To ci musiała dziwów się napatrzéć! Powiadają, że tam gorąco, jak w piekle. Jedni łapacani wytrzymać mogą!

Cukrownia westchnęła głośniéj, aż okna zabrzęczały. Straszliwy świst rozdarł powietrze.

— A skołowaciéj ty, wiedźmo!

Znowu równina, wyciągnięty drogą długi szereg wozów, komin i miasteczko z tyłu, a ekonom na koniu z boku. Dwa razy zawieźli buraki do cukrowni. Zrobili czterdzieści wiorst. Więcéj nie mogli, choć chcieli. Bydlęta wybiły się z sił. Na parokonne wkładano po czterdzieści pudów. Taras jednego razu naładował aż dwadzieścia pudów na swego gniadosza, za to powtórnie musiał nabrać tylko dziesięć. Koń zmęczony był bardzo, pachwiny mu zapadały i grzbiet coraz więcéj, gdy wlókł ciężar za sobą. Sierść miał mokrą, jak od deszczu ulewnego i nogi drżały. Taras zaś wciąż mu wymawiał bezsilność, uderzając srogo. Odpowiadał biedak rozpaczliwem poruszeniem rzępią ogona: nie mogę! Zresztą i sami ludzie uznoili się.

Słońce jaskrawo zachodziło, na jednéj z większych mogił dwa konie stały z paniczem i „skubentem“ warszawskim na grzbietach. Długi szereg wozów mijał. Z tyłu jechał Taras. „Po dwanaście groszy od puda!—myślał. To dobrze!“

Czwartego dnia, jadąc w pole, postanowił zbadać, czy żyd nie nosi w swéj głowie innego zamiaru względem zapłaty. Przy burakach, prócz ekonoma, byli i żydzi, Szloma Horodkin i Szmul Lajman.

— Jaki procent strącają z buraków w fabryce?—pytał Szmul ekonoma.

— A spory! sześć funtów na pudzie.

Żyd podrapał się w głowę i mlasnął językiem rozpaczliwie. Spojrzał na spólnika, zamienił słów parę z nim w żargonie. Z twarzy widniało postanowienie odbicia strat na chłopie. Gdy ekonom się dowiedział, że chcą mniéj zapłacić za podwody, poczuł swą skórę w niebezpieczeństwie. Sam pierwszy zapewnił uroczyście chłopów. Mogłaby go od nich nieprzyjemność spotkać. Lud bujny! Z ciągłego strącania na wadze domyślano się, że żyd szkody ponosi. Czuli, że będą przedmiotem odwetu. Taras uśmiéchał się złośliwie i drażnił towarzyszy przypuszczeniami.

— Obaczycie, urwie nam coś...

— Niech ino spróbuje chrystobójca! Pejsy urwiemy!

— Słyszałem, jak ekonom gadał z nimi o naszéj płacy. I zrozumiałem, że albo nam obetną na pudzie, albo od dnia zapłacą...

— A zdechną, psubraty!

Naładowano wozy po raz wtóry i ruszono długim szeregiem po drodze, noga za nogą. Grzbiety się wyginały koniom, uda naprężały i było już kilka wiorst przebytych. Taras trzeci raz chrząknął, zamierzając przemówić. Spojrzał na ekonoma.

— A jak to tam będzie z zarobkiem naszym? Nie wiécie czasem, panoczku?

Mrugnął chytrze.

— Albo ja wiem?—ruszył ramionami ekonom.

— Musicie wiedzieć, boście obiecali nam napewno!

— Nie ja wam zapłacę, ale dzierżawca.

— Dobrze, panie, ale wyście przyrzekali!

— A tak, tak! Gdyby nie to i dyabełby nas nie wywlókł.

Rozpacz ogarniała ekonoma. Kusy i krwisty, z wąsikami czarnemi, strzechowatemi, drżał na siodle, niecierpliwy.

— Jam nie przyrzekał, bo nie będę płacił!

— Tak? tyś nie przyrzekał? a któż? my?

— Ej, zwodzą nas, psubraty!

Rozkołysały się języki, namiętnym słowom końca nie było.

— A pocóżeś ty mówił, że nam zapłacą po dwanaście groszy od puda, hę?

— Tak, tak! pocoś ty mówił?

— Tylko nie *ty*, bardzo proszę! Jam nie wasz brat!

— Wiemy, wiemy! Żydowskiś brat!

— Milczéć mi, chamy!

— Tak? — zawołał Taras. — Prrr! stójcie chłopcy! Myśmy chamy, nie wieźmy! Niech poprosi!

Krew rzuciła się do głowy ekonomowi. Zlazł z konia.

— Jechać, sobacze plemię!

— Tyś sam pies! — ryknął Taras.

Ręka ekonoma chwyciła go za pierś. Wstrząsnął nim.

— Precz mi, buntowniku!

Odepchnął ekonoma tak mocno, że ten omal nie upadł.

— Skórodzierca ten!

Rozuzdała się stara, tajona nienawiść do ekonomów. Spadały nań obelgi gradem.

— Na miazgę cię zetrę, psi synu!

Kipiał z pianą na ustach, z pięściami zaciśniętemi.

— Spróbuj! — nadstawiał się Taras.

Obaj pijani byli zemstą, przed obu ziemia, mogiły zielone i niebo tańczyły młynkiem. Taras poczuł grom jakiś spadły na twarz. Skry z oczu jego wykrzesał czyjś cios. Burza szalona wstrząsnęła nim od pięt do głowy, żar go przeniknął. Wykonał ruch ręką, poczuł opór miękkiego i ciepłego przedmiotu, a potém palenie w dłoni. Późniéj piorun weń uderzył, raz ogłuszył, drugi—rozdarł boleśnie nogę. Runął. Leżał, zdawało mu się, że ziemia wraz z niebem zmieniły położenie swe, stanęły storcem, a on spadał w nieskończoność. Następnie pamięć stracił, ciemność go otoczyła. Nad nim miotano się, wrzeszczano, konie rżały. Obłok dymu prochowego oddzielał ekonoma od podków.

— Wiązać mordercę!

— Do gminy z nim!

— Ha, ty! Ludzi zabijać?..

Ktoś nim cisnął jak piłką, mknął po stepie. Zielem „pokotypole" jest. Wiatr go niesie, jeden z pałających lipcowych podmuchów, w gardle sucho, pragnienie. Kiedy koniec téj wędrówce? Potłukł, tocząc się wciąż po rozłogach, kolano. Szarpie w niém nieznośnie. Po drodze napotkał wóz, ulitowano się nad nim, tułaczem, wzięto. Wiozą go. Pod nim coś jęczy. Osie suche trą o piasty! Za nim jakaś waśń, razy komuś są wyliczane. To biją potwora, co go cisnął o ziemię. Pojmano go nareszcie! Już kilka głów mu urwano, zostały dwie: w jarmułce jedna i druga podobna do pałacu dworskiego. Coś dudni pod nim, świeżość wieje i szum jakiś z pluskiem słychać. To Wilszanka płacze, łzy roni ulewą. Ocknął się, patrzy. Staw błyszczy w Saliwonkach i czerwona masa cukrowni przegląda się w nim.

— Co to?

— Wraży syn strzelał do ciebie!

— Aha i nie trafił?

— Spójrz na kolano swe!

Patrzy — prawa nogawica czerwona.

— Prrr!.... Minęli cukrownią i o kilka staj od niéj stanęli przed urzędem gminy.

W Wilszance, przed zachodem słońca, zaniesiona wieść o zajściu wzburzyła wszystkich. Złowrogie, gniewne słowa sykały w powietrzu, brzęczały, jak chrabąszcze, powstałe z gnojowisk wieczorem. Gdy Fedosia, zgięta pod krową, dojąc, usłyszała co spotkało Tarasa, zawodziła. Ze spódnicą zakasaną i zasuniętą za pas wołała:

— Oj, biednaż ja, biedna! Oj, mężaż mojego zabito!

Schorzała, stara Oksana, siedząc w kożuszku na przyźbie, drżąca, wtórowała:

— Oj, sierotaż ja nieszczęsna! Oj, zczezł-że mój Matwij, zczezł! Oj, kościż jego czarny kruk po polu rozwłóczy....

Zdało się jéj, że dopiéro co odebrała od czumaków, wracających z wędrówki, wieść o śmierci swego Matwija.

Na folwarku żydów nie było. W pałacu zaś, gdzie państwo z powodu spóźnionego odbioru renty przeciągnęli swój pobyt do jesieni, z niepokojem w sercu gadano o krnąbrności ludu. Młodzi, duchem demokratycznym przejęci, darować nie mogli ekonomowi. Starsi miarkowali ich uniesienia uwagami o potrzebie karności, na któréj świat spoczywa. Warszawski młodzieniec uśmiechał się smutno i złośliwie zarazem, lub wtrącał takie słowa, na które oburzano się, jako zbyt krańcowe. Potém opuścił towarzystwo pałacowe i z paletotem narzuconym na ramiona, w kapeluszu czarnym, szeroko-skrzydłym, ruszył w pole, w kierunku brudnego komina cukrowni, na przechadzkę. Stanął nad jarem i wpatrzony w łunę zachodu, w łagodnie okrągłe mogiły, marzył o przyszłych ludziach szczęśliwych, miłujących się, bez wyżyn i bez nizin, wolnych od chęci panowania. Zmierzch zapadał, od wsi do nosa jego leciała woń słomy, palonéj w piecach. Drgnął nagle, siła jakaś odwróciła mu twarz w stronę dworu. Tam, śród nawpół zielonych, nawpół zżółkłych liści drzew pełzał słup białego płomienia, rosnący z chwilą każdą. Igła kłująca przeszyła mu piersi, niemoc przebiegła plecy i nogi spętała, a w skroniach zatętniło i ręce chłód ściął. Biegł ru-nią pszeniczną, z psem powywającym. To ci nieszczęście! Z pewnością pałac płonie! Gdy wpadnie na dziedziniec, ujrzy dach rozpękniety z płomieniem buchającym, panny nieme z przerażenia i starą, siwą ich babkę drżącą. Szkoda tych ludzi! Polubił ich, pomimo dziwactw rozstrojonych nerwów. Nie, to nie pałac, oficyna gore. Blask z nad jaru bije, gdzie właśnie stoi. Przepadły więc jego spostrzeżenia nad ludem, szczegóły malujące położenie jego, zbierane przez lato mozolnie! Spłonęły! Wciąż biegł z bijącém sercem i coraz bliżéj będąc, wyróżniał z ogólnego szumu buchających płomieni trzask strzechy, krokwi i ścian trawionych. Ani pałac, ani oficyna, tylko stodoła paliła się i stérty słomy. Stanął nad jarem—na drugiéj stronie jasna pożoga, sylwetka pana Wilszanki, dającego rozkazy, dęby zielone i kilku parobków, biegających nieprzytomnie. W dole zalany światłem domek ekonoma, daléj staw różowy, zasypany ulewą iskier, nad głowami niebo kirem powleczone. Antin przerażony wciąż się żegnał.

— Bożeż mój, Boże! To ci nieszczęście!

Tymczasem najpilniéj mu było wynieść talerze z kredensu i inne przedmioty swojéj obsługi codziennéj, wcale niezagrożone.

— Co ty robisz, głupcze! — krzyknął nań młodzieniec. Wléź na strzechę oficyny i iskry gaś, bo tu wszystkie lecą!

Wciąż patrzał trwożnie na pałac. Był przed chwilą na wsi. Gdy tam dojrzano łunę, ktoś nań krzyknął: idź swych panów bronić, palą się!

— Spalili się już do szczętu! — straszono.

— Biegnij, biegnij żywo!

Krokwie na stodole zapadały rozżarzone, śląc snopy iskier w niebo czarne, płomienie sięgały słomy, stojącéj nad jarem, nad domem ekonoma. Tymczasem ludzie ze wsi szli powoli, po jednemu, gęsiego, na ratunek. Pan klął, rozkazywał. Nie wiedzieli, czego się jąć.

— A ty czego stoisz?—huknął na starostę. Każ wodę wozić!

— Ej, chłopcy, beczek! Gdzie beczki? — wołał, a głos jego umarł.

Stał niepoznany i niewysłuchany.

— Ej, chłopcy, rydli!

Nie słuchano. Załamywał ręce, żaląc się niedołężnie.

— Czego stoicie? Boże, mój Boże...

— Ach, wy, psia wełna!—lżył pan. Stanąć mi tu zaraz z rydlami i gasić!

Niechętnie brali się do ratunku. Powoli znoszono rydle.

Przybiegli żydzi i stanęli jak wryci.

Stodoła dogorywała. Strzecha, ściany, młocarnia konna—strawione były. Na pogorzelisku stérczały samotnie słupy rozżarzone, a u stóp ich leżały góry ziarna zwęglonego z wierzchu, pszenica żydowska, oczekiwana na rynku. Kupy plewy płonęły, część chłopów kopała rów ochronny, a część grzęzła w słomie, nie tkniętéj jeszcze, strzegąc jéj. Szloma Horodkin przykucnął na ziemi i dumał, utkwiwszy oczy w swój towar zniszczony. Ogień oświecał brunatne siermięgi, szarawary szerokie, czapki baranie, brody czarne i zęby białe, szlifowane chlebem razowym i ziemniakami, wyszczerzone od śmiechu szyderczego.

— Oj, żyd, żyd! Dobrze mu tak! Doigrał się....

Latały słowa.

— I pan nasz ucierpiał!

— Sam winien, niech żydów nie wpuszcza!

Widok pogorzeli i woń spalenizny rozdymały nozdrza tym ludziom.

— Żyda dyabli nie wezmą! Ubezpieczył zboże, zapłacą!

O przyczynie wypadku dwa były zdania. Jedni utrzymywali, że żydzi sami, nieuważni w paleniu papierosów, wzniecili pożar

inni znów, że podłożono umyślnie ogień. Miał nawet być ktoś widzianym, gdy przed buchnięciem płomienia chyłkiem zmykał do jaru. Trudno tylko było dojrzéć, mężczyzna czy kobiéta. Żydzi posądzali Dribnego. Jednakże ilekroć rozmawiano o pożarze przy Fedosi, bladła. Śledztwa nie śmiano wszczynać, bo chyba całą wieś musianoby mu poddać. Bano się przytém nowéj zemsty.

Tymczasem toczono inne śledztwo nad ekonomem. Taras leżał w szpitalu. W kolanie uwięzło mu sześć loftek, przeznaczonych na dropie, na prawe ucho niedosłyszał, ogłuszony strzałem. Gdy dzięki stosunkom i kaucyi, ekonoma do czasu puszczono, oburzano się w Wilszance na bezkarność. Gdyby sami byli sędziami, ukaraliby go surowo—Sybirem lub kopalnią!

Ze szpitala Taras wrócił kulawym. Winowajca zaś, dla okoliczności łagodzących, skazany był na krótkie zamknięcie w wieży. Uwzględniono uniesienie w popełnieniu przestępstwa i błahość rany zadanéj. Stosunki, zawiłość paragrafów ustawy karnéj sprzyjały również oskarżonemu. Znajomy mu dobrze doktór, za dwa dropie i pięć zajęcy, uznał, że jeśli nastąpi okaleczenie, to bardzo małe, które nie przeszkodzi zarobkowaniu. Będzie trochę chromać biedak, trochę gorzéj słyszéć na prawe ucho, ale nie jest przecie ani muzykiem, ani tancmistrzem! To zjednało ostatecznie sąd dla oskarżonego. Chłopów, którzy się znęcali nad ekonomem po drodze do gminy, wsadzono na kilka miesięcy do kozy. We wsi kiwano głowami na ten wyrok. Oczekiwano gorszych czasów; gdy kradzież i rozbój wyślizgną się zupełnie z pod kary. A czemu? Bo pieniądz wiele znaczy, kto go posiada, ten górą. Taras dodawał, że i ciemnota „naszego brata" także.

— Przekupiono! — był ostatni wniosek.

Radość nastała wielka w Wilszance, gdy dowiedziano się, że żydzi, skołatani walką ciągłą, postanowili rok tylko jeden dzierżawić jeszcze grunta pańskie, a Szloma Horodkin rozstał się ze Szmulem Lajmanem, najbardziéj niecierpianym. Po roku pan miał sam gospodarować znowu. Nie wyżyli „chrystobójcy" obok „chama!"

— Poznał dyabli lach omyłkę!—prawił Taras u stołu szynkowni Icka. — Czemuby nam nie wypuścił w dzierżawę swéj roli? Albo to nie moglibyśmy za trzeci snop uprawiać?

— Jakto? na trzeci snop?

— A tak! Dwa nam a trzeci jemu za ziemię!

— Ho, ho, nie głupi on! Na drugi toby jeszcze...

Rok do roku podobny był w dalszém życiu Tarasa. Gorzałki zawsze tyleż wypijał, nabył zadyszki. Z niéj ojca stracił. Sypiał

często dla ochłody na wilgotnéj ziemi, potém gościec szarpał kark, nogi i ręce. Ubyło rodziny o starą Oksanę, pogrzebaną na cmentarzu, i o Hannę, która wyszła za młodego bobyla z Jacek. Zdarto jéj wczasie wesela wianek ślubny z głowy, bo do niego utraciła prawo w cukrowni. Późniéj spłodził jeszcze jednego syna, Mawtodija. Wezmą po ojcu nie wiele i wyrosną na żołnierzy. Widywano go późniéj jako stróża dworowego. Przerażał swojém charczeniem dychawiczném.

Zygmunt Pietkiewicz (Komar).

PRZEMYSŁ WŁOŚCIAŃSKI.

TEORYA KWESTYI, JÉJ STAN I WIDOKI U NAS. (1)

Prowadzimy dalćj pobieżny przegląd istniejącego w kraju naszym przemysłu drobnego.

Dział II. Przemysł przetwarzający płody roślinne.

7. W dziale tym wymienimy najprzód z wyrobów za pokarm służących: *kaszarstwo*, z którego słynie Skała (olk.), a także Sopoćkinie i Hołynka w augustowskiem, Stobiecko (pod Radomskiem), pod Michałowicami i wyrób powideł w Skale, Żarnowcu, Miechowie (kiel.), Krzeszowie nad Sanem.

8. Najliczniéj reprezentowaną gałęzią przemysłu z tego działu są u nas najrozmaitsze *wyroby z drzewa*; tak przedewszystkiém ludność trudni się *gontarstwem*, *wyrobem stęp*, *niecek* itd. w następujących miejscowościach: w powiecie opatowskim w okolicach Łagowa jest kilka wsi, a głównie Lechówek, gdzie włościanie na rok wyrabiają około 150.000 kóp gontów, w cenie od 12 do 30 kopiejek za kopę. Maszyn nie używają żadnych. Towar jednak jest dobry i znajduje chętnych nabywców w Sandomierzu, Kielcach i w Krakowskiém, w okolicach Stopnicy i Miechowa; drugą taką gonciarską miejscowością jest wieś Łobzów pod Wolbromem (kiel.) (2); z innych wymieniamy: Pawłów (rad.), Gozda, Łęczna, Ostojów, Ciechostów, Odrowąż (kiel.), Biadaczew, Brzeźnica, Barczew, Majaczewice (sieradzki), Pawłowice (łaski); wsie Czachy, Kopcie w Siedleckiem (niecki, gonty); Krasnobród (zamojski), Kurów (lubelski), Szachowizna (sejn.); w wielu wioskach ptów włoszczowskiego, jędrzejowskiego i w okolicach Zwolenia i Kozienic.

9. Do najbardziéj rozpowszechnionych gałęzi przemysłu z tego działu należy także *bednarstwo*. Główne punkty: Mińsk, Siennica,

---

(1) Ob. Ateneum zesz. październikowy, str. 52—76.

(2) Makowiecki. l. c. str. 12.

pow. miński), Firlej (lubart.), Pawłów (rad.), Stopnica, Kurozwęki) (stopnicki), Suchedniów (kiel.), Budy Brańszczykowskie (ostrowski). gm. Rzeki (p. radomskowski), Krzepice, Przyrów, Kłobucko (częstoch.), Kazimierz (lubels.) wyrób obręczy; Daleszyce (kiel.), Łochów (rawski).

10. *Z* innych gałęzi przemysłu drzewnego przytaczamy: *stolarstwo*: wyrób skrzyni, mebli, łóżek w wielu miejscowościach ptów płońskiego i ciechanow., wyroby bednarskie i stolarskie, wozy bryczki, sanie itd. stanowią około 10.000 rubli produkcyi rocznéj w każdym z tych powiatów (1); w powiecie wieluńskim dość duże dochody mają włościanie z wyrobu drewnianych sprzętów gospodarskich; w gminie Kiełczygłów np. wyrobem tym zajmuje się przeszło 126 ludzi, tj. prawie $^1/_3$ część ludności; Żelechowie (siedl.), Pawłowie (rad.), Tatarach (raws.), Rudzie (radomskowski), Morzycach, Sąskowie, Minodze, Żarnowcu, Woli Kalinowskiéj, Wieluni, (olkus.) Bieliny (sandom. pudła): *Wyroby desek i bali* w Wodzieradach (łaski).

Wyrób narzędzi rolniczych: *brony* w Kałęczynie i Słupie (ostrows.), Sowiczach i Gubarzewie, Dorguni (augustows.);—*pługi* Sokołów, Przewodów, w okolicy Wyszkowa, Drogoszew (łomżyńska); *młynki do czyszczenia zboża*: Krasnosielc (pułtuski); — *kołowrotki do przędzenia*: Kałuszyn (miński), Aleksandów (lubartows.); — *bryczki, wozy, sanie*: Czyżew (łomżyńs.), Końskie, Wojtkowice Kościelne i Niegowić (olkus.) konewki, grabie, widła; — *kołodzieje*: Radoszyce (kiel.), w pcie ciechanowskim; — *obręcze*: Kazimierz (lubels.); — *wyrób beczek i okseftów do gorzelni i browarów*: w Budach Brańszykowskich (ostrowski); — *wyrób konewek, balii, skopków*: Kalinowo, Białobłoto, Augustowo.

11. Wreszcie z drobnych wyrobów drzewnych główne są u nas: *zabawki*: Samsonow (sandom.), Łęczna (kiel.);—*tokarstwo* w pcie węgrowskim. Wyszków, Stara wieś, Łochów, Sadowne; — *posadzki* w Ciepielowie (iłż.), Zwoleniu (kozienic.); — *rzeźby*: krzyże i figury z drzewa lipowego: Dzierzkowice (janowski); — wyroby snycerskie, na wzór rymanowskich w Galicyi, w Dyminach, Sulkowie, Moiczy, Domanowicach (kiel.); — *chodaki*, *łyżki*, *fajki*, *tabakierki*: Łęczna, Gozdawa (kielec.), w gub. suwalskiéj w leśnictwach augustowskiem, balińskim i gryszkabudzkim (chodaki, rogi myśliwskie, łyżki, widelce, fajki, olijaki, pudełka z kory brzozowéj); *miotły i laski brzozowe* w Brzezinkach (kiel.); wyroby z drzewa lipowego w Dzierzkowicach (janow); *drzewka do zapałek*, sztyfty do butów z pow. grójeckiego, z Błędowa.

(1) Makowieckl. l. c. str. 20.

12. Do tegoż działu należy *koszykarstwo*, które się rozwinęło w miejscowościach posiadających materyał odpowiedni, przeważnie więc w nadrzecznych: Kępa Nadbrzeżna (p. miński); Augustówek (warsz.), Bodaczów (zamoj.), Kamień (iłż.), Rytwiany (sand.), Pawłów, Oblekoń, Parchocin, Opatowice (stopn.), Andrzejów (ostrow.), Pomiechów (płońs.), Złota pod Rawą, w okolicach między Zakroczymiem a Czerwińskiem nad Wisłą; Miedziszynek nad Wisłą (warsz.), w leśnictwie Gidle (radomskowski), Radkowice (skalbmir.), Janów i Gościeradów (lubel.) koszyki różnéj formy z odrostków korzeni, oraz torby podróżne i kobiałki przez włościan używane z prętów osikowych;—w Marenżowie (sochaczews.) zakład koszykarski; w Staszowie (kiel.); Bilczy, Brzezinach, Kowalach (kiel.).

Do tego dodajmy *wyrób kobiałek* w Miedziszynku nad Wisłą (warsz.), w Gidlach (radomskowski), w Brzezinkach (kiel.); — *maty z rogoży*: Siedlisko (zamojs.); — *postronki z łyka* w leśnictwie lubelskiém; — *kapelusze* ze słomy (w częstoch.), z łyka (pow. grójecki).

13. Wreszcie *sitarstwo* w Biłgoraju: wyroby biłgorajskie znajdują odbyt w całém Królestwie i Cesarstwie. W r. 1873 wyrobiono tu sit i przetaków sztuk 1.450.000, wartości około 150.000 rubli (1); oprócz tego wyrabiają jeszcze sita i przetaki, w Rakowie (pod Jędrzejowem), w Łagowie (rad.), Goszczynie, Kowalówce (łomż.), Budach Grądzkich (łomż.).

14. Wyrabianiem z papieru, kartonu itd. mało się zajmuje lud polski. Widzieliśmy jednakże krzyże papierowe, mające służyć jako patarafki, nader zgrabnie wycinane zwyczajnemi nożycami od strzyżenia owiec przez Kurpianki w Przasnyskiém. Desenie rozmaite, nieraz nader gustowne i starannie wykonane. Serwetki papierowe we wsi Łyse na Kurpiach.

Do tego téż działu zaliczyć by należało wyroby ze lnu i konopi, płóciennictwo itd., które jednak ze względu na podobieństwo techniczne i na rozmiar téj produkcyi razem z tkactwem wełnianém do osobnego działu IV odnosimy.

Dział III. Przemysł przerabiający płody zwierzęce.

15. *Skóra*. Lud nasz mało trudni się *garbarstwem*, pozostawiając to zatrudnienie licznym rzemieślnikom miejskim oraz fabrykom. Z miejscowości, w których ta gałąź przemysłu jest dotąd praktykowaną, przytaczamy: Prażka, Bolesławiec w pcie wieluńskim, Chmielnik, Chęciny, Dalszyce, Działoszyce (kiel.), w Radomsku, Raciążu (płoc.), Stawiskach (łomż.), Sejnach, Nowowogrodzie (łomż.), Lipnie.

---

(1) Makowiecki. l. c. str. 17.

16. *Rymarstwem* zajmują się na większą skalę w Chmielniku, Wojsławicach (lub.), Ostrowiu.

17. *Szewców* produkujących więcéj niż na potrzeby miejscowe znajdujemy: w Szadku (sieradzki), Lutomiersku (łaski), Mogielnicy i Piasecznie (warsz.), Przedborzu (rad.), Wolbromie, Chmielniku i Wiślicy (kiel.), Rypinie, Dobrzyniu, Raciążu (płoc.), Kodniu (siedl.), Mińsku, Piotrkowie (nieszawski), Sokołowie, Garwolinie, i Żelechowie (siedl.), Makowie (rad.), Pawłowie (rad.), Koprzywnicy (sand.), Kazimierzy Wielkiéj (kiel.), Pułtusku, Serocku, Wyszkowie, Lipnie. Wartość produkcyi obuwia w osadach Koźminku, Stawiszynie, Opatówku (ptu kalis.) w r. 1885 wynosiła 20.000 rubli (1).

18. *Kożucharstwem i kuśnierstwem* słynie Wiślica (kożuchy zwane węgierskiemi, wyszyte w różnokolorowe ozdoby i taśmy), W Klwowie wyrabiają rocznie około 1000 sztuk kożuchów po 3—6 rubli. W Stawiszynie produkcya kożuchów za 8000 rubli (2). W Bełżycach wyroby prostsze i tańsze. Wyprawianiem skór na kożuchy trudnią się garbarze w Radomsku, Siedlcach, Raciążu (płoc.), Stawiskach (łomż.). Skórek takich wyprawiają w królestwie przeszło 4000 sztuk przy cenie średniéj od 41 kop. do rubla za sztukę (3), W Garwolinie, Sokołowie, Żelechowie wyrabiają kożuchów na sumę 250.000 rubli rocznie; oprócz tego kożucharstwem trudnią się we Frampolu, Goraju, Szczebrzeszynie (zamojs.), w Końskowoli, Opolu, Kurowie, Markuszowie (lub.), Klimontowie (sand.), Pacanowie (kiel.), Sejnach, Krzepicach (częst.); kuśnierstwo w Turobinie (lub.), w ptach Hrubieszowskim i Tomaszowskim.

19. Wreszcie przeróbką *skór i odpadków zwierzęcych*: rogów, skrawków na obcasy, mioteł—trudnią się w Brulinie lipskim (ostr.), Białogonie (kiel.), Kałęczynie (ostrows.).

20. Do wyrobów z płodów zwierzęcych należy odnieść także wszelkie gałęzi *produkcyi nabiałowéj*, niestety, bardzo u nas jeszcze nierozwiniętéj. Z miejscowości, w których się tém trudnią, wymieniamy: pow. Iłżecki, Bogumiłów, Wojsławice, Krokocice (sierad.), Zalesinki (radomskowski), Potoczek, Pętkowice, Czekaciewice (iłżec.); Budziszowice (pińczows.)—bryndza; *sery i gomółki* w Belzatce (piotr.), Skrzydlowie (częstoch.), Przystani nad Bugiem (ostrows.)—sery i masła wysyłane aż do Warszawy.

Dział IV-ty. Wyroby z lnu i wełny: tkactwo i przędzalnictwo.

Pomimo wszelkiéj konkurencyi fabrycznéj, są te gałęzi przemysłu najbardziéj ze wszystkich rozpowszechnioném zatrudnieniem

---

(1) Pam. kn. kal. gub. 1882. str, 178—183. Przemysł wiejski w gub. — (2) l. c.— (3) Makowiecki. l. c. 19.

przemysłowém naszego ludu. Przyczyną tego jest popierwsze, że wyroby fabryczne nie zawsze zastąpić mogą włościanom ich własne, gdyż w różnych okolicach kraju różnie zwykli się ubierać; przyzwyczajeni do pewnego gatunku sukna, do pewnych barw i deseni, niechętnie zamieniają je na inne. Powtóre, chłop, mając czasu wolnego dużo a pieniędzy mało, woli wyrabiać potrzebne sobie przedmioty pracą własną, pomimo ogromnéj różnicy, jaka zachodzić może ekonomicznie między tą produkcyą a fabryczną pod względem ilości czasu, kosztu materyału, lub nawet trudu.

Wszystko to sprawia, że tkactwo i płóciennictwo są dziś jeszcze u nas najczęściéj spotykaną formą przemysłu włościańskiego. Ludność trudni się niemi całemi okolicami, powiatami. Na Kurpiach np. warsztat tkacki jest sprzętem często spotykanym w chacie włościańskiéj. A jak widzieliśmy z przykładów przytaczanych wyżéj, wyroby te nierzadko odznaczają się wyborném wykonaniem i pierwszorzędnemi zaletami.

Wobec braku danych statystycznych, systematycznie zbieranych, trudno jest określić ściśle wartość i wielkość téj gałęzi produkcyi. Z cyfr, spotykanych przez nas sporadycznie, przytaczamy tu niektóre, mogące poniekąd dać pojęcie przybliżone o stanie téj gałęzi.

Według danych urzędowych z r. 1870, wykazano u włościan 139.295 warsztatów tkackich, na których miano wyrobić płótna różnego gatunku arszynów 8.174.720. Z sumy téj przypadało najwięcéj na gubernią suwalską (1.500.000), łomżyńską (około miliona), lubelską (ok. miliona) i radomską (ok. 600.000 arszynów).

Wyrób zaś sukna włościańskiego oceniają w Królestwie na 300.000 rubli (1).

W 1882 r. liczono w gubernii piotrkowskiéj 3640 warsztatów tkackich, wyrabiających perkal, 6.688 krosien włościańskich oraz 104 drobnych sukienników.

W kaliskiéj było w 1885 r. według danych urzędowych, około 4.540 osób trudniących się tkactwem, a wartość produkcyi wynosiła 410.830 rubli.

W sferze właściwego przemysłu włościańskiego—jak go określamy i pojmujemy—wszędzie ta gałąź produkcyi rośnie i rozwija się. Inaczéj rzecz się ma z tkaczami pozostającymi w zależności od fabryk i pracującymi nie dla siebie lub na swoje ryzyko, lecz na przedsiębiorców. Ten przemysł domowy—a raczéj: domowa forma przemysłu kapitalistycznego—upada, bo dla zrozumiałych przyczyn, nie jest w stanie oprzéć się konkurencyi fabrycznéj. Przyczyny, pod-

---

(1) Makowiecki. l. c. str. 11.

trzymujące tkactwo włościańskie, oczywiście dla niéj nie istnieją. To téż wśród tkaczy miast i wsi podmiejskich w okolicach Łodzi, Pabianic, Ozorkowa, Zduńskiéj Woli nędza panuje wielka: przed kilku laty rozpoczął się był między nimi tłumny ruch do Rosyi. Mimo to jednak, ten rodzaj produkcyi trzyma się jeszcze w powiatach łaskim i łódzkim, w gminach zwłaszcza Górka Pabianicka, Lutomiérsk, Wymysłów i in.

21. *Sukiennictwo* włościańskie kwitnie najbardziéj w guberniach suwalskiéj i siedleckiéj i w powiatach ostrołęckim, makowskim, mazowieckim, chełmskim, janowskim, zamojskim, piotrkowskim, będzińskim, (sukno zwane samodziałem, siwe, brunatne lub kawowe; dywany, chustki, pasy, fartuchy itd.).

Z poszczególnych miejscowości wymieniamy, Danków, Huta Błędowska, Ignaców, Belsk, Katarzynów, Wólka Lenczewska, Golinowo, Mogielnica, Grójec—(pt. grójec.); Smolany (sejn.), Mień, Połczanka, Posiadały, Skorupy, Stara-wieś, Chrosna—(miński); Iłów, Niedzieliska (sochaczews.), Cygów (radzyńs.); Sapiehów (włodaw.), Urzędów, Wymysłów (puławs.), Talkiszki (wyłkowys.), Topiłówka, Balla wielka (augustows,), Miszewo (płoc.), Bedlno (opocz.), Kromołów, Koszyce, Raków (kiel.), Łagów (rad.), Janów, Gołąb, Końskowola, Opole (lub.), Liw, Miedzna, Kosów, Węgrów (siedl.), gminy Lubochnia i Boguszyce (raws.), Bełchatów, Kurnos (piotrk.), Rzeki, Dobryszyce, Maluszyn (radomskowski), Kluczewsko, Pilczyca, Brzeście (włoszcz.), Radzice, Swierczyn, Domaszów, Sulejów (opocz.), Rosochata, Zaręby (ostrows.), Gaj, Płonne (rypiń.), Chamsk (sierpski); Izabelów (sierad.), w którym liczą 236 warsztatów tkackich, pozostających w zależności od fabryk w Zduńskiéj Woli i Łodzi itd.

22. *Płóciennictwo* włościańskie, wyrób serwet, obrusów, lub grubego płótna, rozpowszechnione jest w powiatach ostrołęckim, zwłaszcza w czterech gminach kurpiowskich: Wach, Nasiadki, Dylewo, Myszynice; lubartowskim, bielskim, maryampolskim, kalwaryjskim, władysławowskim, a z miejscowości pojedyńczych: w gub. warsz. Góry (gostyń.), Kochanów, Głuchów (skierniew.), Mienia (miński); Potoczek (iłż.), Gniewoszów, Zwoleń, Głowaczów, Kozienice (kozien.), Staszów (sand.), Sułoszowa, Wielmoża, Jerzmanowice, Łazy, Jangrot, Chlina (olk.), Kamienica polska, Czarnylas (częst.), Radziejów, Bytoń (nieszaw.); Króle (g. łomż.), wyrób bielizny stołowéj i ręczników; Włodowice, Choroń (będziń.) Nawarzyce, Niegosławice (jędrzej.), Tarnogród (biłgor.), Cylów (chełm.), Kryłów, Ślipcze, Sławuczyn, Bogarodzice (hrubiesz.), Krzczonów (lub.), Wymysłów (puław.), Goraj, Frampol (zam.), Bronisławów, Leonardów, Serokomla (łukow.), Czerwonka (węgr.), Zaręby Kościelne i Wą-

sewo (ostrow.), Kolnica, Łubno, Olszanka (aug.), Charłupia Mała (sier.), Irena, Życzyn, Gołąb (puławs.).

Do tegoż działu wliczamy:

23. *Powroźnictwo*: Złoczew (sierad.), Pilica, Skaryszew.

24. *Sieciarstwo*: Pomiechów (płońs.), i w wielu innych miejscowościach na małą skalę.

25. *Hafciarstwo*: Proszowice, Miechów, Słomniki (miechow.), Koszyce, Wiślica, Działoszyce (kiel.), Jurków pod Skalbmierzem.

26. *Koronkarstwo*, powstałe dzięki inicyatywie osób prywatnych w Gromadzicach (opatows.), w Maluszynie (radomskowski).

27. *Czapnictwo*: Złoczew (sierad.), Pawłów (radom.), Piotrków (nieszawski).

Te to 27 gałęzi przemysłu drobnego przedstawiają wytwórczość przetwarzającą naszego ludu. Wykaz ten—jeśli mieć na względzie ilość miejscowości — przedstawia się dość pokaźnie. Zauważmy jednak, że włączyliśmy do naszego spisu wiele miast i osad, w których obok ludności rolniczéj znajduje się także dużo rzemieślników w ścisłém znaczeniu słowa; są więc w nim kategorye zajęć, które wcale lub w słabym tylko stopniu stanowią sferę przemysłu włościańskiego.

Jeśli jednak, sądząc z poprzedniego, nasz przemysł ludowy ilościowo wydaje się dość imponującym, to co do strony jakościowéj przyznać, niestety, potrzeba, że znajduje się jeszcze w bardzo pierwotném stadyum rozwoju, zarówno co do techniki produkcyi, jak i pod względem dobroci wyrobów. Nie zadziwi to nas wszakże, gdy wspomnimy, że dotąd nic nie uczyniono dla podźwignięcia przemysłu ludowego: jest to zaledwie dopiéro cenny nader pierwiastek, domagający się starannego wypielęgnowania, rozumnéj i troskliwéj opieki.

III. **Środki rozwoju przemysłu włościańskiego**.

Analiza formy produkcyi, którą nazwaliśmy przemysłem włościańskim czy ludowym — jak to widzieliśmy na początku — każe ją nam określać w następujący sposób:

1. Przemysł ludowy jest formą *produkcyi drobnéj*, pod względem rozmiaru warsztatu wytwórczego, skali produkcyi, ilości osób zatrudnionych.

2. Jest *przemysłem domowym*, ze względu na miejsce produkcyi, którém jest dom własny producenta.

3. Jest formą produkcyi nie zróżniczkowaną, nie-kapitalistyczną, t. j. robotnik pracuje tu na własnym warsztacie, własnemi na-

rzędziami i na własne ryzyko (w tém tkwi różnica jego od systemu domowego produkcyi kapitalistycznéj).

4. Produkuje dla nabywców nieznanych i sprzedaje wyroby swoje na ogólnych rynkach krajowych, czém się różni od rzemiosła, którego cechą istotną jest produkcya na obstalunek.

5. Wreszcie — co jest najważniejszą jego cechą charakterystyczną—przemysł włościański stanowi zajęcie dodatkowe włościan-rolników, nie zatrudnia więc pracujących całkowicie, ale jest dla nich tylko środkiem ubocznym pomnożenia dochodu (1).

Z określenia tego — które dlatego też szczegółowo przedstawiamy—wypływają zarazem wskazówki co do warunków ogólnych, którym odpowiadać powinny wszelkie środki przedsiębrane dla podniesienia téj gałęzi produkcyi, jeśli właściwe jéj znaczenie ma być zachowane.

Rozpatrzmy je po kolei.

1. Przedewszystkiém, jako drobna forma produkcyi, przemysł włościański skierowanym być musi ku takim jéj gałęziom, których przemysł wielki dla téj lub owéj przyczyny objąć nie może. Jakie to są gałęzi—wskazywaliśmy już wyżéj. Tu dodatkową jeszcze uczynimy uwagę, iż popieranie takich form produkcyi, które w danéj miejscowości nie są jeszcze przedmiotem przemysłu fabrycznego, lecz stać się nim mogą w przyszłości, wprowadza drobnych przemysłowców na drogę, niebezpieczną w swych dalszych następstwach. Można przytoczyć z życia ekonomicznego różnych narodów wiele przykładów upadku różnych gałęzi przemysłu drobnego, upadku spowodowanego konkurencyą z produkcyą fabryczną. Energia, wytrwałość, nadludzkie często wysiłki drobnych przemysłowców pozostają bezowocne. Jeśli taki sam towar może być wyprodukowany drogą fabryczną, to cena jego na rynku ustanawia się według stopy kosztów najmniejszych. Jest to prawidło bezwzględne w dzisiejszych stosunkach ekonomicznych. Wtedy i wyroby domowe, pomimo wyższego kosztu, do téj normy stosować się muszą; producenci więc zaczynają pracować ze stratą,— im więcéj pracują, tém więcéj tracą. Zwykle jednak w wypadkach podobnych nim

(1) Tak zwany u nas przemysł wędrowny i wychodźczy, może być uważany jako „przemysł włościański", o ile jest jego koniecznem dopełnieniem, służącém naprzykład dla rozpowszechniania wyrobów domowych po kraju (np. sitarze biłgorajscy lub druciarze z gór Karpackich, którzy roznoszą sami swoje własne wyroby). Ale oczywiście nie jest przemysłem taka forma zarobkowania, gdzie robotnicy wiejscy wychodzą dla wynajmywania się do robót polnych lub jako flisacy, mularze, wyrobnicy i t. d. W tym wypadku bowiem mamy już do czynienia nie z przemysłem ludowym, lecz z kapitalizmem w czystéj postaci.

ulegną ostatecznie, powiększają do najwyższych, możliwych granic intensywność swojéj pracy, przedłużają czas roboczy, oszczędzają na jedzeniu i t. d. Położenie ich jednakże przez to nie polepsza się wcale. Dzieje przemysłu bawełnianego w Anglii są wielce wymowną ilustracyą tego procesu: po wieloletnich nadludzkich usiłowaniach drobni tkacze upadli, powiększając sobą szeregi proletaryatu.

Chłop-przemysłowiec znajduje się wprawdzie w położeniu o tyle korzystniejszém, iż mając zawsze punkt oparcia w rolnictwie, może przejść od jednéj gałęzi przemysłu do drugiéj, jest w stanie przetrwać czas krytyczny o wiele łatwiéj, niż rzemieślnik wyłącznie z tego jednego zajęcia żyjący. Oszczędzenie jednakże włościanom-przemysłowcom podobnego zawodu w przyszłości jest względem, który powinien być brany pod uwagę przy rozpoczynaniu działalności na tém polu. Dlatego też nie zdaje się nam słusznėm zdanie, które spotkaliśmy u p. Makowieckiego, iż rozwijać należy przedewszystkiém już istniejące gałęzi przemysłu, ponieważ musiały one miéć swoję racyą bytu w kraju. Racyą tę bowiem mogły utracić wskutek rozwoju stosunków ekonomicznych, albo też mogą ją utracić w niedalekiéj przyszłości, kiedy tymczasem gałęzi produkcyi, których przemysł wielki zagarnąć nie może, stanowią dla drobnego pole pewne, na którém dzielić się władzą z nikim nie potrzebuje.

2. Przemysł włościański jest przemysłem domowym. Ponieważ większość włościan naszych posiada w chacie jednę tylko izbę mieszkalną, w niéj więc odbywa się zazwyczaj robota. Z tego więc względu w przemyśle tym warunki zdrowotne różnych gałęzi produkcyi więcéj niż w każdym innym powinny być brane na uwagę. Zanieczyszczanie powietrza, kurz, rozmaite wydzieliny towarzyszące niektórym rodzajom przemysłu i t. d. stać się mogą w chacie włościańskiéj źródłem chorób zarówno dla pracujących, jak i dla innych osób, a zwłaszcza dla dzieci. Jak straszne nieraz skutki dla stanu fizycznego ludności sprowadza zajęcie się pracą dla zdrowia szkodliwą, dowodzi np. opis następujący, który ilustruje nam również to, cośmy mówili poprzednio o bezowocnéj walce produkcyi drobnéj z fabryczną. Rzecz dzieje się wśród ludności gubernii twerskiéj, pracującéj nad wyrobem gwoździ.

„W ciągu ostatnich lat 25-ciu walczą już chłopi gwoździarze z okolicznymi fabrykami. Zarobek mężczyn zmniejszył się z dwóch rubli do jednego tygodniowo. Kobiéty zaś i dzieci, pracujące w téj gałęzi, zarabiają nie więcéj nad 40—60 kop. na tydzień. Wielu już włościan, zwłaszcza zpośród małorolnych, którzy z ziemi wyżyć nie mogli, porzucili miejsce rodzinne i powychodzili do fabryk na najemników. Dzisiaj liczba osób w trzech gminach trudniących się

gwoździarstwem nie przenosi 1500, czyli stanowi połowę ledwie ilości, jaka była przed 20 laty. Położenie ich i warunki pracy są pożałowania godne. Rozpoczynając robotę o 3-éj rano, pracują, z małemi przerwami na jedzenie, do 10-téj wieczór. Zaledwie pięć godzin pozostaje im dla snu i wypoczynku. Szkodliwy wpływ tego przemysłu na zdrowie pracujących widoczny jest aż nadto. Dym i kopeć oddziaływają fatalnie na drogi oddechowe i choroby płuc są tu zjawiskiem powszechném; suchotników jest wielu. Siedząc po 16 godzin na dobę w atmosferze niezdrowéj, w pozycyi niewygodnéj i nienormalnéj, bo w ciągłém pochyleniu na prawą stronę, robotnik taki już w dzieciństwie nadwéręża siły swego organizmu. Chłopcy mający lat szesnaście, którzy ciągle pracowali w tém rzemiośle, wyglądają na 12-stoletnich. Średni lub mały wzrost, wąskie ramiona, pierś zapadnięta, nienaturalna bladość cery, niezwykła wątłość budowy całego ciała — oto cechy fizyczne tych biedaków. Dołączają się do tego ułomności wynikłe ze sposobu w jaki pracują: wszyscy prawie mają skrzywiony rdzeń pacierzowy, a lewe ramię wyższe od prawego. Palce u prawéj ręki skrzywione są odpowiednio do położenia, które zajmują przy ciągłém kuciu gwoździ. Ręce i nogi poparzone od iskier, rozlatujących się ciągle przy robocie. Wielu jest zupełnie ślepych. Kobiety brzemienne często ronią, bo będąc przy pracy téj bezustannie zgięte i pochylone, nie mogą rodzić prawidłowo, a gdy rodzą, to nieraz dzieci przychodzą już na świat z krzywemi rękami i nogami; kalectwo to często pozostaje na całe życie. Śmiertelność wśród włościan, oddanych przemysłowi temu, jest o wiele większą niż we wsiach okolicznych; sięga ona cyfry 4—5 na 100. Ludność nie powiększa się, a w niektórych wioskach nawet wymiera powoli. Rasa karłowacieje: wśród powoływanych do służby wojskowéj z téj okolicy okazuje się zawsze największy procent niezdolnych wskutek małego wzrostu, wątłéj budowy, kalectw i chorób. A jednak pomimo tego, nie zważając na straszne te warunki sanitarne i ekonomiczne, gwoździarze trzymają się uparcie rzemiosła swego, byle tylko nie porzucać domów, nie wychodzić na fabryki, w których wszakże mieliby zarobki większe i łatwiejsze...."

Wprawdzie w wypadku tym uparte trzymanie się szkodliwego i nieopłacającego się rzemiosła spowodowane jest głównie ciężkiém położeniem włościan jako rolników. Uposażenie ich gruntowe bowiem tak jest szczupłe, że właściwie rolnikami już prawie nie są. Żyją głównie z przemysłu i dlatego trzymać się muszą do ostatka. Jedyna droga, jaka im pozostaje, jest to zupełne porzucenie roli i zagród własnych i udanie się do fabryk, do czego jednak niepokonany wstręt czują.

Mamy więc tu przykład wyradzania się fizycznego ludności, spowodowanego niezdrowym rodzajem zajęcia przemysłowego. U nas, gdzie stan zdrowotny ludności wiejskiéj i teraz już wiele przedstawia do życzenia, na tę stronę kwestyi baczną należy zwracać uwagę w każdym poszczególnym wypadku. Słyszeliśmy już np. uwagi o szkodliwém wpływie koronkarstwa na zdrowie dziewcząt w niém pracujących: zajęcie to bowiem powoduje podobno znaczne osłabienie wzroku i niszczy przedwcześnie siły organizmu. A i w innych gałęziach, nie przedstawiających żadnego niebezpieczeństwa dla zdrowia, jeśli praca odbywa się w pomieszczeniach obszernych i wentylowanych, — wywiązywać się mogą następstwa szkodliwe przy robocie prowadzonéj w chacie, w téj saméj izbie, w któréj rodzina cała ciągle przebywa. Słowem, wzgląd na sanitarno-hygieniczne warunki pracy włościan-przemysłowców domaga się wszechstronnego rozpatrzenia przez ludzi kompetentnych, techników lub lekarzy. My go w tém miejscu zaznaczamy tylko,

3. Ze względu na charakter przemysłu włościańskiego, który powinien pozostać zawsze dodatkowém zajęciem obok głównego rolnictwa, organizacya jego powinna miéć na względzie umożliwienie włościaninowi kupna potrzebnych mu materyałów i narzędzi produkcyi, a w następstwie sprzedaży wytworów—w bliskości miejsca zamieszkania.

Że przemysł ten z rolnictwem najzupełniéj daje się pogodzić, łatwo tego dowieść. W naszych warunkach klimatycznych rolnik co najmniéj w ciągu czterech miesięcy jesiennych i zimowych wolny jest od robót koło roli. Czasu więc dla robót przemysłowych ma podostatkiem. Harmonia pomiędzy temi gałęziami produkcyi zachodzi zupełna. Zauważono wielokrotnie, że zarobki i wogóle położenie ekonomiczne włościan jako przemysłowców są zawsze lepsze tam, gdzie także ich byt agrarny jest lepiéj zabezpieczony. W tych warunkach bowiem chłop wybiera sobie gałąź przemysłu najkorzystniejszą; nic go nie nagli do sprzedawania wyrobów, jeśli cena ich wydaje się mu zbyt niską; odważa się na pewne ryzyko, próbuje różnych udoskonaleń i t. d. Przeciwnie tam, gdzie szczupłe i niedostateczne grunta zmuszają włościan do pracowania z byle jakim zarobkiem, żeby tylko spieniężyć swoje wyroby, tam muszą nieraz sprzedawać wprost ze stratą, niżéj ceny kosztów, aby tylko suma dochodu z roli i przemysłu pokryła ogół wydatków ich gospodarstwa domowego (1).

---

(1) Związek istniejący pomiędzy stanem przemysłu włościańskiego i uposażeniem gruntowem włościan stwierdzono w Rosyi ścisłemi cyframi. Tak np. w dwóch sąsied-

W miejscowościach przemysłowych zarobki włościan z przemysłu dorównywają często dochodowi, jaki mają z roli. Często, tylko dzięki przemysłowi mają możność pozostania przy gruncie i chałupie własnéj, bo z samego rolnictwa wyżyć nie byliby w stanie (1). A i u nas, pomimo słabego rozwoju téj gałęzi produkcyi, w tych miejscowościach wyjątkowych, w których ona silnie się trzyma, stanowi nieraz bardzo poważne źródło dochodu mieszkańców. W Stawiszynie np. w gubernii kaliskiéj mają oni rocznie z przemysłu:

z garncarstwa	1,800	rubli
z kożusznictwa . . .	8,000	„
z wyrobu obuwia . . .	14,000	„

Mieszkańcy Koźminka mają z garncarstwa rocznie 5,000 rubli, z kożusznictwa 4,500. We wsi Tłokini płóciennictwo daje rocznie wartość 6,500 rubli (2). Gospodynie, pracujące w Bylinach nad wyrobami wełnianemi, sprzedają ich rocznie na sumę 60—80 rubli każda. W okolicach Skrzeszewa włościanki wyrabiają rocznie ze swojego lnu po 60—100 łokci płótna, ze 2 obrusy, z parę ręczników, po 2 lub 3 wełniane spódnice. tyleż fartuchów, po 14—20 łokci płócienka na spódnice i poszewki do poduszek, po 25 łokci materyału na ubrania męskie (3). Skąpe dane statystyczne o naszym przemyśle włościańskim nie pozwalają na ściślejsze określenie zarobku ogólnego włościan pracujących w téj gałęzi. Poprzestać musimy na tych kilku wzmiankach, które sporadycznie po pismach spotykaliśmy.

4. Samodzielność ekonomiczna włościanina - przemysłowca, o któréj wspominaliśmy wielokrotnie i która korzystnie go wyróżnia od innych robotników, ażeby być rzeczywistą, nie zaś teoretyczną fikcyą tylko, potrzebuje wypełnienia całego szeregu warunków w zakresie organizacyi przemysłowo-handlowéj téj gałęzi produkcyi.

---

nich powiatach: zwienigrodzkim i ruzskim, różniących się znacznie pod względem wielkości uposażeń rolnych u gospodarzy i stanu uprawy, okazuje się, iż w pierwszym, gorzéj postawionym, na 333 przemysłowców-włościan jest 285 pracujących samodzielnie, a 45 najemników; w drugim zaś, szczęśliwszym, procent najemników sięga zaledwie do 3 na 100. (Zbiór wiad. statys. o gub. mosk. Tom II).

(1) W gubernii moskiewskiéj przeciętny budżet rodziny włościańskiéj, średnio zamożnéj, z 7 osób złożonéj, przedstawia się jak następuje:

Dochód.			Rozchód.		
Z roli	142 r.	(32,2%)	Jedzenie	222 r.	(50%)
Z przemysłu . . .	214 „	(48,5%)	Ubranie, obuwie	98 „	(22%)
Z innych źródeł . .	85 „	(19,2%)	Podatki	60 „	(13,3%)
			Wydatki domowe i gospodar.	64 „	(14,3%)

(Zbiór wiadomości statys. o gub. moskiewskiéj. Tom VI. Zeszyt 1, str. 183).

(2) Pamiatnaja kniżka gubernii kaliskiéj. 1882. Str. 178 — 183. Przemysł ludowy w gubernii. — (3) Gazeta Świąteczna 1885, tydzień 29.

Zaczynając — według technicznéj kolei operacyi produkcyjnych—od materyału surowego, zauważyć należy, że najpożądańsze są dla przemysłu włościańskiego te gałęzi produkcyi, dla których materyałem mogą być produkta własne, z gospodarstwa rolnego pochodzące lub płody naturalne w obfitości znajdujące się w danéj okolicy (wełna, len, nabiał, słoma, wiklina dla koszykarstwa, glina dla garncarstwa, niektóre gatunki drzew dla rzeźb i wyrobów stolarskich, sosny na gonty, len i konopie i t. d.). W każdéj danéj miejscowości fauna i flora powinny być brane pod uwagę przy rozkrzewianiu przemysłu włościańskiego. Wskazówki dostarczane przez korespondentów prowincyonalnych, dokładnie obeznanych z charakterem okolicy, są w tym względzie nader cenne. Danych tego rodzaju już dziś mamy sporo w odpowiedziach nadesłanych na kwestyonaryusz sekcyi Tow. Pop. Przemysłu i Han., oraz w korespondencyach prowincyonalnych do pism peryodycznych. Wiemy z nich np., iż w Więckach (powiat wieluński) znajdują się pokłady glinek wysokiéj wartości, nie eksploatowane dotąd wcale przez ludność miejscową (1). W gubernii kaliskiéj, według słów korespondentów, istnieją warunki sprzyjającym dla rozwoju koszykarstwa, które miałoby byt zapewniony dla swoich wyrobów w licznych cukrowniach; obfitość zaś materyału surowego umożliwia także w téj miejscowości rozwój garncarstwa i przemysłu drzewnego. Taniość i obfitość materyału leśnego i kopalnianego w powiecie będzińskim są warunkiem sprzyjającym rozwojowi garncarstwa i przemysłu drzewnego (2). W Gęsińcu pod Nieszawą domagają się poparcia dla koszykarstwa, jak również w okolicach Grodziska i Mszczonowa w powiecie błońskim, oraz w powiecie gostyńskim; w Mińsku dla tkactwa i bednarstwa, w Końskich dla pszczelnictwa; w powiecie częstochowskim, zdaniem korespondentów, szczególnie popierać należy produkcyą zabawek, ram, rzeźb, figur, ze względu na możliwy zbyt na odpustach i t. d. Zwłaszcza zużytkowanie licznych w naszym kraju wydm piasczystych, niezdatnych do produkcyi zbożowéj, na plantacye wierzby koszykarskiéj byłoby nader pożądane. Wyroby z niéj mogą być nader liczne począwszy od koszów do bielizny, koszów podróżnych, wózków dziecinnych, mebli, etażerek, żardinierek, drobnych koszyczków i pudełek i t. d. Istniejące u nas obecnie wierzby należą do gatunków pośledniejszych, nadających się tylko do wyrobów grubszych. Gdzieniegdzie tylko znajduje się wiklina, rosnąca zresztą bez żadnéj opieki, niszczona i wycinana na lichy opał.

---

(1) Stanisław Łoza. Przemysł drobny i t. d. str. 128. — (2) l. c. str. 118.

Ciekawe są z tego względu usiłowania, czynione przez samych włościan w celu zaszczepienia pewnych gałęzi przemysłu i utworzenia sobie nowych źródeł zarobkowych. We wsi Gołąb w Lubelskiém na otrzymanych za służebności 250 morgach sapów nadwiślańskich założyli chłopi plantacyą wikliny i wierzby koszykarskiéj a jednocześnie wysłali kilku ze swoich synów na naukę koszykarstwa do Warszawy i Galicyi. Zjeżdżają téż oni często do Warszawy dla szukania wzorów dla swoich wyrobów, co im po największéj części nie udaje się wcale (1).

O ile jednak materyał surowy, dla przemysłu potrzebny, nie znajduje się w bliskości i sprowadzanym być musi, należy uprzystępnić nabywanie jego włościanom, unikając wszelkiego pośrednictwa osób trzecich, wkradających się nieprodukcyjnie pomiędzy producenta i nabywcę. Pośrednictwo to zabić może całkowicie przemysł włościański, a przynajmniéj powstrzymać jego normalny rozwój. Bo z jednéj strony zmniejsza ono zarobek producenta, z drugiéj zaś podnosząc cenę wyrobów dla osiągnięcia większego zysku, ścieśnia koło nabywców. Już teraz w wiadomościach nadsyłanych o przemyśle włościańskim powszechne są utyskiwania w rodzaju: „szkoda wielka, iż przemysł ten znajduje się całkowicie w ręku żydów i nie dostarcza wcale dochodu producentom" (wapniarstwo w Burzeninie), albo: „żydzi, obiąwszy tę gałąż produkcyi (dobywanie bursztynu w Ostrołęckiém), wyzyskują w straszny sposób pracę włościan" i t. d. i t. d. W takim stanie rzeczy korzyść przemysłu sprowadza się do zera, a stanowisko pracowników staje się podobném do losu zwykłych wyrobników najemnych.

To samo odnieść należy i do narzędzi produkcyi, których chłop potrzebować może i których — przy braku odpowiedniéj organizacyi — dostarczać mu będą pośrednicy, zmuszając do drogiego opłacania swych usług albo nawet wypożyczając tylko narzędzia i maszyny dla wyrabiania przedmiotów na ich wyłączną korzyść; taki usłużny pośrednik nakłada zazwyczaj na producenta cały szereg zobowiązań, jak np., że niewolno mu komu innemu oddawać wyrobów, lub od kogo trzeciego brać materyału i narzędzi i t. d. Chłop wtedy już nie sprzedaje wyrobów swojéj pracy, ale samą tę pracę. To samo stosuje się wreszcie do zbytu wytworów gotowych, wychodzących z rąk włościanina. Wyjątkowo tylko chłop jest w stanie

---

(1) Jako ciekawy przykład, jakiego poparcia doznaje u nas przemysł włościański, przytaczamy tu fakt następujący. Gdy pewien chłop udał się do magazynu zabawek w Warszawie dla zakupienia wzorów, kupiec, z początku bardzo ugrzeczniony, odmówił wręcz sprzedaży, gdy się dowiedział, w jakim celu czynioną była.

roznosić swój towar po kraju, jak to robią naprzykład siciarze biłgorajscy lub górale-druciarze. A w każdym razie jest to forma zbyt pierwotna, połączona z wielką stratą czasu i trudów. Jarmarki najbliższe małomiasteczkowe nie wystarczą, jeśli gałąź przemysłu będzie miała istotne powodzenie. A chłop polski, nie znający się na stosunkach handlowych, dziś mało przedsiębiorczy i rzutki, wpaść musi z konieczności w zależność od przekupni, którzy czyhać będą na producenta najrozmaitszemi drogami.

Wszystkim tym potrzebom — kupna materyału i narzędzi, zbytu produktów — zaradzić może tylko rozumnie pomyślana organizacya przemysłowa, rozgałęziona po całym kraju. W Warszawie i miastach większych mogą być założone sklepy wyłącznie z wyrobami przemysłu włościańskiego, a w miejscowościach bardziéj oddalonych agenci prowincyonalni mieliby za zadanie ściąganie tych wyrobów do ognisk głównych, oraz dostarczanie drogą odwrotną włościanom potrzebnych im narzędzi i materyałów. Wyroby do tych sklepów mogłyby być przyjmowane w komis lub z niewielką zaliczką, a przedmioty włościanom potrzebne wydawane po cenach hurtowych, na kredyt lub nawet, jak na początek—tytułem próby—zupełnie darmo. Wszelkie pośrednictwo byłoby tym sposobem wyłączone, a ogniwem łączącém punkty centralne z pracownikami byliby agenci, ludzie dobréj woli, z pośród inteligencyi wiejskiéj uproszeni: tym ostatnim za trud i staranie pewien procent od sprzedanych wyrobów mógłby być zapewniony. Tylko tą drogą szérsza publiczność mogłaby się zapoznać z wyrobami włościańskiemi, ku czemu też środkiem pożądanym mogłyby się stać wystawy krajowe lub lokalne wyrobów przemysłu włościańskiego, w rodzaju tych, jakie miały już u nas miejsce.

Organizacya podobna, łatwa do pomyślenia w teoryi, napotkać może pewne trudności praktyczne w wykonaniu i przeprowadzeniu. Początkowo więc na mniejszą skalę próbować należy, zwracając się do tych okolic, w których już dziś przemysł włościański istnieje, lub gdzie przewidywać można, iż prędzéj i łatwiéj rozwinąć się zdoła. Jest to warunek konieczny, bez wypełnienia którego cały pożytek przemysłu oczekiwany dla włościan spełznąć może na niczém. Pozostawiony sam sobie będzie on w dalszym ciągu marny swój żywot dzisiejszy prowadzić, bez korzyści dla ogólnego gospodarstwa krajowego i mało czyniąc ulgi włościanom.

Nareszcie dla podniesienia technicznéj wartości wyrobów włościańskich, dla wydoskonalenia ich smaku i zdolności, których jak widzieliśmy nie brak wśród ludu naszego, potrzebną jest przedewszystkiém — nauką. Od rodzaju przemysłu już zależy, który ze

sposobów nauczania w każdym danym wypadku zastosować należy. Gdzie nauka jest łatwą i długiego nie wymaga czasu, tam wystarczy nauczyciel wędrowny lub warsztat przenośny.

„Utworzywszy naprzykład — pisze p. Makowiecki — warsztat praktycznego nauczania, dajmy na to, wyrobu zabawek glinianych, możnaby ten zakład trzymać rok jeden w Sierpcu, na drugi przenieść go do Koła, w trzecim zawędrować do Siewierza i t. d. Warsztat znowu do wyrobów grzebieniarskich potrzymać przez rok pierwszy w Gostyninie, przez drugi w Opocznie, przez trzeci w Węgrowie i t. d. Tym sposobem postanowiwszy sobie utrzymywać dany warsztat instrukcyjny, dajmy na to, przez lat dziesięć, możnaby przez czas ten przewędrować z nim przez całe Królestwo i ponauczać w rozmaitych miejscowościach grono chętnych pracowników“ (1).

Gdy zaś nauka wymaga dłuższego czasu i staranniejszego wykładu, albo gdzie liczyć można na stały i liczny napływ chętnych uczniów, tam potrzebne są szkoły fachowe, stale funkcyonujące.

Zakładów podobnych mamy już trzy w kraju naszym: najdawniejszym jest szkoła parobków, założona przez St. hr. Zamojskiego w Podzamczu pod Maciejowicami, w któréj chłopaki uczą się stolarstwa, tokarstwa, ślusarstwa i innych rzemiosł. Wyroby uczniów téj szkoły odznaczane były na wystawie warszawskiéj w r. 1885.

Drugą jest szkoła guzikarstwa w Kadzidle, na Kurpiach, założona przez L. hr. Krasińskiego. W niéj chłopcy wiejscy po kilkomiesięcznéj nauce wyuczywszy się rzemiosła, składają egzamin i w następstwie dostają warsztat do domu, z obowiązkiem spłacenia jego wartości ratami. Zakład ten, który mieliśmy sposobność oglądać, prowadzony jest przez fachowego nauczyciela, sprowadzonego z Czech; praca idzie ochoczo i wesoło, a uczniowie w krótkim czasie dochodzą do wielkiéj wprawy i biegłości. Zaszczepienie tego przemysłu może się stać dobroczynném dla ludności kurpiowskiéj, skąpo uposażonéj w liche grunta piaszczyste.

Trzecią wreszcie szkołą w kraju jest zakład koronkarstwa, założony staraniem p. Rudominowéj w Gromadzicach w Opatowskiém w r. 1882; wyroby téj szkoły były również przedstawiane na wystawie warszawskiéj i przez znawców chwalone. Drugi zakład podobny istnieje w Skalbmierzu w Proszowskiém, gdzie przez zimę około 25 uczennic uczy się koronkarstwa.

W końcu już do zakładów przemysłowych raczéj niż pedagogicznych zaliczyć można fabrykę tkanin drzewnych świeżo założoną w Kutnie. Po dwumiesięcznéj nauce wyrabiano w niéj materye

(1) Przemysł drobny str. 36.

delikatne w piękne i wykwintne wzory, plecionki ze słomy, kapelusze z tkanin drzewnych, rolety, roboty galanteryjne jak bonbonierki, wachlarze itd. Fabryka ta po wystawie otrzymała podobno bardzo wiele obstalunków. Czy to jest jednak przemysł włościański, czy też tylko domowa forma przemysłu kapitalistycznego — tego nie wiemy.

Są to jednak dzisiaj wyjątki tylko. Ogół włościan pracuje bez wszelkich wskazówek, najprostszemi narzędźmi, wobec czego dziwić się nieraz przychodzi wartości wyrobów. Należycie poparta produkcya ta mogłaby stanąć o wiele wyżéj—wspierając się na wskazówkach zebranych przez Sekcyą Towarzystwa Pop. Prz. i Handlu proponował sekretarz delegacyi do spraw przemysłu włościańskiego p. Fr. Olszewski założenie szkół fachowych w następujących miejscowościach:

a) szkoły garncarstwa: w Widawie—centralnéj na dwa powiaty łaski i sieradzki; w Firleju (lubartows.), w Iłży.

b) szkoły koszykarstwa: w Opatowie, w Suchedniowie, w powiecie pułtuskim, w Koszycach (pińczow.) i nad Liwcem (p. węgrows.)

c) szkołę koronkarstwa: w Rykach (garwol.);

d) „ haftarstwa: w Proszowicach (miechows.);

e) „ garbarstwa: w Białogonie (kiel.);

f) „ wyrobów bursztynowych w Ostrołęce;

g) „ stolarstwa w Zwoleniu, Kozienicach, Suchedniowie, Łęcznie;

h) szkołę bednarstwa w Stopnicy;

i) „ sitarstwa w Biłgoraju;

k) „ zabawek w Samsonowie (opatow.);

l) „ snycerstwa we Włoszczowéj, i w p. opatowskim (1).

Zaś dla wysłania nauczycieli wędrownych nadawałyby się punkty: Przysucha, Żarnowiec i Suchedniów (przemysł żelazny i kamieniarstwo), Ostojów, Krasnobród, Majaczewice (gontarstwo), Wolbrom, Pacanów, Sokołów (kożusznictwo) (2).

W końcu—jako dopełnienie środków powyższych—możnaby wysyłać zdolniejszych robotników dla nauki zagranicę, urządzać wystawy lokalne, zaznajamiające włościan z nowemi sposobami pro-

---

(1) Delegacya posiada już kilkanaście ofert od rozmaitych osób, na prowincyi zamieszkałych, które przyrzekły pomoc materyalną i zajęcie w krzewieniu i rozbudzeniu przemysłu wśród ludu.

(2) Obacz w cytowanéj już kilkakrotnie broszurze pana Makowieckiego szczegółowy wykaz gałęzi przemysłu drobnego, któreby u nas w kraju rozwinąć należało (Str. 21—29).

dukcyi, ulepszonemi narzędźmi, na których by dla zachęty lepsze wyroby wynagradzano.

Wszystko, co powiedzieliśmy wyżéj o środkach poparcia i rozwoju przemysłu włościańskiego w kraju naszym, streścić się daje w następujących punktach ogólnych:

A) odnośnie do gałęzi produkcyi, które przedewszystkiém popierać należy: 1) najwłaściwszemi dla przemysłu włościańskiego są te przedewszystkiém, którym nie grozi konkurencya fabryczna, albo téż, które z téj konkurencyi zwycięsko wyjść mogą; 2) następnie baczną uwagę zwrócić należy na sanitarno-hygieniczne warunki pracy w każdéj gałęzi: wzgląd o wiele ważniejszy, jak widzieliśmy, w przemyśle domowym niż w innych; 3) wreszcie w każdéj miejscowości kierować się należy warunkami lokalnemi, tak przyrodzonemi (materyał surowy, płody roślinne i zwierzęce) jak i ekonomicznemi (łatwość zbytu, bliskość granicy);

B) odnośnie do organizacyi przemysłowo-handlowéj, warunkiem nieodzownym jest takie jéj urządzenie, przy którém stanowczo i na zawsze usuniętémby zostało szkodliwe pośrednictwo osób trzecich, a ułatwione było dla włościan nabywanie materyałów i narzędzi oraz zbyt produktów;

C) wreszcie dla podniesienia wartości wyrobów i udoskonalenia pracy środkiem jedynym są szkoły fachowe stałe lub warsztaty wędrowne i wystawy.

Szczegółów omawiać w tém miejscu nie będziemy, gdyż jest to przedewszystkiém rzeczą techników i ludzi fachowych w każdéj danéj gałęzi poszczególnie. Sądzimy jednak, iż prędzéj czy późniéj ważność téj sprawy dla gospodarstwa naszego kraju skłoni wielu ludzi dobréj woli do energiczniejszego zajęcia się nią i wszechstronnego obmyślenia środków zgodnych z wymaganiami nauki i z potrzebami pięciomilionowéj ludności włościańskiéj kraju.

* * *

Ważność przemysłu ludowego dla ogólnego gospodarstwa narodowego gdzieindziéj już dawno należycie oceniono. Zarówno rządy jak i instytucye prywatne pośpieszyły z pomocą w celu udoskonalenia i podniesienia produkcyi ludowéj. Nie mówiąc już o krajach Europy, w których już wiele na tém polu zdziałano (Szwecya, Austrya, Włochy), nawet w Cesarstwie od lat kilku ludzie dobréj woli energicznie koło téj sprawy się krzątają.

Ciekawym i pouczającym przykładem pracy w tym kierunku jest działalność towarzystwa petersburskiego, historyą którego na

podstawie materyałów, nadesłanych do redakcyi „Ateneum", w tém miejscu w ogólnych zarysach skreślimy.

W roku 1881 założoném zostało w Petersburgu pod nazwą „Towarzystwa popierania pracy ludowéj" (1) stowarzyszenie, którego zadaniem jest wyszukanie i zastosowanie środków, mogących wpłynąć na powiększenie produkcyjności pracy ludu, tak w dziedzinie rolnictwa jak i w przemyśle oraz ulepszenie warunków téj pracy.

„Potrzeba dać dzieciom ludu pracującego—czytamy w odezwie wyjaśniającéj cele T-stwa—szkoły niższe rolnicze, rzemieślnicze, techniczne i handlowe, odpowiednie, do potrzeb życia ekonomicznego każdéj miejscowości; dorosłym zaś robotnikom, pracującym już w różnych gałęziach przemysłu, należy dać możność doskonalenia się w ich fachu, przez wysyłanie nauczycieli fachowych, urządzanie wykładów, odczytów, przez zakładanie czytelni i bibliotek; za pomocą wystaw prowincyonalnych, urządzanych peryodycznie w określonych terminach obudzić trzeba emulucyą wśród pracujących, nagradzać lepsze wyroby a za pomocą muzeów przemysłowych obznajmiać ich ze sposobami produkcyi, za pomocą warsztatów i form wzorowych uczyć lepszych sposobów pracy, dostarczać ulepszonych narzędzi i maszyn, ziarna na zasiéw; postarać się o rozszerzenie zbytu dla wyrobów ludowych, popierać kasy oszczędności, spółki i stowarzyszenia (2)...

Znalazłszy poparcie w społeczeństwie, Towarzystwo rozpoczęło odrazu działalność energiczną i dziś po kilku latach zaledwie szczycić się rezultatami ma zupełne prawo. Czynności swoje rozpoczęło od rozesłania cyrkularzy do organów władz państwowych i autonomicznych na prowincyi, do wszelkich towarzystw naukowych, przemysłowych, technicznych, do spółek akcyjnych, do zarządów miast, do gmin i gromad, wreszcie do wielu osób prywatnych, zachęcając je do wzięcia udziału w pracach t-stwa. Organ centralny pozostawił sobie jedynie rolę inicyatora w budzeniu i krzewieniu działalności, o możliwe zdecentralizowanie któréj chodziło mu najbardziéj. Cyrkularze te odniosły pożądany skutek. Wiele osób i instytucyi zapisało się na członków. Kto czynił wkład jednorazowy w ilości 1000 rubli lub zobowiązywał się wypłacać w ciągu lat 14 po rubli 100 rocznie, stawał się członkiem czynnym; członkiem zaś popierającym mógł być każdy opłacający 6 rubli rocznie. Ustanowienie wysokiéj składki dla członków rzeczywistych miało na celu oddanie ste-

(1) Obszczestwo ułuczszenia narodnawo truda.

(2) Izwiestija i rasporiażenija obszczestwa ułuczszenija narodnawo truda. Nr. 2 1 lipca 1883 (str. 24—25).

ru spraw Tow. w ręce instytucyi zbiorowych nie zaś osób pojedyńczych. Słusznie bowiem mniemano, iż wszechstronne zbadanie potrzeb i interesów każdéj danéj miejscowości nie może być dziełem jednostek. Tylko całe instytucye—zwłaszcza te z pośród nich, które już mają doświadczenie w tym względzie i umiały już pożyskać zaufanie ludności (ziemstwa), różne instytucye samorządu jak dumy miejskie, zebrania gminne itd.)—rozporządzają w dostatecznéj mierze środkami, są w stanie z łona swojego wyznaczyć ludzi fachowych i kompetentnych dla pokierowania téj ważnéj sprawy. Ponieważ zaś wszystkie klasy ludności są zainteresowane w ulepszeniu pracy ludowéj, więc, jak mniema Towarzystwo, słusznie koszta i trudy wszystkie ponosić powinny. W tych organach lokalnych upatruje téż Zarząd główny (1) najważniejszy czynnik swojéj działalności. Im téż zapewnia większość głosów i przewodnictwo w kierunku ogólnym, a sam wobec nich ogranicza się do skromnéj roli przedstawiciela wobec władz, usłużnego doradcy, gotowego do wszelkich usług i wskazówek naukowych, technicznych, prawnych, dla dostarczania nauczycieli, majstrów, kierowników, a i środków pieniężnych w miarę możności, i o ile fundusze miejscowe na potrzeby danéj okolicy nie wystarczają itd. Wreszcie do porady opartej na praktyce, aby doświadczenie każdéj części tego organizmu było przykładem pouczającym dla wszystkich innych.

Gdziekolwiek więc zebrała się ilość 5 członków rzeczywistych, tam zakładano wydział miejscowy Towarzystwa i takowy już na własną rękę rozpoczynał działalność. One badają stan ludności, obmyślają środki praktyczne, rozporządzają wszelkiemi sumami wpływającemi do kasy, z wyjątkiem tylko wkładów pierwotnych, które stanowią nienaruszalny fundusz zakładowy Towarzystwa.

Wydziałów tych jest już obecnie 13 okręgowych i 69 komitetów prowincyonalnych, członków miało T-stwo 1132, a w téj liczbie około 107 ziemstw, 71 gmin i gromad wiejskich, 114 miast, 18 towarzystw przemysłowych itd. (2). Towarzystwo rozporządza kapitałem 530.000 rubli, oraz 50.670 rs. rocznych składek, prócz tego posiada już w nieruchomościach 70.000 rubli.

Tak rozgałęziona działalność nie omieszkała też wkrótce dobroczynne przynosić owoce. Na podstawie informacyi zbieranych

---

(1) „Zarząd główny“ jeszcze nie istnieje. Postanowiono bowiem przed ostateczném zatwierdzeniem ustawy wypróbować ją pierwéj na praktyce przez lat kilka. Przez ten czas rolę zarządu wypełniał komitet założycieli.

(2) Z gub. Witebskiéj członków 29, z Wolyńskiéj 44, z Kowieńskiéj 22, z Królestwa nikogo, z Finlandyi 71.

w całém państwie o stanie ludu, jego zajęciach i środkach podniesienia dobrobytu obmyślano środki praktyczne. Towarzystwo drukuje wyciągi z nadsyłanych mu korespondencyi i tą drogą gromadzi się obfity materyał do poznania stosunków ekonomicznych każdéj miejscowości. Jeden zbiór taki mamy właśnie pod ręką. Wydany on został w roku 1884 p. t. „Zbiór wyciągów z odezw różnych instytucyi i osób prywatnych z różnych okolic o zajęciach ludu i środkach rozwoju i udoskonalenia pracy ludowéj.“ Tom ten obejmuje materyał nadesłany przed 1 maja 1884 roku. Zawiera on wyciągi z 1200 odpowiedzi nadesłanych z 75 gubernii. Ze środków praktycznych wskazywanych T-stwu najczęściéj spotykane są żądania zakładania szkół, ferm i warsztatów wzorowych, bibliotek i czytelni, odczytów i wykładów z nauk przyrodniczych, wystaw. Zasługuje na zaznaczenie projekt ustanowienia w każdym powiecie posad uczonych agronomów, których zadaniem byłoby dopomaganie włościanom radą i wskazówkami. Inni korespondenci skarżą się na brak kredytu, żądają wydawania włościanom drzewa z lasów rządowych, urządzenia przytułków dla sierot chłopskich; skarży się na wyzyskiwanie robotników przez właścicieli ziemskich, żądając wydania przepisów regulujących stosunek pracodawców do najemników w rolnictwie itd.

Odpowiedzi nadesłane z Królestwa noszą charakter czysto oficyalny i żadnego zgoła znaczenia nie mają. Jest ich wszystkich dziesięć na sumę ogólną 1200 (z gubernii piotrk., płockiéj, suwalskiéj, lubelskiéj i siedleckiéj). Gubernatorowie piotrkowski i lubelski rozkazali ogłosić odezwę towarzystwa w miejscowych „Wiadomościach gubernialnych“ dla zaznajomienia z nią publiczności krajowéj! Burmistrz miasta Brzezin uważa, że dla polepszenia dobrobytu ludu należy podnieść przemysł i handel krajowy, a magistrat Wyłkowyski—snać pesymistycznie nastrojony—wprost nie widzi żadnych środków, któremi możnaby dopomódz ludowi. Z Sierpca skarżą się na lichwę żydowską, a z p-tu Konstantynowskiego na pijaństwo i lenistwo. Jedynie w odpowiedziach z Płońska, Sejn i Władysławowa wskazano potrzebę założenia szkół rzemieślniczych. Oto i wszystko a wobec obszernych, wyczerpujących, ożywionych szczerą chęcią dopomożenia ludowi odpowiedzi z gubernii wielkorosyjskich i z Finlandyi, strasznie to słabo wygląda. Nie dziw zresztą—bo osoby istotnie kompetentne w téj kwestyi u nas nic o odezwie nie wiedziały: „Wiadomości gubernialnych“ bowiem nikt oczywiście u nas nie czytuje. Obszerniejsze i liczniejsze odpowiedzi nadeszły z Litwy i Rusi (po 3 z gub. Witebskiéj i Podolskiéj,

4 z Mohylewskiéj, 5 z Kijowskiéj, 6 z Mińskiéj, 7 z Grodzieńskiéj, 10 z Wołyńskiéj, 2 z Wileńskiéj, i 1 z Kowieńskiéj (1).

Obecnie Towarzystwo poszczycić się może następującemi rezultatami: założono dwie szkoły centralne rolnicze dla przygotowywania nauczycieli, 15 szkół zwykłych, 2 fermy wzorowe i jeden warsztat rolniczy; udzielono włościanom gub. Wiackiéj kredyt dla kupna maszyn w sumie 15 tys. rubli; w 9 wioskach gubernii wileńskiéj rozpoczęto wykłady wieczorne dla włościan z zakresu rolnictwa i gospodarstwa domowego — tyle w dziedzinie rolnictwa. Następnie otworzono dwie szkoły centralne rzemieślnicze (jednę dla gub. południowych w Ekaterynosławiu, drugą dla północnych w Jełabudze, 35 szkół rzemieślniczych zwyczajnych, wykłady wieczorne w wielu miastach dla rzemieślników i robotników fabrycznych.

Ogółem powstało już dotąd staraniem Towarzystwa 90 instytucyi różnych w 40 guberniach i 86 miejscowościach. Zapisują się na członków dzisiaj różne ciała zbiorowe, począwszy od towarzystw akademickich, a kończąc na gromadach wiejskich. Wiele gmin postanowiło opłacać stały podatek na rzecz Towarzystwa po 1 kop. od osoby, a robotnicy fabryczni w Niżnim Nowogrodzie oddają na jego korzyść 1% swoich zarobków; chłopi 17 gmin powiatu Jarosławskiego ofiarowali na tenże cel zebraną pomiędzy sobą składkę w ilości 1000 rubli. Są to sympatyczne objawy budzenia się świadomości ludowéj w kierunku popierania własnych interesów.

Przedstawiliśmy tu w ogólnych zarysach organizacyą i działalność Towarzystwa popierania pracy ludowéj, gdyż być może, iż przyłączenie się do niego naszéj Sekcyi Przemysłu drobnego ułatwiłoby pracę w tym kierunku w kraju naszym. Sekcya wstąpić by mogła w charakterze członka rzeczywistego, przez co uzyskałaby prawo założenia swojéj filii odrębnéj. W niéj są już zgrupowane obecnie siły najbardziéj kompetentne u nas w téj dziedzinie, ludzie ożywieni najlepszemi chęciami,—ale w warunkach obecnych niewiele

(1) Ciekawym niezmiernie jest list włościanina gub. mińskiéj powiatu pińskiego, Józefa Jakuczka. Opowiada on o sobie, iż, trudniąc się zdawna mechaniką, był zawezwany przez zarząd szkoły w Horkach do wykładania uczniom sztuki budowania maszyn rolniczych, ale jako chłop pańszczyzniany rozporządzać osobą swoją nie mógł. Wiele udoskonaleń i ulepszeń swojego pomysłu wprowadził do swoich robót: dostarczał maszyny swoje do domu handlowego Malcowa w Brańsku, oraz firmie Kraszewski, Dubeltowicz i S-ka w Warszawie. Proponuje on Towarzystwu założenie filii w Pińsku oraz urządzenie przy jego warsztacie szkoły mechaniki praktycznéj, w któréj podejmuje się bezpłatnego nauczania.

zdziałać mogący. Przystąpienie więc do instytucyi posiadającéj już pewną rutynę w téj pracy, zasobnéj i wpływowéj, która już dziś dużo zdziałała, a wiele jeszcze zdziałać może—odbiłoby się z pewnością bardzo korzystnie na dalszym przebiegu sprawy przemysłu ludowego w królestwie Polskiém. Zauważmy także, że cała dotychczasowa działalność Towarzystwa pozwala mniemać, iż wolném jest ono od wszelkich pożądań ubocznych, niezwiązanych z właściwym jego celem, wolném także od wszelkich zachcianek centralistycznych.

A. Zakrzewski.



Z MAŁO ZNANYCH STREF.

SZKIC LITERACKI.

> „La psychologie a sa racine dans la nature
> son épanouissement dans la société.“
>
> *Ribot.*

I.

Nurzający się w wodach Atlantyku i morza Śródziemnego, zaledwie wązką szczeliną Gibraltaru, przedwiecznym kataklizmem przyrody odcięty od północnéj Afryki, co niby siostra rodzona dzieli się z nim oliwką i migdałem, ryżem i trzciną cukrową, ba! królewską swych oaz ozdobą, daktylową palmą, lecz jednocześnie pali skwarnym oddechem, a płomiennemi wichry smaga skaliste jego wybrzeża, półwysep Iberyjski spojony jest z Europą Pirenejów stromym grzbietem. Słaba spójnia! raczéj w niebowzbite graniczne kopce, strzegące właściwości klimatu i gruntu, jako też historycznych i psychicznych różnic.

Cywilizacya-bo nie przyszła tu tą samą, co do innych europejskich krain drogą. Wprawdzie i tu, jak na całym zachodzie, głęboko się worały włócznie rzymskie, nie darmo jednak od zarania wieków w Celtyberów stronę zwracały się sfinksów afrykańskich oczy. Oczy te nie zawsze przysłaniała obecna półsenność. Do niedawna jeszcze uważaliśmy za zagadkę wszelkie czasu zaćmienie, dziś, dzięki badaczom tych zagadek dziejowych, wiemy jakie życie wrzało niegdyś w Tebach o stu bramach, w obróconéj w perzynę Kartaginie. Wrzało, wylewało się i pobliskiéj Hesperyi wybrzeże zalało cywilizacyą prastarą i praolbrzymią. Na półwyspie, w najgłębszéj starożytności osiedlali się Kartagińczycy i Fenicyanie, którym to Hiszpania nazwę swą zawdzięcza, po upadku zaś Rzymu nie długą względnie chwilę rozrywali ją Wandalowie, Alanowie i Wisy-

goci i już na początku VIII w. Korduba, Sewilla, Walencya, Toledo, Saragossa, były i przez przeszło sześć wieków pozostały ogniskami oświaty maurytańskiéj. Wraz z kalifami dostały język, obyczaje, prawo Arabów, zwycięzców łagodnych, rycerzy walecznych, nauczycieli światłych, rolników z zamiłowania, artystów z temperamentu, ceniących tego i przyszłego życia rozkosze, mędrców zarówno biegłych w metafizyce jak i w naukach ścisłych, poetów zdolnych do praktycznych zastosowań wyników wiedzy.

Pod berłem panów bogatych i mądrych, o szlachetnych rysach twarzy i pięknych, gibkich kształtach ciała, rozkwitły na półwyspie ziemia i rasa, wystrzeliły pomniki architektoniczne, których szczątki po dziś dzień podziw budzą, szkoły otwarły się na oścież dla Maurów, dla chrześcian, dla żydów, a liczne księgozbiory gromadziły skarby wiedzy dla przyszłych pokoleń.

Wiek to był złoty.

Lecz tuż, zaraz, obok, w pracowni nieubłaganych wypadków, cyklopy czasu, splatając kajdany na wszystkie te swobody, układając stosy pod wszystkie te zdobycze, wybijały pancerze i znamiona następnéj doby. Pancerze kute nie w złocie rozwoju, ale w żelazie przemocy, znamiona nie Tyru podbite purpurą, lecz krwi zapiekłéj smugami. Zorze nowéj doby wschodziły rozramienione nie jasną wiedzą, nie myśli i czynu swobodą, nie życia i obiecanego raju rozkoszami, lecz mętnym a zrącym płomieniem mistycyzmu, wysiłkiem zgiętych czół i skrzyżowanych, skrępowanych ramion.

Pod bokiem potęgi maurytańskiéj, zgłuszona nią, wtłoczona w głąb rodzinnéj gleby, drzémała inna siła, przyszłością brzemienna, choć rozłamana jeszcze na drobne polityczne okruchy, które prądy czasu i fale pomyślnych warunków zewnętrznych, w krótkim zcementować miały czasie. I gdy tamta omdléwała w objęciu dokonanego postępu i długotrwałego powodzenia, ta rosła w poniżeniu, wyrabiała się w harcie przeciwności, rozpalała w poczuciu prastarych, naturalnych a zdeptanych praw swoich, w nienawiści najeźdźców i bogdaj tych blasków, któremi najeźdźcy jaśnieli. Siła ta etnograficznie nawet rozstrzeloną była. Katalonia, naprzykład, bliższą jest po dziś dzień Prowancyi niż Hiszpanii. Rozproszone elementy spoiły dopiéro najsilniejsze pod oną dobę, bo dynastyczne węzły. Koniec XV stulecia, zlaniem się pod jedno berło Aragonii i Kastylii, wysadził na wiérzch drzémiącą tę siłę. Jak rosnąca ze śnieżnych pyłków lawina, ze wzmagającą się za każdym obrotem szybkością, potoczyła się ona po historycznym skłonie, zmiotła lub zmiażdżyła Maurów, lecz czyż zdołała z gruntu wyplenić przez Maurów rzucone na jéj szlaki posiewy?

Wszak pamiętacie słynną Alpuhary baladę? Almansor, pętający turbanem swym nogi zwycięzców i u ust ich pożegnalnym zwisający pocałunkiem, wierny to obraz stosunku Maurów do ziemi, którą, po pięciu wiekach panowania nad nią, opuścić mieli. Opętali ją swego geniuszu barwną smugą, a w pożegnalnym pocałunku wszczepili w nią nie jad zarazy, lecz niepożyte pierwiastki wytwornéj kultury. W żyły i serca podnoszących głowę tuziemców rzucili pożogę wschodu, co wybucha płomieniem oka, temperamentu, wyobraźni, słowa, czynu.

Szybko na politycznym horyzoncie wzbijała się gwiazda jednolitéj państwowo Hiszpanii. Odkrycie Ameryki niezwykłego dodało jéj blasku. Tam za morzami, śród dziewiczéj przyrody, bajeczne skarby mamiły chciwość, bajeczne przygody zaostrzały awanturniczość, będącą już we krwi i tradycyi krajowców. Dla zuchwałych i przedsiębiorczych niezliczone otwierały się drogi. Z osadu starych, a bądź-co-bądź zawsze słusznych, skoro ku najeźdźcom skierowanych zażaleń, rosło do bohaterstwa nieraz, do waleczności zawsze posunięte męstwo. Powodzenie rozwinęło dumę. Hidalgowie wysoko podnieśli czoła i prawice. Na maurytańskim pogromie, na nieobrachowanych obszarach nowych lądów, monarchizm, w zespoleniu z supremacyą kościoła katolickiego, potężnemi rozparł się stopy. Płonki mistycyzmu katolickiego wszczepione na pniu maurytańskiéj lubieżności, krwawym okwitły owocem. Dla obecnéj psychologii nie jest zagadką zespolenie zmysłowych rozkoszy z religijnością i okrucieństwem. Znane są przyczyny i bliskie pokrewieństwo tych z pozoru tylko niezgodnych z sobą prądów. Była to zresztą doba rozżarzenia namiętności religijnych. Chwiał się grunt ślepych wierzeń, a ci, co wierzeń tych dzierżyli klucze, nie cofali się przed niczém dla zatrzymania wymykającéj się im władzy. Na odwrotnym skłonie Pirenejów, fanatyzm religijny rozpiął sieci na templaryuszów i albigensów. Wkradał się nawet na półwysep Apeniński, kędy na straży etyki społecznéj i obyczajów stały pogodne, klasyczne tradycye, a nawet w gęstych mrokach średniowiecznych odnowionym zaślubinom ludzkości z przyrodą błogosławił wielki apostoł miłości i prostoty: Franciszek z Asyżu. Lecz żaden apostoł pogody i miłości słodkim uśmiechem pobłażania, nie osłodził goryczy, nie ochłodził żaru katolicyzmu hiszpańskiego, a *Dominicani*, psy Boże, znaleźli na półwyspie Iberyjskim, na pogromie Maurów, śród żydów i cyganów, przygotowane dla swych łowów pole. Obok walk politycznych i religijnych, osłonięta niemi, jak to zwykle bywa, zawrzała walka głębsza, przedwieczna—rasowa. Więzienia wypełniły się Maurami i żydami, inkwizycya obsaczyła drogi, któremi

nadbiédz mogły wichrzące Europą herezye; dymem stosów, łachmanami konfiskaty, chwastem odstępstwa, kałem szpiegostwa, wałem nienaruszalności i dogmatyki zatkała wszelkie otwory, kędy wsączyć się lub na zewnątrz wystrzelić mogła myśl swobodna.

Z gruzów maurytańskich szkół i pałaców wzbijały się przedziwne, przekwitającego już gotycyzmu kościoły. Dla nawracania *per fas et nefas* niewiernych, dla strzeżenia wiernych na wąskich prawomyślności ścieżkach powstawały legiony mnichów, a jednocześnie zielone pastwiska Andaluzyi i Estremadury obsiadły roje bardziéj jeszcze tajemnicze, chociaż bynajmniéj nie zakonne, roje cyganów „*gitanos.*“

Po nad tém wszystkiém, po nad wrzącą, ruchliwą zgrają społecznych i etycznych, ba! etnicznych elementów, zjawisk, popędów, wyskoków, grobowem sklepieniem zaciężyła ponura Eskuryalu groza. Śród dzikiéj, milczącéj przyrody, w gmachu, o którym trudno orzec, czy jest pałacem, więzieniem, czy klasztorem, a który zbudowano wedle wzoru instrumentu tortury św. Wawrzyńca, z dynastyą wszechwładnych a ponurych maniaków rozsiadły się: sztywna etykieta, hipokryzya, bigoterya, jawne i skryte pieczęcią berła uprawnione zbrodnie. To samo pióro, co podpisywało dzieciobójcze, interesem państwa upozorowane wyroki, tkliwe kreśliło sprawozdania o różach i fijołkach do tych infantek, które nie stawały wpoprzek zamysłom ojcowskim. Tu wsłuchując się w zgłuszone dźwięki gitary, więdły blade infantki lub rosły podobne téj Małgorzacie, co w drobnych dłoniach gięła Niderlandy. Tu infanci oddawali się rycerskim i nie-rycerskim igrzyskom, zaprawiając się w narodowém *el juego de la barra* miotaniem dusz i istnień ludzkich. Tu żyły i gasły potwory, których miejsce, wedle nowożytnych praw nauki, byłoby w domu obłąkania, nie na tronie.

Ponura chwila! lecz chwila dziejowa, uchodząca za najświetniejszą polityczną dobę Hiszpanii. O téj to dobie zaważyła ona na szali państw europejskich. Że jednak podobne, jako sztuczne, naprężenie, ani trwać, ani pomyślnych następstw cywilizacyjnych pozostawić nie może, wkrótce zaczęły się objawiać oznaki rozkładu, stopniowe chylenie się Hiszpanii do obecnego wycieńczenia politycznego.

Nie o polityczne tu nam jednak chodzi koleje. Potrzebowaliśmy podkreślić sobie w pamięci ich przebieg o tyle, o ile geograficzne, etnograficzne i historyczne podstawy niezbędnemi są do budowania z nich i na nich, najlżejszego chociażby, lecz w żadnym razie dowolnego rusztowania, nie już literackich, w szerszém tego słowa znaczeniu, studyów, lecz bodaj wniosków pobieżnego zarysu.

Krytyka estetyczna z Lessing'em, z Herderem już stała się historyczną i psychologiczną i nikt już dziś chyba nie wątpi, że cywilizacya wszelka jest wynikiem pewnych danych fizycznych i historycznych i stosownie do tychże danych, różne przybiera rozmiary i barwy. Sztuka zaś i piśmiennictwo są wykwitem danéj cywilizacyi.

II.

Nie tu miejsce zapuszczać się w pierwociny piśmiennictwa hiszpańskiego. Jeśli nie ogólnie znane, to ogólnie, dzięki utartemu w literaturze komunałowi, po nad istotną swą wartość są cenione kastylijskie *romanza.* W rzeczy saméj są one, tak samo jak i włoskie *canzony,* oddźwiękiem trubadurów prowansalskich, a na Katalonią wpływ tychże trubadurów był tak wielki, że pozostawił po dziś dzień niestarte ślady. Któż téż nie słyszał o legendowéj na poły, na poły historycznéj narodowo-rycerskiéj epopei *del Cid Campeador*? W Hiszpanii piosenka, gitara, kastaniety, szczęk białéj broni, zastąpiły zupełny w niektórych okolicach brak śpiewających ptaków, to téż i *canzony* mają cóś sztucznego, erotycznego i rycerskiego. Nigdzie w nich nie spotykamy natchnień czerpanych w przyrodzie. Najwcześniejszymi uprawiaczami piśmiennictwa hiszpańskiego byli książęta krwi, autorowie dzieł teologicznych i heraldycznych, traktatów o etykiecie, rymowanych i nie rymowanych kronik, pieśni religijnych i miłosnych. Wiemy już, jakie elementy złożyły się na rozwinięcie w Hiszpanii religijnego, awanturniczego i erotycznego popędu. Tu téż bardziéj niż gdzie bądź oba płomienie, niebiański i ziemski, płoną zgodnie, zlewają się w jedno. Wczesnego przedstawiciela religijności, w połączeniu z awanturniczością, mamy w osobie Jakóba Aragońskiego, zwanego *lo conquestador* (podbójca). Malarz i poeta, Piotr Serafi, uczeń trubadurów, otwarcie wyznaje, że łącząc religijność z galanteryą, pragnie wszystkich zadowolnić, a medyk Jaume Roig cyniczne, synowcowi udzielane rady, w *lo libre de les doues* przeplata najgorętszemi i najpobożniejszemi westchnieniami do Najświętszéj Panny. Katolicyzm, usiłując wzbić naturę ludzką na niedostępne dla przeciętnego człowieka wyżyny, oparł się tu na rycerskości, usiłującéj zgruba zmysłowość ustroić w ideałizmu szaty. Skrzydła, z anielskiego lepione piérza, tajały przy ogniu południowych temperamentów, opadały w to, co katolicyzm mianował ziemskim kałem, i kałem tym pokalane znów ciężkim lotem usiłowały szybować w niebios błękity. Że z tego powstawał zamęt, dziwić się nawet nie możemy. Co do misteryi, *comedias divinas*, *comedias de santos*, te na gruncie wschodnim, barwnym, awanturni-

czym i dramatycznym wydały posiéw zadziwiająco bujny. Lope de Vega ze swemi 1,800, jak utrzymują, scenicznemi utworami i Calderon de la Barca, poeta i żołnierz zarazem, są tylko na świat cały słynnemi wodzami całego legionu, mniéj więcéj utalentowanych, mniéj więcéj znanych, lecz zwykle nader płodnych dramaturgów.

Z tém wszystkiém, w olbrzymiém ilościowo i pokaźném jakościowo piśmiennictwie hiszpańskiém, dwa dzieła — i to z pominięciem narodowéj o Cydzie epopei, będącéj odgłosem francuskiéj *chançon de geste* o Rolandzie — skupiając pod niezrównaną doskonałością formy najwybitniejsze cechy narodowe, służyć mogą za pierwowzór geniuszu Hiszpanii. Dziełami temi są: „Glosa świętéj Teresy“ i „Don Kiszot“.

U wnijścia do Alhambry, na wieżycy maurytańskiéj, pod złamanym półksiężycem, wita przechodnia obraz Bogarodzicy. Taką jest właśnie Glosa. Palą się w niéj ognie klimatu, epoki i maurytańskiéj spuścizny, odbite w najżywszym mistycyzmie katolickim. Jest ona „pieśnią nad pieśniami“ piśmiennictwa nowożytnego. Żadne nie zdobyło się na wyraz gorętszéj, bardziéj absolutnéj i, o jakże niewieścio-tkliwéj miłości, nad miłość córki surowego szlachcica z Awila, co w pyle ziemskim, u stóp ukrzyżowanego, w niedościgłém przestworzu: czasu i nieba, zawieszonego nad nią Boga-człowieka „konała z bólu, że umrzéć nie mogła.“

Co do Don Kiszota, jest on ostatnim wyskokiem narodowego geniuszu. Nie jest tylko, jak to dotychczasowa chciała krytyka, dowcipną satyrą i parafrazą rozkiełznanego romansu rycerskiego, bo by mu to jeszcze nie zapewniło nieśmiertelności. Aby z pierwszorzędnego w piśmiennictwie wszechludów stanowiska nie zostać strąconém biegiem wszelkie tezy rezolwującego czasu, dzieło Cerwantesa musiało sięgać aż do rdzennych, tak ogólno-ludzkich jak specyalnie narodowych podstaw, dających się modyfikować, nie dających wyplenić. Don Kiszot jest też przedstawicielem ogólnoludzkich właściwości: zamiarów przechodzących siły i zarazem narodowym typem, wiernym do tego stopnia, że jeśli, wedle niektórych, dwaj bohaterowie Cerwantesa uosabiają dwa wybitne w ludzkości a zwłaszcza już w Hiszpanii pierwiastki: idealno-rycerski i materyalno-poziomy, wedle innych domniemań, oba te pierwiastki istnieją nie tylko w narodzie, lecz w każdym z osobna wziętym hiszpanie. Każdy jest jednocześnie przesadnym a rycerskim romantykiem i grubym zmysłowym naturalistą, i kto wié, czy Michał Cerwantes, szlachcic ubogi, żołnierz awanturniczy, przez lat kilka jeniec w Algierze, pisarz nieoceniony przez współczesnych, tworząc dwa te nieśmiertelne i nierozdzielne odtąd typy, nie wpatrzył się

przedewszystkiém w głąb własnéj duszy i własnego życia, nie wsłuchał się w wieczyście we własném sumieniu i wyobraźni toczące się sprzeczki rycerza z pachołkiem, marzyciela z niewolnikiem najpospolitszych wyobrażeń i apetytów: don Kiszota z Sancho Pansą.

Dualizm ten jest nawskróś narodowym. Śród ludności hiszpańskiéj Katalończycy przedstawiają żywioł najtrzeźwiejszy, realny. Oni to dźwigają na swych barkach całą niemal produkcyjno-przemysłową siłę Hiszpanii. Nie przeszkadza to, że śród pisarzy katalońskich, których wznowione usiłowania odrodzenia gwary katalońskiéj, wyciągnęły z zapomnienia, jeden z najgłośniejszych: Ramon Lull, odznacza się mistycyzmem godnym św. Teresy, w któréj znów życiu i pismach uderza nas jeszcze bardziéj ów narodowy dualizm. W żyłach jéj płynie najczystsza krew kastylijska—*limpieza*, a krew ta zażega się ogniami klimatu, otoczenia, podań. Dwa różne bardzo prądy odbijają się w domowém jéj wychowaniu, w tém wychowaniu, co w połączeniu z przyrodzonemi zadatkami dziedziczności składa się na wytworzenie temperamentu tego, co indywidualizmem nazywamy, co późniejsze, życiowe wpływy modyfikują wprawdzie, lecz co się ani zaciéra, ani nabywa późniéj. Jeden z tych prądów jest surowy, religijny, ponury, najpewniéj absolutny, wpływ to cnotliwego i dumnego don Alfonsa de Cepeda, będącego uosobieniem średniowiecznego hiszpana. Drugi romantyczny, ba! erotyczny, téj Beatryczy de Ahumada, któréj wdzięczna, nikła postać sprawia wrażenie wcześnie zerwanego i wcześnie zwiędłego kwiecia u boku surowego, milczącego męża. Ogniste oczy drobnéj Teresiny błądzą na przemian po dzikich, nagich skłonach gór, to znów po żyznych do rozrzutności dolinach; gubią się w poplątanych a jednak tak ściśle geometrycznych arabeskach po-maurytańskiéj spuścizny, lub wznoszą się w niebo wraz z zawrotnemi wieżycami, śród chaotycznych lecz przepięknych załomów sklepień gotyckich. W arenach podobnych do amfiteatrów rzymskich, pod otwartém, roziskrzoném niebem, olśnione gorącością barw, gonią za rozwianemi *picador*'ów płaszczami, za *torreador*'ów chustami, lub pochwycone wężowemi sploty rozwijających się śród ciasnych ulic procesyi, przebijają dymy kadzideł, liczą skrzące się od drogich kamieni baldachimy, pastorały, relikwiarze, monstrancye, toną w miękkich zwojach koronkowych mantyli, śledzą pełne wdzięku zwroty klasycznego—od Fenicyan bodaj jeszcze przyjętego—fandango. W ucho drobnéj Teresiny wpadają na przemian modły, opowieści o świętych, surowe zasady wiary, która w zmroku wieków średnich ostatnie swe postradała uśmiechy, wiała chłodem romańskiéj grozy, bizantyńskim, od tła nimbów złoconych odbijającym, niedostępnym

majestatem; to znów rycerskie podania, dźwięki organów, dzwonów jęki, brzęk gitary, kastanietów rytmowe uderzenia, zalotne *cancioneros* i te subtelne lub grubo zmysłowe miłosne i rycerskie przygody, w których opisach, wraz z całym swym narodem, lubowała się jéj schorowana, na denerwującą bezczynność skazana matka. To też jak orlę, co z wyniosłego gniazda śmiałym odrazu wzbiją się lotem, mała Teresina, drobném jeszcze będąc dzieckiem, w awanturniczą, na męczeństwo u pogan, zrywa się wędrówkę, a taką już posiada przewagę, że pociąga za sobą brata. Pomimo tę wrodzoną, do zuchwałości posuniętą śmiałość i awanturniczość, najpraktyczniéj może pod słońcem ocenia, że poziome losy i przygody niewieściego, w tém rycerskiém społeczeństwie bytowania, nie zdołają zadowolnić porywów jéj woli, wypełnić trawiącéj ją tęschnoty, odpowiedziéć wrzącéj w niéj potrzebie czynu. Wszyscy jéj bracia są rycerzami. Gdyby chłopcem była, puściłaby się z Kortezem za ocean, lub do jakiéj nowéj krucyaty zatrąbiła pobudkę. Gdyby ojczyzna jéj pod oną dobę znalazła się w niebezpieczeństwie, zostałaby jéj Johanną d'Arc, a co najmniéj tą Xymeną Blasquez, co przed wieki jéj rodzinne obroniła miasto. Teraz cóż kobiecie pozostaje? Niemal wschodnia niewola domowa lub te dwie ostateczności tak dosadnie przeciwstawione sobie w opisie, który Ausias March, ten kataloński Petrarka, pozostawił o ulicach Barcelony: po jednéj stronie kościół i klasztór, po drugiéj długi rząd domów, zwanych pobłażania, a będących zgorszenia domami. Cóż dziwnego, że gorąca lecz czysta, przedsiębiercza lecz dumna i niepodległa kobiéta obiéra sobie klasztór? Ukorzy się—ale przed majestatem nie ziemskim, a ukorzy się z tak olbrzymią miłością, że zatopi w niéj ukorzenia gorycze. Trawiąca ją chęć czynu popchnie ją na wielkie reformatorskie drogi, do których, pomimo porywów temperamentu i wyobraźni, przystąpi nader praktycznie, oględnie. Zwycięży, bo ma silną, absolutną wolę, tę, co gromem bije w reformie Karmelu, zwycięży zwłaszcza, bo ma tę miłość, co olśniewającą błyskawicą poezyi i sztuki objawia się w Glosie. Ale nie łudźmy się, zwycięży, bo poczyna oględnie w przeprowadzeniu olbrzymich zamiarów, okazuje się drobnostkowo praktyczną. Kreśląc regulamin nadludzkiego niemal zaparcia się wszystkiego co doczesne — zakonnicom jéj modlić się nawet za siebie same niewolno— niby rachmistrz biegły załatwia najpowszedniejsze sprawy, nie zaniedbuje w potrzebie czysto niewieściéj dyplomacyi, nigdy nie idzie przebojem, umie wyczekać, uśpić niechętną sobie i swym zamysłom czujność, dogodną pochwycić chwilę. Chociaż w napadach do histeryi posuniętéj ekstazy, krwią się broczy u stóp ukrzyżowanego Pana i oblubieńca, nie od-

rywa się nigdy zupełnie od ziemi, należy do niéj energią, przedsiębierczością, zapobiegliwością, wesołym śmiéchem, swobodą humoru, dosadném nieraz słowem, zawsze praktyczną radą, zamiłowaniem w powszednich pracach, kobiecą starannością o czystość, dobrym smakiem artystki, wznoszącéj klasztory na tle najpiękniejszych krajobrazów, niepodległością ducha nawet wobec spowiednika a zwłaszcza już tą olbrzymią kobiecą tkliwością, którą rozbrzmiéwa Glosa. Ten to dualizm, nie rozstrzelony jak w dziele Cerwantesa, nie w wieczystéj roztérce, lecz dopasowany do przedziwnéj harmonii, czyni ją właśnie tak nieśmiertelną a tak żywą, tak wielką a tak dostępną, tak porywającą a tak ujętną.

Zastanowiliśmy się dłużéj nad tym nawskróś oryginalnym i potężnym gieniuszem, gdyż w większości utworów piśmiennictwa hiszpańskiego, w najróżnorodniejszych jego odłamach i aż we współczesnych nam powieściach, któremi właśnie mamy się tu zająć, odnajdujemy te same czynniki, których wyskok olśniewa nas w Glosie. I nad nieśmiertelném Cerwantesa dziełem musieliśmy się zastanowić dłużéj, jako nad najdoskonalszym okazem tego działu piśmiennictwa hiszpańskiego, którego główny zarys pochwycić pragniemy. I jeśli Glosa jest zjawiskiem nawskróś w prawdzie narodowém, lecz w artystycznéj swéj formie oderwaném, gdyż hymn „Obejmij mię panie i daj mi umrzéć“ ś-go Franciszka z Asyżu, słabą jéj tylko jest zapowiedzią, a wiąże się ona chyba jako z precedensem, z natchnieniami płomiennego kochanka królowéj Saby, a jako z następstwem z tym smętnym o gorejącém téż sercu kochankiem północy, co wygnany „z ojców swych ziemi“ szedł za swą Beatryczą ku nieznanym nam dotąd przedświtom;—to znów dzieło Cerwantesa nie jest bynajmniéj w ojczyznie swéj zjawiskiem sporadyczném. Owszem, jest główną zawięzią łańcucha, którego przeguby jednym końcem związane z nami, drugim sięgają odległéj przeszłości.

Istotnie, zaczątków powieści w Hiszpanii szukać wypada w miłosnych nowellach pisanych aleksandrynami, przez najlepszego w XIV w. hiszpańskiego poetę: Juana Ruiz. Stulecie XV wydało wzór rycerskiego romansu „Amadis“. Wkrótce utworów tego rodzaju namnożyło się tak wiele, czytywano je tak skwapliwie, że już za Filipa II kortezy poruszyły wniosek spalenia wszystkich tych „gorszących i demoralizujących utworów“. Zakaz był bezskuteczny. Popęd tak do czytania jak do pisania romansów, tkwił w saméj treści narodu i kształtujących naród czynników. Nawet Karol V, grzmiąc publicznie na zgorszenie, czytywał ukradkiem najbardziéj gorszący romans zatytułowany *Don Belianis z Grecyi*.

W XVI stuleciu Diego de San Pedro pisał prozą i wierszem „*Carcel del Amore, Question de Amore*“ i tym podobne erotyki a Fernando de Royas zostawił obyczajową powieść: *Celestyna*, posiadającą snać istotne zalety, skoro jeszcze, w połowie bieżącego stulecia, przekładaną była na język francuski.

Oto co poprzedziło dzieło Cerwantesa. Ono zaś samo, chociaż było świetnym protestem przeciw przesadzie romansu rycerskiego, nie powstrzymało rozpędu, owszem otworzyło nadwyraz płodny okres powieściopisarstwa w Hiszpanii. Sam Cerwantes, oprócz Don Kiszota, zostawił o wiele słabsze, chociaż właściwych mu zalet pióra nie pozbawione: *Galateę*, *Trabajos de Perciles y Sigismunda*, *Novelas Ejemplares* i tym podobne rycerskie i erotyczne opowieści. Odtąd Lopez de Vega i Juan Garcilaso de la Vega, Montalvo, Caravajas, Mendoz, Qaeveda, Espinel, Guevata, Suavedra, Perez de Hita, że wspomnimy najgłośniejszych, z szaloném powodzeniem uprawiali powieść. W powieściach ich piętrzą się awantury, prawdo-i nieprawdo-podobne przygody, intrygi, porwania, zabójstwa, roją się mnisi, żydzi, cyganie, inkwizytorowie, hidalgowie, *male gente*, z zawsze gotowym w zanadrzu *navaja* (1), kochankowie, zdrajcy, kradzione i zamienione dzieci, zgoła cały rynsztunek romansu rycerskiego. W powieściach tych nie trzeba szukać głębszych studyów psychicznych, lub wiernie pochwyconych, rysów obyczajowych. Powieść nie była tém wówczas, czém jest dzisiaj. Zadaniem jéj było bawić i zaciekawiać czytelników, przesyconych zresztą awanturniczością realnego życia i szukających w powieści spotęgowania tych wrażeń. Pełno tam tedy tajemnic, miłości, lubieżnoności, zemsty, deklamacyi, wzniesionego na szczudła heroizmu, teatralnych efektów a gdzie niegdzie zaledwie szczęśliwie pochwycony rys obyczajowy. Gdzie rysy takie przeważały, zwykle w powieściach o obyczajowo-satyrycznym zakroju, jak naprzykład *Djablo Cojuelo* (dyabeł kulawy) Guevata, lub *Republicalitenia* Suavedra, złożyły się one na niestarzejące się dzieła.

Wiek XVIII w Hiszpanii był wiekiem upadku piśmiennictwa. Dopiero szkoła „Salamancką“ zwana, z Garcia de la Huerta na czele, nowe weń wlała życie. Sonety Raniona de la Cruz zostały bodźcem dla poetów a satyryczne utwory Isl'a, zwanego hiszpańskim Rabelais, chłoszcząc, napuszone owoczesne krasomówstwo, zostały ostrogą dla prozaików. Walki polityczne ożywiły narodowość, socyalne dokonane w Europie przewroty obiły się i o Hiszpanią, swoboda rozszerzyła widnokręgi, trybuna ukształtowała krasomów-

(1) Nóż który każdy hiszpan nosi przy sobie.

stwo, rozwój dziennikarstwa pobudził krytykę, fejleton zaostrzył pióra do delikatnych, szkicowych rysów, wznowiona z lepszéj doby beletrystyczna forma nowelli, zakwitła w *Jardin literario*, w *Coleccion de novelas españolas*, słowem, burzliwe a potężne tchnienie epoki, romantyczną zwanej, przebiegło półwysep, wszczepiając nowe płonki w stary pień powieściopisarstwa hiszpańskiego. Escosura, Lara, Espronceda, Martinez de la Rosa, José de Villatru, Serafin Calderon, niedawno umilkły Fernan Caballero, zasłynęli u schyłku pierwszéj połowy bieżącego stulecia, poprzedzając współczesnych nam: Pedra Antonia de Alarcon, Juana Valera, Maria José de Pereda, Perez'a Galdos, Palacia Valdes i panią Pardo Bazan, którzy zwracają na siebie uwagę nietylko swych ziomków, lecz i zagranicznych czytelników i krytyków.

III.

Przystępując do ocenienia powieści hiszpańskiej i chcąc przy czytaniu takowéj jaką taką literacką odnieść korzyść, potrzeba przedewszystkiém otrząść się ze wszelkich z góry powziętych wyobrażeń, czerpanych w doświadczeniu innych, bardziéj dla nas dostępnych piśmiennictw europejskich. Potrzeba téż, ani na chwilę nie tracić z pamięci tych geograficznych, etnograficznych, historycznych i etycznych pierwiastków, o których nadmieniliśmy powyżéj, jako téż roju rycersko-erotycznych powieści, które brzękiem szabel, kościelnych dzwonów, kastanietów, miłośnych szeptów, lubieżnych pocałunków, tajemnic i awanturniczych przygód, wypełniły całe ubiegłe okresy literackie, a wyobraźnię i smak tak czytelników jak pisarzów rozkołysały na długo w rytmy i takty, nie dające się tak łatwo usunąć bodaj porywającemi prądami obecnéj doby literackiéj.

Inaczéj bowiem i pomimo upewnień niektórych współczesnych pisarzy hiszpańskich, jak np. Armanda Palacio Valdesa, że są realistami i ściśle realnego trzymają się gruntu, nie będziemy wiedzieli, co trzymać o owym realizmie? Wyda nam się on niejednokrotnie szczytem rozkiełznanego romantyzmu, a awanturniczość powieściowego toku, naprężenie sytuacyi, jaskrawość barw znuży naszą, jak toń jezior głęboką, do mgieł i twardych konturów północnej przyrody nazwyczajoną wyobraźnię. Określenie przez Göthego sztuki jako „mroków," może się stosować tylko do północy. Dla południa, a zwłaszcza już dla Hiszpanii, jest najzupełniéj nieodpowiedniém. Niema tam wcale półcieni ani barw przezroczystych, są barwy jaskrawe, wyraźne i cienie do cieniów Erebu podobne, a nawet same metody artystycznego tworzenia posiadają nagłość, posługują się

efektami, które częstokroć wywierają na nas wrażenie rzeczy przestarzałych, sztucznych i byłyby niemi istotnie na gruncie, gdzie w najświetniejszej epoce swego rozpowszechnienia, były importowanemi.

Wiemy, do czego dowiodło Arnima i Brentano ubieganie się za melodyą wiersza południowców. Brandes oskarża ich po prostu, że „biorą z Hiszpanii i Włoch nietylko miarę, lecz oraz wszelkie możliwe sprężyny...", że „zapełniali ramy sonetów i canzonów, jak damy zapełniają kanwę haftem." Lecz wszystkie te przesady w Hiszpanii zachowały i długo jeszcze zachowają racyą bytu i pewną świeżość. Tam pomiędzy teraźniejszością a przeszłością nie zachodzą tak głębokie jak gdzieindziéj rozrywy. Widziano w prawdzie częste i wielkie, większe może niż gdzie-bądź dziejowe przeskoki, lecz pomiędzy etycznemi i estetycznemi dobami Hiszpanii, nie istnieją przedziały szersze od tych, które dzielą zwarte i szybko po sobie tłoczące się wiersze wyryte na ścianach muzeum w Sewiii:

„Herculo me edifico,
Gollio Cesar me circo
De muros y torres altas;
Un re godo me perdio
El rey santo me gano
Con Garcia Perez de Vargas".

Greckiego Heraklesa wspomnienie, ślady Rzymu, gotycyzmu niestarte piętno, prawowierności katolickiéj zesztywnienie, wszystkie te historyczne doby nie ustępowały w Hiszpanii jedne przed drugiemi, lecz zalegały w niéj jedne obok drugich. Toż samo powiedzieć można o metodach twórczości artystycznéj. W obecnéj chwili, i jak to poniżéj zobaczymy, nasiąkły one prądami europejskiemi, lecz w prądach tych nie zatraciły żyjących w nich jeszcze zabytków przeszłości. O bardzo oklaskiwanym hiszpańskim współczesnym nam poecie Nuńez de Arce, znawca piśmiennictwa hiszpańskiego Leo Quesnel mówi, że jest nasieniem kiełkującém w trzy ćwierci wieku po zasianiu.

Melodramatyczność popłaca tam jeszcze tak dalece, że największe swe powodzenie taki np. współczesny nam dramaturg, jak Jose Zorilla, zawdzięcza przestarzałego gdzieindziéj romantyzmu pomysłom. „Don Juan Tenorio" i „Traidor, inconfeso y martyr" są zbiorem scenicznych efektów, przesady, nieprawdopodobieństw, a tym to ujemnym swym stronom zawdzięczają szalone powodzenie. Krytyka hiszpańska dopatruje w nich pierwszorzędne piękności i liczy pomiędzy najudatniejszemi okazami romantyzmu XIX stulecia. W tym względzie, jako téż dla uwydatnienia tego, co się wyżéj mówiło, za najlepszy przykład posłużyć może, pierwsza z brzegu, a że

w polskiém tłómaczeniu szerszym kołom czytelników znana, tém odpowiedniéjsza celom naszym, powieść Alarcona: pod tytułem „Dziecię Globu“.

Powieści téj, powtarzamy, a zwłaszcza już niezaprzeczonych jéj piękności nie zrozumiemy bez ustawicznéj pamięci na żywioły, które powieść odzwierciedla, jako też na tradycye literackie, których zawsze w pewnéj mierze nieodrodném pozostaje dziecięciem. Z razu w zdumienie wprawić może nieprzygotowanego czytelnika, tak samą treścią jak układem, nagromadzeniem nieprawdopodobieństw jakichś, awanturniczością, niby zwietrzałego romantyzmu wonią. Jakiegoż bo mamy przed sobą bohatera, jaką treść, założenie, rozwiązanie... a tło jakie! Barwy oślepiają migotliwą, cygańską jaskrawością a podkładowy rysunek zupełnie starty—kto wié czy istniał kiedy? — gdybyśmy nie wiedzieli zkąd inąd: (Felietony, nowele, podróże) jakim wybornym, sumiennym don Alarcon jest rysownikiem, moglibyśmy dopatrzéć w téj jego powieści orgii kolorysty, poświęcającego wszystko barwnym efektom.

Całą treść powieści wypełnia miłość, namiętność raczéj. Nie ta jéj subtelna lub śmiała analiza, nie to jéj społeczne czy indywidualne znaczenie, którym zawdzięczamy niestarzejące się powieściowe typy i arcydzieła; ale poprostu wypadki i awantury pożerającéj wszystko namiętności. Nie mamy tu przed sobą Abelard'a, de Grieux, Don Juana, Jakóba, ani nawet okrzyczanego Lovelace'a, nie napotkamy Heloizy, Nanon, Lelii, ani nawet Indyany lub Lukrecyi Floriani, napotkamy heroinę, która nic nam nie powie i bohatera, który na pierwszy rzut oka, wyda się nam powieściowym arlekinem, uklejonym ze skrawek romantyzmu i poruszanym białemi nitkami gwoli rozbujałéj fantazyi autora. Syn szlachcica zgubionego przez lichwiarza, co najmniéj nawpół dziki, nieokiełzany, niewykształcony—*gitano* w całém tego słowa znaczeniu!—a wspaniałomyślny wszechpotężny, Manuel Venegas, przedstawia się czytelnikowi owiany jakąś tajemniczością, z wyraźném a teatralném piętném tragicznych swych przeznaczeń, a że tragiczność owa trąci sztucznością i banalnością, to też razi czytelnika a nie wzrusza.

I nie to razi: „że biedny sierota chce samotność wziąć sobie za matkę, przyrodę za siostrę a brata znalazł sobie w Dzieciątku Jezusie“. Nie to, że mu domem nawa kościelna, pod któréj skrzydłem wzrasta to czarnookie pacholę. Na tośmy gotowi spoglądać nietylko z „pobłażaniem“ jedynego jego opiekuna don Trinidat, Muley, ale z całém sympatyczném wniknięciem w głębokość tego psychicznego rysu. Samotność najtkliwszą bywa matką dla zranio-

nych i dumnych, a zranionèm, codziennie widokiem odjętego sobie dziedzictwa rozjątrzanèm i dumnèm musiało być wydziedziczone dziecię rozrzutnego *caballera*, który całą swą fortuną opłacił krajowi oddane usługi. Przyroda, i to jaka przyroda! tego pasma gór, które autor nazywa „macierzą Andaluzyi“, téj czarodziejskiéj okolicy, gdzie „jednocześnie panują wszystkie pory roku, gdzie znaleść można mech biały i indygo, jodłę i trzcinę cukrową, kawę i piołun“, gdzie się nocuje śród lodów, na niebotycznych wyżynach, a przed skwarem dziennym schronić się można „w niezwiédzanych pieczarach“, gdzie dzikie zwierzęta dostarczają futer puszystych a górskie potoki z piaskiem złoto toczą, taka przyroda jest wspaniałą towarzyszką samotności. Ów zaś jasno-włosy i biało-szaty, drewniany czy woskowy posążek, w mroku gotyckiéj nawy, pod cieniem palmowych wiązań katedry, połyskującéj szafirem dzierżonéj w ręku tęczowéj bańki mydlanéj, czy opalowéj łzy, co wszechświat ma wyobrażać, owo uosobienie dziecięcéj niemocy i dziecięcego wdzięku, owianego majestatem nadprzyrodzoności, mogło obudzić w sercu sieroty braterskie uczucie. Wszak było mu relikwią, pociechą, świętością i więcéj niż tém wszystkiém... zaczarowaną igraszką w wyjątkowém jego położeniu.

I nie wyjątkowe owo położenie, jak tego chcą bezwzględni koryfeusze realizmu w sztuce, razi przesadnym romantyzmem. Owszem, wyjątkowość nie odstrasza nas bynajmniéj. Wyjątkowe położenia i wyjątkowe charaktery przestały wprawdzie—i słusznie—wypełniać wyłącznie ramy sztuki i literatury, lecz nie przestały i nie przestaną nigdy być tak dla jednéj jak dla drugiéj odpowiedniemi motywami. Istnieją one, spotykają się, powtarzają w życiu najpowszedniéjszém, i to częściéj niż to dojrzéć może oko szukające z *zasady* realizmu w zwierzchnich tylko rysach lub ryczałtowych typach. Tém samém już, że stają w ostrzéjszéj kolizyi z otoczeniem, dostarczają sztuce obfitszego żywiołu dramatycznego a rzecz wiadoma, czém jest dla sztuki żywioł dramatyczny. A i to stało się dziś już utartym komunałem, że sztuka w samé j swéj esencyi jest pochodzenia arystokratycznego, zdemokratyzować się nie da nigdy w zupełności, gdyż nawet baśń ludową, klechdę, odrywa od powszedniości, z któréj ją wytwarza. Cała literatura klasyczna żywiła się wyjątkowością, począwszy od bohaterów Homera do Atrydów, od Laokona do Hioba. Tankred, Roland, Cyd, towarzysze okrągłego stołu i bliżéj nas Irydyon, Kordyan, Walenrod, Gustaw, ba! Robak w „Panu Tadeuszu“ są wyjątkami. Kto wié, czy nie są niemi, w pewnéj przynajmniéj mierze, okrzyczani bohaterowie naturalistycznéj szkoły z Naną na czele.

Razi nas tedy w powieści Alarcona brak motywów i psychicznego zagłębienia, a co zatém idzie, nagłość przedsięwzięć, uczuć gwałtowność. Nie, nie rozumiemy téj szybkiéj jak oka-mgnienie a tak absolutnéj, życie mu całe pożerającéj, miłości Manuela, dla jedynéj córki wroga swego domu, nie rozumiémy jéj tém bardziéj, że czytelnik, tak jak i bohater powieści, nie zna pięknéj Soledat, widuje ją rzadko, zdala, niby fantasmagoryczne zjawisko. Aby pogodzić się z tém wszystkiém, sytuacyą, założenie i rozwiązanie powieści uznać za możliwe, potrzeba, jak to mówiliśmy wyżéj, otrząść się z apriorycznych naszych poglądów, przenieść się na półwysep Iberyjski, wąskim li tylko Pireneów grzbietem spojony z Europą. Niedawno jeszcze, wyżéj przytaczany poeta Zorrilla pisał bardzo naiwnie o potrzebie przekonania sąsiadów (Francuzów), „że Afryka nie zaczyna się tuż za Pireneami.“ A jednak, gdy ze szczytów tych olbrzymich kopców granicznych, wzrokiem i pamięcią obrzucim afrykańskie na krańcach tych przypływy i odpływy, zewnętrzne ciosy, wewnętrzne wstrząśnienia, dziejowe wybuchy, prawa fizyczne, które ziemię i mieszkających na niéj ludzi głąb duszy i życia ugniotły w obce nam kształty: wówczas dopiero zrozumiemy, że to, co w bohaterze i w osnowie powieści raziło nas przesadą i napuszonością, jest tylko brawurą narodową, wrodzoną chęcią popisu, życiem na zewnątrz, emfazą, zapalczywością, od których nasz smak, na innych wyrobiony wzorach, uchyla się tak w życiu, jak w sztuce, a za któremi tam, za Pireneami, ubiegają się najwięksi bodaj artyści, które tam są życia i sztuki niezbędnemi niemal przyprawami. Kto z nas odda swą boleść na pastwę ciekawości tłumu? Im głębiéj kto dotkniętym bywa, tém staranniéj powagę swéj żałoby kryje pod kamiennego spokoju maską. Tak u nas, lecz tam... Tam duma nie tamuje wybuchów łez i rozpaczy. Tam skromność nie gasi zapalonych w oku lub na ustach ogni. I oto dla czego Manuel, w chwili stanowiącéj o jego losach, nie unika oczu tłumu, zjawia się ustrojony „jak pan młody i tryumfator“. Widocznie idzie mu o sprawienie efektu? Rys ten psychiczny i zgoła całego bohatéra, objaśnią nam następne słowa autora: „Maurowie, mówi on, są zawsze próżni i artyści. Biegną do boju w najlepszéj odzieży, uważając niebezpieczeństwo jako wielką uroczystość“.

Do boju stawał Manuel, nie do cichego a wielkiego boju z samym sobą, z namiętnością, nie do walki i zwycięstwa w cztéry oczy z sumieniem i sercem kochanki, ale do popisowego turnieju wobec całego rodzinnego swego miasta. Było to wielką dla niego uroczystością a pamiętajmy i o tém, że tenże sam Alarcon, większość Hiszpanów uważa jako „poprzebieranych za chrześcian Maurów“.

Maurowie ci częstokroć wcale się nawet nie przebierają. W Huerta mężczyzni golą sobie po dziś dzień na sposób arabski głowy. Gdzie indziéj, rodzaj obuwia, *aspargata* zwany, przypomina starożytne koturny a dla bohaterów powieści hiszpańskiéj moda koturnów nie przeszła; to téż Manuel nie tylko działa dla popisu, na scenie, lecz wspina się na szczudłach wypadków, które, bądź co bądź, nabierają nieco realizmu w odpowiednich sobie ramach rasy, historyi i przyrody. W okolicy dzikiéj, surowéj i kamienistéj, „strzeżonéj przez groźnych olbrzymów z łupku kamiennego.. nieposiadającéj historyi, mienia ani właściciela,“ śród gór trudnych do przebycia, nawiedzanych przez zbójów i awanturników, *male gente* wszelkiego rodzaju, rozegrywa się ten dramat namiętności, popisu i — wcale nie poetycznéj, wcale nawet nie estetycznéj u rozwiązania, śmierci kochanków. Tylko cisza tych gór złowrogich równa się ciszy, co w pewnych godzinach dnia zalega ulice i place miejskie. Podziś-dzień jeszcze, w Madrycie samym, na tak ludnych punktach jak *Pied de San Lui* lub *Puerta del Sol*, cisza taka zalega chwilami wszechwładnie a drzémiących w godzinach siesty w cieniu framugi lub okapów, osnuć by mogły pajęczyny podobne tym, którémi ołówek Dore'go, w baśni o „uśpionéj królewnie“, osnuł dwór jéj, sług i dworzan. Taka to denerwująca, ciężka cisza, kołysała marzenia Manuela, siadającego na ławie, naprzeciw okien dawnego swych ojców pałacu. Kto powié jak płomienne, pod tym rozpalonêm niebem bywają sny pacholęce? Na serce sieroty padały, jak ożywcze rosy krople, łagodne słowa matki jego bohdanki, i za, nimto serce rozgorzało miłością dla Soledat, drgnąć musiało bezwiedną tęsknotą za matczynêm słowem, za matczyną pieszczotą.

To jedne wpływy, a drugie?

Nie zawsze tam tak cicho, rozmarzająco bywa. Inne wcale zewnętrzne pobudki wywołują wybuchy wykołysanych w têm upalnêm obezwładnieniu namiętności. W innych dnia godzinach, w dni świąteczne, ciszę siesty zastępuje równie absolutna wrzawa. Pod pobudką kościelnych, rozkołysanych w powietrzu dzwonów, gitary, kastanietów i tam daléj ryku rozjuszonych byków, ulice i place wypełniają się ruchem i gwarem, o jakich słabe tylko wyobrażenie dają nam najruchliwsze, przyśpieszonêm stołecznêm tętnem, najludniejsze nasze miasta. Czémże pałac kryształowy w Londynie, czém sala Trocadero w Paryżu, czém nasz Ujazdów na Wielkanoc, w porównaniu z tą chociażby prowincyonalną w Maladze areną, w któréj piętnaście tysięcy widzów przyklaskuje Aficiadonos'om i Matador'om! Czémże nasze, żałobne najczęściéj, do tych tam, ołówkiem Grotgera na śnieżnym stepie zaklętych podobne pochody, nasze

najczęściéj niedolą jakąś wywołane zbiegowiska, nasze powagi pełne, rzewnie rozśpiewane procesye na cmentarzach wiejskich kościołów, wobec tamtych świątecznych, kościelną pompą, narodową zabawą podniecenych zbiegowisk, tych na zewnątrz wylanych, ruchliwych dzieci południa. Powiedźmy okiem po potrójnéj obręczy gmachów, krużganków, rozwianych chorągwi, zacieśniającéj ulice i place, w których pienią się kwiaty, koronki, złotogłów, tęczowe wstęgi, srebrne krzyże, a pod niemi wężową łuską wydymają się korowody księży, akolitów, bractw, żaków, żołnierzy, hidalgów, wieśniaków, intrygantów, pobożnych matron, zalotnic, ognistych wówczas nawet, gdy niewinnych dziewic, dzieci wszelkiéj płci i wieku. Pod krótkiemi czarnemi płaszczami błyszczą szkaplerze i sztylety, a pod szerokiemi *sombrera* brzegami oczy, od karbunkułów czarniejsze. Pod koronkowemi zasłonami, pod trzepoczącemi się w pulchnych ręku naksztat skrzydeł czarnych motyli wachlarzami, połyskują błyskawice źrenic, perły uśmiechów, szemrzą miłośne zwierzenia, pacierze i pocałunki. Nie, to nie greckie majestatyczne panateneje, to nie szeregi kapłanek w białych chitonach, matron w purpurowych peplumach, augurów z zieloną w dłoniach różdżką, wiodących przy pochodniach i rytmicznym greckiego chóru śpiewie, do ich podziemnéj świątyni „wielkie i czyste", jak je Eschylos nazywa, ułaskawione, przejednane Erynie. Nie Atene to, uosobienie mądrości i klasycznéj równowagi, pochodom tym przewodniczy. Tu wrą i kipią najróżnorodniéjsze żywioły całéj nadprodukcyi gotycyzmu. Gdyby nie powiewające nad temi procesyami znamiona, gdyby nie przewodniczące im krzyże, godła niedościgłych lecz wieczną tęsknotą ludzkość pociągających ideałów, możnaby je wziąć raczéj za Dyonizosa pochody, za karnawałową maskaradę. Ale dla Hiszpana jest to właśnie „empireum, podwórzec nieba", jak Alarcon mówi. Przyzwyczajony do podobnéj pstrocizny, wrzawy, wybuchowych, łechcących wszystkie zmysły i wstrząsających wszystkie nerwy, wrażeń, Hiszpan nie zrozumiałby znów najpewniéj cichéj a marsowéj powagi poloneza, któremu, w ocienionym lipami szlacheckim dworze litewskim przygrywa Jankiel cymbalista. Różnice te składają się właśnie na zabarwienie narodowéj sztuki, a ze zwróconą pamięcią na motywy, z których hiszpańscy powieściopisarze czerpią natchnienie, zrozumiemy nietylko, że z tych motywów to a nie co innego się wyłania, lecz dopatrzymy piękności i prawdy w tém, co się nam zrazu wydało przesadném i krzykliwém.

I jeśli w tych motywach tak dla widzów jak dla aktorów a zwłaszcza już dla opiewających je bardów, bywają, jak mówi Alarcon

„wielkie a ulotne chwile natchnienia“, jeśli w chwilach tych „czy to zrządzeniem Opatrzności — przytaczamy dalszy ciąg słów Alarcona — czy trafem, dość, że tak dziwny bywa czasem zbieg patetycznych okoliczności, iż wielki poeta i artysta *Ludem* zwany, odzyskuje swój majestat, zaczyna czuć szlachetnie i litościwie“, to jakże podniecająco chwile podobne działać muszą na jednostki. A gdy znów, zawsze i wszędzie „ulotne“, miną uszlachetniających wzruszeń chwile, z wrzątku tak gwałtownie wstrząsanych elementów i obyczajów, na wierzch wyskakują zburzone namiętności, rozdrażniona wyobraźnia, przeciągnięte nerwy, u tych zwłaszcza jednostek, które, jak Manuela, tłum z łona wysadza i ramionami napiętrzonych przed tém wypadków popycha do zuchwałych zamysłów i gorączkowych rozwiązań. Katastrofa gotowa. Od takiego tła odbijając, przygoda bohatera i bohaterki powieści Alarcona nabiera prawdopodobieństwa nawet w połowie — jak to chce autor — bieżącego stulecia.

Nie brak tu nawet psychicznych, głębokich, a na pierwszy rzut oka wymykających się nam motywów. I ta senna ciężka cisza spowijająca marzenia pacholęce i ta gorączkowa, szalonym zamysłom sprzyjająca, wrzawa świąteczna, nagromadziły w sercu i krwi Manuela wybuchowe materyały, na które jak lont podziałało spojrzenie Soledat, jedno spojrzenie, wywołując we krwi i wyobraźni syna don Rodryga, absolutną namiętność. Po za namiętnością tą nic dla niego, nic *w nim* nie istniało. Bo czyż choć raz jeden przemówił doń w imię obywatelskich, patryotycznych uczuć, w imię tych uczuć, co z pacholęcia czynią męża, w szerokiém tego słowa znaczeniu, dobry i miękki jego nauczyciel ksiądz Trinidat? Mówi mu o niebie, o przeznaczeniu, o łasce, o zwyciężaniu swych namiętności, gwoli zasadom religijnym, dogmatycznym raczéj, lecz ani razu nie potrącił o te struny etyki społecznéj, bez której człowiek nie jest mężem i obywatelem. Ani razu do téj walki z sobą samym, do której go wzywa długiemi i skąd inąd bardzo poczciwemi wywodami, nie podsuwał mu pomocniczych a jedynie praktycznych narzędzi, jakiemi są: praca, zasady, poświęcenie i t. p. Cóż więc dziwnego, że nie mający czém miarkować swych namiętności, młodzian w pierwszym uścisku udusił kochankę i sam skończył samobójstwem wobec tłumu, przed którym, jak dla popisu, odegrał całą tę pseudo tragedyą: stoczył walkę.... z wiatrakami swéj wyobraźni i rozigranéj namiętności. Manuel jest w pewnéj mierze Don Kiszotem miłości. Uduszona w uścisku kochanka Soledat, na jéj trupa padający trup Manuela i tę parę trupów przygniatający trup trzeci, na zawołanie i na poczekaniu zmarłéj matki, nie wywierają na nas po-

żądanego wrażenia, owszem rażą zarówno nasz smak estetyczny jak poczucie dramatycznéj i życiowéj prawdy. Ale w Hiszpanii! W chwili, gdy to piszemy, odnowiciel, jak niektórzy utrzymują, dramatu hiszpańskiego, José Echegaray w arcydziele swém „Vida alegre y muerta triste" (Wesołe życie i smutna śmierć) każe (a rzecz dzieje się w drugiéj połowie bieżącego stulecia) bohaterowi dramatu, Ricardo, współczesnemu, przedwcześnie sparaliżowanemu, na pastwę samotności i wyrzutów sumienia rzuconemu don-żuanowi, drżącą ręką dusić niecnego uwodziciela odnalezionéj zbiegiem bardziéj romantycznych niż prawdopodobnych okoliczności córki. I gdy Ricardo, wyczerpany tym wymiarem sprawiedliwości, kona téż w oczach widzów, powstaje burza oklasków, nie bywała, jak utrzymuje sprawozdawca, od czasów Calderona. Bądźmyż pobłażliwi dla powieściopisarza wobec tego powodzenia efektu scenicznego.

Takie znów pożogi zmysłów i wyobraźni rozżarzać zwykły, jak to słusznie zauważył autor, nie „greckie posągi" ale kobiéty, jak Soledat ponętne, choć jak Soledat wschodnim obyczajem bierne. Czy kobiéta równouprawniona zdoła tak absolutne wywoływać namiętności, wielkie to jeszcze pytanie? Soledat — zanotujmy dobrze ten drobny na pozór szczegół—jest raczéj „damą niż boginią." Wiemy, jaką rolę *damy* odegrały w romansie rycerskim, a ośmieszona Dulcynea nie zdoła ich usunąć tak, aby nie rozciągnęły pewnego wpływu aż na dzisiejsze wyobrażenia i obyczaje. Dama, w rycerskiém znaczeniu, nie zeszła jeszcze w Hiszpanii ani z areny życia, ani z powieści. Sama zresztą piękność Soledat zakrawa raczéj na „gotycką niż na pogańską."

Mamy tedy ową, nieuniknioną, rzec można, w produkcyi geniuszu hiszpańskiego, przymieszkę mistycyzmu rozkwitającego na pniu lubieżności. Uronione przez pisarza słowo: gotycyzm, pozwala nam ująć tajemnicę tych różnic, co czynią nawet powieść hiszpańską w znacznéj mierze tak obcą naszym zamiłowaniom i wyobrażeniom. W Hiszpanii po dziś dzień żyje gotycyzm przekwitły do rozrzutności, taki właśnie, jaki powstał przed pięciuset jeszcze laty na mauretańskiéj ornamentyce. I nie trzeba mniemać, jakoby gotyk ów był zwiędłym, przestarzałym etycznie i estetycznie chwastem. Bynajmniéj. Na odpowiednim sobie gruncie, głębokie zapuścił korzenie i długo jeszcze zapewne w wyrwane wiekami łożysko obyczaju wtłaczać będzie towarzyskie, etyczne i estetyczne prądy narodu. Gotyckim jest ów przedziwny don Kiszot, którego marzenia piętrzą się jak bezpodstawowe wieżyczki katedry, a szczytne zamysły

opadają w tłumy poziomych przygód, co je obsiadły, jak te tam po nawach gotyckich z po za gzymsów wyłaniające się komiczne lub ohydne maski. Gotykiem w zawrotnych swych wystrzałach w górę, w pomiataniu prawami przestrzeni i ciężkości, w fantastycznėm rzeźbieniu tychże w rozwiewne płachty, gotykiem w subtelności i zawiłości układu, gotykiem w metodzie dościgania mety, gotykiem w samėj swėj istocie jest „Glosa“ i gotykiem w pewnėj mierze powieść Alarcona, którąśmy wybrali dla zaznaczenia różnic, istniejących pomiędzy powieścią hiszpańską a innemi, bliżėj nam znanemi, utworami powieściopisarstwa europejskiego.

Zwróćmy jeszcze uwagę na *quasi* religijny nastrój powieści i dominującą rolę, jaką w niėj ksiądz odegrywa. Ów ksiądz, co się tak nieosobliwym okazał nauczycielem młodego Venegasa, i tyle zapału, tyle energii, zdolności nie zdołał skierować ku innym, wyższym celom nad zdobycie awanturnicze bogactw i przez wspólną śmierć kochanki, jest przedstawiony jako wzór kapłana.

„Pełen wrodzonėj miłości bliźniego, jak każdy co ma duszę wielką, niezdolną do zaspokojenia się czczemi ziemskiemi uciechami, głęboko przejęty nadzieją lepszego życia.... człowiek, któryby może nie potrafił powiedziėć dobrego dogmatycznego kazania, lecz który z ambony budował słuchaczów serdecznėm ciepłem, zachętą do cnoty i własnym przykładem.... nie stał na wysokości św. Augustyna, Tomasza lub Ignacego Lojoli, lecz należał do kategoryi Jana Bożego.“

Jest to niewątpliwie najsympatyczniejsza kategorya; cóż kiedy i tu wyłączne zajęcie się „lepszėm zaziemskiėm życiem“, sparaliżowało nauczycielską działalność kapłana, który w życiu hiszpańskiėm ważną odgrywa rolę: bywa doradcą, kierownikiem, wpływa na sprawy publiczne, w prywatnych i rodzinnych zabiera częstokroć głos decydujący. Religijność jako i kult zewnętrzny pierwszorzędną w życiu narodu i indywiduów odegrywają tam rolę. Katolicyzm, ten kult południowców, cały na zewnątrz obliczony na działanie na zmysły muzyką, malarstwem, architektoniką, pompą ceremoniału, znalazł tam najodpowiedniejszy dla siebie grunt, a nawy kościelne, kratki konfesyonału, mury klasztorne są nie tylko historyczną i tradycyjną pozostałością, odpowiadają nadto istotnym potrzebom narodowym, są upustem dla gwałtownych namiętności, przybytkiem idealizmu, odciągającego od zbyt poziomych zajęć i zamiłowań, od zbyt zmysłowych rozkoszy i brutalnych upadków. Dla tego może na południu protestantyzm nie zdołał się zagnieździć. Był on za trzeźwy dla serc i wyobraźni ognistych, za mało plastyczny, nazbyt skupiony w sobie, za surowy, za chło-

dny dla tych wylanych na zewnątrz, same słabości natury ludzkiéj topiących w ekstazie. Był on zresztą — i to główne — pozbawiony tego kapłańskiego charakteru, co jedném słowem zmazać może nie tylko winy lecz i zbrodnie, otworzyć na oścież drzwi zbawienia pokutującym a niebacznym tym dzieciom stref upalnych, co uznają dwie tylko wręcz przeciwne, lecz w sumieniach ich i życiu równoważące się władze: własnych nieprzemożonych namiętności i nadprzyrodzonéj, tajemniczéj, a łatwo zdobyć się dającéj *łaski*.

(D. n.) *Wila Zyndram Kościałkowska.*

PIERWSZY ZJAZD
PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW POLSKICH
I JEGO ZNACZENIE.

Kiedy w maju r. b. nadeszła pierwsza wiadomość o zamierzonem przez prawników krakowskich urządzeniu zjazdu w miesiącu wrześniu, mimowoli rodziła się obawa, czy zjazd się zbierze i czy przyniesie jakie pomyślne owoce. Niedowierzanie płynęło z różnych źródeł. Najprzód, niefortunne usiłowania lwowskiego towarzystwa prawniczego, które już trzykrotnie w ciągu ostatnich czterech lat zamierzało zjazd zwołać i oznaczało nawet dla niego terminy, a zawsze bez skutku, stanowiły złą wróżbę dla obecnego przedsięwzięcia. Do tego przyłączyła się inna, ważniejsza jeszcze okoliczność. Przy całej ruchliwości prawników na polu praktycznem, naukowej ich działalności widać niewiele, co także nie mogło budzić zaufania do rzeczy, która podstawy teoretycznej bądź-co-bądź wymagała. Stało się też coś niespodziewanego w istocie. W krótkim stosunkowo czasie, bo zaledwie w ciągu trzech miesięcy, zgłosiła się spora garstka referentów, w ich liczbie kilku ludzi uczonych, przyszły kwestye pożyteczne i interesujące, które poruszyły umysły, a przepełniona aula krakowskiego *Collegium Novum* dowodnie świadczyła o ogólnem zajęciu się rzeczą ze strony naszego prawnictwa. Dość powiedzieć, że przed otwarciem zjazdu lista członków zapisanych obejmowała poważną cyfrę 378 uczestników, nie licząc tych, którzy w ostatnich dniach na zjazd się zgłosili.

W liczbie zapisanych z Królestwa i z gubernii Cesarstwa było 83, z Poznańskiego 7, a nie zabrakło gości przybyłych z Wiednia, Berlina i innych miejsc, bo i gdzież zresztą teraz Polaków niema.

Z drugiéj strony, przygotowanych referatów znalazło się aż ośmnaście, to jest więcéj, aniżeli można było w ciągu dwóch dni odrobić; pięć tematów prawnych i dwa ekonomiczne spadły z porządku dziennego dla braku czasu, a liczne kwestye z tego samego powodu nie dały się dokładnie wyczerpać, pozostawiając spuściznę do pracy na dalszych zjazdach.

Pod względem wewnętrznéj treści, zjazd objawił dużo życia i jędrności. Chcąc jednak rzecz z téj strony słusznie ocenić, należy trzymać się pewnéj względnéj miary, jaka z natury, że tak powiem, owego zjazdu wypływa. Ci, co zjazd zwoływali, nie pragnęli kongresu naukowego w ścisłém znaczeniu słowa i zakreślili sobie o wiele skromniéjsze zadanie. Według słów pierwszéj odezwy do prawników z 18 maja r. b. za główne cele zjazdu postawiono: zbliżenie się pracujących, zaznajomienie się ze zdobyczami pracy naukowéj i wykrycie wspólnych potrzeb wśród naszych prawników. A daléj odezwa, wskazując na niemożność naukowego wyczerpania przedmiotów, głosiła, że takie rzeczy, jak kwestya towarzystw prawniczych, kwestya reformy wykształcenia teoretycznego i praktycznego prawników, wydawnictwa i piśmiennictwo prawnicze, utrzymanie pamiątek przeszłości prawnéj, reforma więzień i tym podobne pytania nastręczają obfity materyał do żywotnéj zbiorowéj pracy. Tak więc nie był to wiec uczonych dla uczonych, ale zebranie razem ludzi naukowych i ludzi nie poświęconych specyalnie nauce, celem porozumienia się w rzeczach ogół prawników obchodzących. Zresztą sam pośpiech, z jakim zjazd zwołano, i charakter osób, które przyjęły w nim udział, usprawiedliwiają najzupełniéj takie, a nie inne postawienie kwestyi. Obok 27 profesorów prawa i 40 ekonomistów, reszta uczęstników zjazdu rekrutowała się w szeregach praktyków, mianowicie urzędników, adwokatów, notaryuszów. Tym sposobem większość zebranych należała do inteligencyi prawniczéj, może nieobojętnéj dla sprawy nauki, ale zazwyczaj niemającéj pretensyi do działalności naukowéj we właściwém znaczeniu wyrazu. To téż nie ze stanowiska ścisłe naukowego, ale według zadań i celów powyżéj określonych zjazd ten oceniać wypada.

Zjazd odbywał się w d. 9 i 10 września r. b. Dziennie miały miejsce dwa posiedzenia, jedno ranne, drugie poobiednie; wszystkich zatém posiedzeń było cztery, z których trzy pierwsze poświęcono prawu, czwarte zaś kwestyom ekonomicznym. Dodać trzeba, że podziału na sekcye nie dokonano, obradowano ciągle przy udziale prawników i ekonomistów w zbiorowym składzie. Na prezesa zjazdu powołano zasłużonego ekonomistę hr. Augusta Cieszkowskiego, któremu dodano do pomocy trzech wice-prezesów: mecenasa Ro-

mana Wierzchlejskiego z Warszawy, prof. Józefa Kasznicę ze Lwowa i p. Juliana Klaczkę z Wiednia. sekretarzem generalnym został d-r Kasparek, profesor prawa międzynarodowego w Krakowie, niestrudzony sekretarz komitetu przygotowawczego, którego osobistéj ruchliwości i energii doprowadzenie zjazdu do skutku najwięcéj zawdzięcza.

Główną stronę działalności wszelkich zjazdów stanowią złożone referaty i dyskusye nad nimi. Od nich więc zacząć należy. Pierwszym z kolei był referat d-ra Kasparka o potrzebie troskliwéj uprawy prawa międzynarodowego prywatnego i środkach do tego celu zmierzających. Nauka prawa międzynarodowego prywatnego, aczkolwiek bardzo młoda, zaczyna się rozwijać dzięki większemu zbliżeniu narodów i częstszym stosunkom pomiędzy obywatelami różnych państw, skutkiem związków rodzinnych, interesów ekonomicznych itd. Wobec różnorodności prawodawstw, obowiązujących w oddzielnych państwach, rozwiązanie tych stosunków i powstających z nich kolizyi, przedstawia w życiu nadzwyczaj wiele trudności, rodząc nieraz sytuacye prawdziwie bez wyjścia. To zwróciło uwagę na potrzebę ustalenia pewnych norm prawnych w téj sferze życia narodów, a zarazem dało pobudkę do badań naukowych, z których nauka prawa międzynarodowego prywatnego zwolna się wyłania i ustala. Jeżeli który naród, to właśnie polski, żyjąc pod różnorodnemi systematami prawodawczemi, winien się interesować, bardziéj niż którykolwiek inny, zarówno rozwojem téj nauki, jakotéż i urzeczywistnieniem jéj pomysłów w życiu. — Objaśniwszy to wszystko, prof. Kasparek zwrócił uwagę na potrzebę ustanowienia specyalnych wykładów powyższéj nauki na wydziałach prawa, jako téż na potrzebę zbierania materyałów do niéj przez stosowne wydawnictwa traktatów międzypaństwowych i wszelkich prac przedmiotu tego dotyczących, w konkluzyi zaś postawił tezę o potrzebie ujednostajnienia różnych prawodawstw za pomocą odnośnych umów międzynarodowych. W szczególności prof. Kasparek żądał w przedmiocie spadków przyjęcia zasady, że sukcesya podpada pod prawa tego państwa, do którego zmarły należał; w przedmiocie pełnoletności przyjęcia wieku 21 lat za epokę zdolności prawnéj i tam, gdzie to, jak naprzykład w Austryi, dotąd uznaném nie zostało, wreszcie w przedmiocie wyroków sądowych, które w obcém państwie do egzekucyi są przedstawiane, ustalenia jednostajnego wszędzie sposobu ich wykonywania. Rezolucye stosownie do wniosków p. Kasparka zostały uchwalone. Dodać tylko trzeba, że prof. Kasparek w rozwinięciu swoich uwag, domagał się jeszcze wniesienia dwóch petycyi do rady państwa w Wiedniu, co do spadków i co

do epoki pełnoletności; gdy jednak w tym punkcie powstała opozycya ze względu, że przedmioty te wymagały by szczegółowego rozbioru, zanim by o petycyi mówić było można, p. Kasparek cofnął powyższe swe żądanie, które też dalszemu rozpatrzeniu już nie ulegało. Że zaś dr. Kasparek w końcowym ustępie swego referatu zaproponował przekazanie wniosków komitetowi wykonawczemu zjazdu, lub towarzystwu prawniczemu lwowskiemu; spodziewać się przeto należy, iż rzucone myśli nie przejdą bez śladu i pobudzą do pracy we wskazanym kierunku. Wśród dyskusyi nad tematem, p. Till ze Lwowa podniósł kwestyą legalizacyi aktów, do użytku prawnego za granicą składanych. W następstwie tego głosu uchwalono, że zachodzi potrzeba uproszczenia odnośnéj legalizacyi na wzór norm ustalonych w umowie pomiędzy Austryą i Prusami.

Drugim z kolei był referat d-ra Kasznicy, b. dziekana fakultetu prawnego w Warszawie, który z powodu zamierzonéj w Austryi reformy studyów prawnych, podniósł kwestyą zmiany nazwy wydziałów prawnych, proponując dla nich nazwę wydziałów nauk społecznych. Przypominamy, że przedmiot ten poruszał prof. Kasznica, aczkolwiek ubocznie, w broszurze, wydanéj w Warszawie w r. 1870 pod tytułem: „O pojęciu i systemie nauk społecznych". Jakkolwiek naczelna teza tematu skupiała się około nazwy danego fakultetu uniwersyteckiego, to jednak dotknął prof. Kasznica kwestyą znaczenia fakultetu i planu wykładanych na nim nauk. W szerokiem, a nie bez werwy, uzasadnieniu rozwijał mówca swoje myśli, rozbierając system nauk społecznych i zastanawiając się nad znaczeniem nowoczesnéj socyologii. Dzięki temu rozwinięciu, kwestya wyrazowa, że tak powiem, przedzierzgnęła się w zasadniczą, wywołując liczne repliki i uwagi. Ożywienia było dużo, rozpraw nie mało, bo cóż może wywołać więcéj sporów, jak socyologią. Że jednak dyskusya nie wypływała z głównéj tezy referatu, a raczéj pośrednio tylko z nim się wiązała, trudno było przyjść do porozumienia i do stanowczéj decyzyi. Dr. Zoll projektował odesłanie wniosków do komitetu wykonawczego; p. Lipowski żądał uchwalenia, aby wykłady socyologii na wydziałach prawnych zostały zaprowadzone; inni pragnęli pewnych modyfikacyi. W rezultacie zjazd bez żadnéj uchwały przeszedł do dalszych tematów!

Kolej przyszła na referaty prof. Balzera ze Lwowa i magistra Dunina z Warszawy w przedmiocie słownika prawnego. Według przysłowia: *les beaux esprits se rencontrent*, obaj referenci spotkali się przy jednéj myśli, podnosząc kwestyą, która, należy do pytań pierwszéj nagłości dla prawnictwa polskiego. W istocie, niejednostajność terminologii prawnéj, używanéj w różnych dzielnicach

dawnéj Polski, tak w nauce, jak i w życiu codziennem, oraz barbaryzmy, które wkradły się do języka, wymagają rychlejszego ustalenia słownictwa. W referatach, obok wspólnéj myśli, były i niektóre wspólne zasady. Zarówno p. Dunin jak i p. Balzer uważają za konieczne dwa słowniki: jeden zawierający terminologią dawniejszego prawa polskiego, który p. Dunin nazywa naukowym, czyli teoretycznym, drugi z terminologią, używaną w nauce dzisiejszego prawa, który u p. Dunina nazwę praktycznego otrzymał.

W dalszym ciągu p. Balzer poświęcał swoje uwagi głównie pierwszemu słownikowi, p. Dunin zaś rozwinął zasady dla słownika „praktycznego". Tym sposobem dwa te referaty wcale się nie wyłączały, raczéj się wzajemnie uzupełniały, dając słuchaczom tém lepszą i bardziéj wyczerpującą całość. P. Balzer uzasadnił swoje wnioski w obszerném przemówieniu, referat zaś p. Dunina, z powodu nieprzybycia tegoż do Krakowa, został przez sekretarza zjazdu odczytany. Z niekłamaną przyjemnością obecni słuchali wywodów p. Balzera na temat pozornie tak suchy, bo téż wyznać trzeba, że referent wywiązał się z zadania wybornie, wyjaśnił cel i znaczenie słownika, zaproponował podział na części, oznaczył zakres każdéj, określił metodę pracy, słowem wskazał wszystko, co dla opracowania dzieła mogło być potrzebném.

W czasie dyskusyi wszyscy zgodzili się na potrzebę wygotowania słowników, gdy zaś podobne wydawnictwo wymaga szerokiego współpracownictwa i umiejętnego kierunku, to téż w myśl wniosku d-ra Fiericha powierzono tę sprawę Akademii umiejętności, *respective*, komisyi prawniczéj, jaka przy wydziale historycznym tejże Akademii funkcyonuje, z zastrzeżeniem, aby rzeczona komisya ustanowiła stosowne podkomisye w Warszawie i innych miejscowościach dla dostarczania materyałów do zamierzonéj pracy.

Słabo natomiast wyszedł następny referat d-ra Leo z Krakowa o reformach skarbowych sejmu czteroletniego.

Była to raczéj praca do druku, aniżeli przedmiot do rozpraw na publiczném zebraniu. Wniosek końcowy p. Leo o potrzebie badań ekonomicznych przy pracach historycznych nie wiązał się bezpośrednio z tematem, który referent słuchaczom odczytał.

Daléj wzięto na porządek dzienny tematy w przedmiocie organizacyi gminy, oraz pokrewny im referat p. Tałasiewicza, o jakim poniżéj będzie mowa. Na mównicę wstąpił dr. Lewicki ze Lwowa i rozpoczął rzecz o dotychczasowych usiłowaniach sejmu i wydziału krajowego w przedmiocie reformy ustawy gminnéj galicyjskiéj. Pod tym skromnym tytułem p. Lewicki rozwinął obraz dokładny organizacyi gminnéj w Galicyi, wyjaśnił szkodliwość oddzielenia obsza-

rów dworskich od gminy, jakie ustawa z roku 1866 zaprowadziła, wykazał następstwa takiego anormalnego rozdziału, tak dla społeczeństwa, jak i dla państwa. Nie ulega wątpliwości, że podobny podział utrudnia zbliżenie dwóch wielkich warstw społecznych: ludu i inteligencyi wiejskiéj, a z drugiéj strony pozbawia gminę ważnych sił materyalnych i moralnych, sprowadza ją do tego stanu anemii, że ona najprostszym zadaniom swoim podołać nie jest w stanie. To rozdzielenie obywateli jednéj i téj saméj ziemi, których zajęcie obok siebie stawia, to odseparowanie łącznych i miedzami zaledwie odróżniających się dziedzin ziemi, które wspólnie dla dobra kraju pracować powinny, przedstawia istotnie coś potwornego, co niełatwo znaleść gdzie indziéj. Że ono przynosić musi nieobliczone dla społeczeństwa straty, tego zapewne nie potrzeba dowodzić. Czyż mogą gminy w tych warunkach znaleść siłę do oporu przeciwko szkodliwym zewnętrznym wpływom? Gdzie w takim razie znaleść sposoby utrzymania ziemi w ręku ludu? Gdzie możność powstrzymania niedorzecznéj do Ameryki emigracyi? Jest to, jak nam się zdaje, najważniejsza kwestya, z pomiędzy wszystkich, jakie nad biedną Galicyą zaciążyły.

Na szczęście, społeczeństwo w téj kwestyi samo wiele zrobić może; rozwiązanie w znacznéj mierze leży w jego ręku, a w każdym razie więcéj, aniżeli rozstrzygnięcie jakiejkolwiek innéj kwestyi. Spodziewać się téż należy, że przedstawiciele sejmu galicyjskiego zechcą zaliczyć tę sprawę do najpilniejszych swych zadań i nie będą daléj dawać przed nią pierwszeństwa sprawom mniejszéj wagi.

Gdy referent przeszedł do historyi dotychczasowych usiłowań w kierunku reformy złego, okazało się, że w sferach powołanych do czynu, w sferach samego sejmu, jak dotąd, było dużo oporu i uporu. Ostatnia przecież ankieta wydziału krajowego, dokonana w roku bieżącym w przedmiocie samorządu gminnego z polecenia sejmu, wykazywać ma dosadniéj, niż cokolwiek, potrzebę zmiany.

Ze swadą krasomówczą rozwijał swój wykład p. Lewicki, już to budząc w umyśle słuchaczy uczucia poważne, już to wywołując na ich usta uśmiech sarkazmu. Znalazły się jednak w jego pięknéj mowie pewne usterki. Za takie poczytać musimy niepotrzebną wzmiankę o rzezi galicyjskiéj, lub powieść o wiecznym winowajcy na temat rządu austryackiego. Podobne rzeczy raziły w poważnym wywodzie, przenosząc kwestyą z gruntu zasadniczego, w sferę pretensyi i wymówek. Odbiło się téż to zaraz przy dyskusyi nad przedmiotem. Jeden z przemawiających wygłosił tyradę przeciwko szlachcie, co wcale nie wypływało z tematu p. Lewickiego. W gruncie rzeczy p. Lewicki winowajców złego szukać nie miał zamiaru i za-

ledwie ubocznie z faktów ich ujawniał. Ze słów jego wina spadała przedewszystkiém na warunki czasu, a w części na przedstawicieli obecnego sejmu, lecz tylko o tyle, o ile nagłości kwestyi i pilnéj potrzeby jéj załatwienia odczuć należycie dotąd nie potrafili. Nie było więc tutaj powodu do filipiki przeciwko jakiejkolwiek warstwie społecznéj. Słowo jednak jedno i drugie, mniéj opatrznie rzucone, mimowoli zaogniło rozprawę. Temperatura trochę się podniosła, a wcale niepotrzebnie. Wtedy prof. Zoll dla usunięcia złego wrażenia, jak się wyraził, wypowiedział kilka słów w obronie szlachty, powołując się na działalność wzorowego obywatela, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, orędownika interesów ludu. Hucznym oklaskiem wynagrodzono gorące słowa, chyba jednak nie dla tego, żeby one kogokolwiek o czém przekonały, ale za to, że mogły ochłodzić zbyt gorącą atmosferę. Na szczęście dr. Kleczyński, dalszy mówca, sprowadził ostatecznie sprawę na grunt obiektywny, z którego na chwilę była zepchniętą, i postawił konkretny wniosek o uznanie, że złączenie obszarów dworskich z obszarami obecnych gmin jest konieczne. Wniosek ten przeszedł prawdziwą jednomyślnością, sprawdzoną przez stosowną kontrpróbę, jak żaden inny, bo nigdy więcéj podobnego zachodu sobie nie robiono. Ta jednomyślna uchwała ludzi z saméj inteligencyi złożonych, niech posłuży Galicyi za wyraz poglądu wykształconego ogólu polskiego!

Z kolei p. Konic z Warszawy przedstawił referat o zgromadzeniach gminnych, jako samodzielnéj władzy samorządu gminnego, w którym żądał znacznego rozszerzenia atrybucyi tych zebrań w dziedzinie interesów gminnych. Jak daleko szły wymagania referenta, dość powiedzieć, że pragnie on nadać im prawo czasowego i zupełnego zawieszania urzędników, oraz prawo zakładania wszelkich nowych i przekształcania istniejących instytucyi gminnych. Z myślą tą jednak zgodzić się trudno. Jak słusznie wykazał p. Konicowi dr. Kleczyński, zebranie gminne ogólne z natury swojéj stanowi ciężką maszynę, która bardzo powoli obracać się może. Udział takiego zebrania w czynnościach, zwłaszcza z zakresu czysto wykonawczego, pożytecznym nie będzie. Z drugiéj strony i praktyka w naszym kraju nie usprawiedliwia wniosków referenta. Zebrania gminne działają u nas pod wpływem natchnienia z góry, samodzielności nie okazują i nie mamy żadnych danych do przypuszczenia, czy szerszemu zakresowi działania samodzielnie w razie potrzeby podołać by mogły. Wyszedł jednak p. Konic z dyskusyi obronną ręką, bo ze względu na ważność kwestyi, dotyczących ustroju gminnego, na wniosek p. Parczewskiego przekazano propozycye referenta do komitetu wykonawczego.

Następny referat radcy Tałasiewicza traktował o administrowaniu spadkowych gospodarstw wiejskich na wspólny rachunek, aż do spłaty współspadkobierców. Na sercu leżało referentowi wysuwanie się ziemi z rąk włościan galicyjskich i nieograniczone a szkodliwe dzielenie gruntów na drobne kawałki, spotykane tak często przy działach. Otóż w tych wypadkach p. Tałasiewicz pragnąłby ustalić przechodzenie drobnych gospodarstw wiejskich na jednego z sukcesorów, przy zapewnieniu pewnéj indemnizacyi za to dla innych, pod postacią spłaty pieniężnéj. Tym celem p. Tałasiewicz proponował ustanawianie kurateli nad gospodarstwami wiejskiemi w razie, jeśli spadek przechodzi na kilku sukcesorów, do czasu spłaty wszystkich współsukcesorów przez jednego, który ma stać się wyłącznym dziedzicem pozostałego gospodarstwa. Podobna kuratela z pewnością pożytku by nikomu nie przyniosła i do celu by nie doprowadziła. Nie znalazł téż referent znikąd wśród słuchaczów dla swego projektu poparcia. Ale myśl sama reformy stosunków spadkowych dla własności wiejskiéj ogólnie się podobała i wywołała széroką dyskusyą, która ze względu na pewną łączność przedmiotu, była jakby przedłużeniem rozpraw, nad tematem pana Lewickiego rozpoczętych.

Komentowano rzecz z rozmaitych stron, cytowano przykłady przepisów w Królestwie obowiązujących, co do niemożności odprzedawania ziemi włościańskiéj w inne ręce i co do ograniczenia podzielności takowéj do 6 morgów, wreszcie wniesiono rozliczne rezolucye, które następnie uchwalone zostały. I tak, notaryusz Lipowski wniósł, aby uznano, że wprowadzenie rad familijnych, na wzór kodeksów francuskiego i polskiego z r. 1825, było by pożądaném. Mecenas Wierzchlejski proponował przyjęcie w Austryi zasady przechodzenia spadków na sukcesorów z mocy samego prawa, a ekonomista Milewski domagał się uznania nagłości reformy ustawodawstwa spadkowego dla własności ziemskiéj w Austryi. Wszystkie te wnioski przyjęto.

Na zamknięcie posiedzeń prawnych, prof. Maurycy Fierich przedstawił temat o środku prawnym drugiéj instancyi w ustném postępowaniu sądowém cywilném. Nowy projekt procedury cywilnéj w Austryi, w sprawach rozpoznawanych przez sądy ogólne (krajowe) znosi zwykły środek prawny apelacyi, dopuszczając jedynie w pewnych wypadkach skargę rewizyjną przed wyższą instancyą. Z pomysłem tym nie godzi się p. Fierich, zwłaszcza, że droga rewizyi nie uwzględnia nowych dowodów, ani nowych okoliczności faktycznych, które przecież nie raz grają główną rolę i dla prawidłowego wymiaru sprawiedliwości pod rozpoznanie przyjęte być winny.

Wyjaśniwszy różnicę zachodzącą pomiędzy instancyą apelacyjną i rewizyjną, oraz wykazawszy potrzebę dopuszczenia nowych dowodów, chociażby dopiéro do drugiéj instancyi przedstawionych, p. Fierich wniósł, aby w postępowaniu sądowém cywilném apelacya *cum beneficio novorum* była zwyczajnym środkiem prawnym drugiéj instancyi, z tém zastrzeżeniem, że w razie niestawiennictwa strony, przywiedzione przez nią nowe okoliczności mają być w rozpoznaniu pominięte. W formie wykończonego wykładu prowadził swoję rzecz referent i pozyskał ogólne za to uznanie. Łączono się z nim w jego tezach, zaszła tylko drobna opozycya ze strony piszącego te słowa, co do odrzucenia *novorum* w wypadkach zaoczności. W istocie, jeżeli wymiar sprawiedliwości wymaga uwzględnienia wszystkiego, co się w sprawie przedstawia, bez względu na epokę złożenia nowych dowodów, to cóż za racya odrzucać je dla tego tylko, że strona puściła sprawę zaocznie. Czyż w razach niestawiennictwa, wynikłego czasem z przypadku, nie zachodzi dla sądu taż sama, jeżeli nie większa nawet potrzeba dokładnego rozpoznania szczegółów? Pomimo téj opozycyi i pomimo pewnego wahania przy głosowaniu, większością zdań wnioski d-ra Fiericha w całości uchwalone zostały. Z okazyi tego referatu uchwalono jeszcze doraźny wniosek d-ra Tilla o potrzebie prędszego wprowadzenia w Austryi procedury cywilnéj, opartéj na jawném i ustném postępowaniu.

Ale mówiąc o posiedzeniach prawnych zjazdu, wypada wspomniéć jeszcze o kwestyach niezależnie od tematów poruszonych, które w przerwach pomiędzy rozprawami wchodziły na porządek dzienny. Do takich należy przedewszystkiém ważna kwestya towarzystw prawniczych. D-r Kasparek przygotował w tym przedmiocie krótki referat, nawołując prawników do zawiązywania kółek prawnych w celu podnoszenia poziomu wiedzy prawniczéj i zapobiegania zgubnemu zastojowi. Jak wiele sił prawniczych marnieje z powodu braku wszelkiéj podniety do umysłowéj pracy, zwłaszcza na prowincyi, o tém trudno miéć wyobrażenie. Za wzór dla takich kółek podał referent towarzystwo prawnicze w Kosowie, które pod sterem notaryusza, d-ra Karola Wurcla od lat 15-stu pożytecznie funkcyonuje. Z téj racyi d-r Kasparek wniósł, aby we wszystkich miastach, gdzie znajduje się siedlisko sądu, tworzono towarzystwa prawnicze na wzór kosowskiego, a dla nadania kółkom większego znaczenia, żądał połączenia ich w dwa związki, jeden pod egidą towarzystwa prawniczego w Krakowie, drugi pod egidą takiegoż towarzystwa we Lwowie. Nie potrzebuję dodawać, że wnioski te uchwalono, z dodatkiem, na propozycyą jednego z ekonomistów, aby towarzystwa centralne krakowskie i lwowskie

uwzględniły udział ekonomistów, stając się towarzystwami prawniczo-ekonomicznemi, z oddzielną sekcyą ekonomiczną.

Obok tych wniosków d-r Kasparek postawił jednocześnie i trzeci co do natychmiastowego założenia towarzystwa prawniczego w Krakowie. Ten trzeci wniosek wywołał oryginalny epizod. Okazało się z dyskusyi, że w Krakowie przed laty 18-stu powstało już towarzystwo, do którego zapisała się pokaźna liczba osób, lecz pomimo upływu znacznego czasu, dotąd ani jednego nie odbyło posiedzenia i żadnego znaku życia nie dało. Rozpoczęła się szermierka pomiędzy prawnikami krakowskimi, czy mają, czy nie mają towarzystwa, czy to letarg, czy śmierć kompletna. Jedni uważali wniosek za zbyteczny, bo towarzystwo istnieje, przeciwnicy ani słyszéć o tém nie chcieli, nastając na uchwalenie wniosku. Uratował dopiéro sytuacyą mecenas Wierzchlejski, proponując, aby zamieścić w rezolucyi, że zjazd powołuje do utworzenia lub wskrzeszenia towarzystwa, i tém pogodził poróżnione strony. W końcu d-r Kasparek wyraził przekonanie, że jeżeli zjazd prawników da impuls do organizacyi kółek prawniczych, już tém samém pozostawi trwałą po sobie pamiątkę. Ze zdaniem tém najzupełniéj się łączymy. Jeżeli choć to jedno zostanie zdobyte, praca zjazdu nie będzie bezowocną.

Za inicyatywą tegoż d-ra Kasparka i przy udziale wybranéj przez zjazd komisyi podniesiono jeszcze inne kwestye, a mianowicie: kwestyą zbierania wyrazów, przysłów i zwyczajów prawnych w Polsce, kwestyą popierania pism prawnych i kwestyą wydania encyklopedyi wszystkich nauk prawnych. Dla braku czasu, do dyskusyi nad temi kwestyami nie przyszło, zjazd przyjął wnioski bez rozpraw, uchwalając rezolucye w duchu potrzeby działania. W ten sam sposób przyjęto wniosek, aby sejm krajowy galicyjski, idąc ubitym torem organów prawodawczych, komunikował projekty praw do opinii uniwersytetom galicyjskim i izbom adwokackim i notaryalnym, jak również wniosek o ustanowieniu komitetu wykonawczego, z poleceniem urządzenia drugiego zjazdu za dwa lata we Lwowie.

Odmiennego za to losu doznał wniosek p. Turnau o potrzebie powiększenia ilości urzędników sądowych w Galicyi. Zjazd dla niemożności rozwinięcia rozpraw w tym przedmiocie odmówił wszelkiéj uchwały. I słusznie, bo tego rodzaju wniosek bez dokładnego rozpatrzenia zdecydowanym być nie mógł.

Czwarte posiedzenie, t. j. posiedzenie popołudniowe z d. 10-go września było ekonomiczne. Na porządku dziennym stały przedewszystkiém tematy mówców poznańskich: pp. Skarzyńskiego i Do-

nimirskiego, jeden o reformie kredytu ziemskiego, drugi o kolonizacyi wewnętrznéj. Obaj goście z tych kresów, na których stacza się ciężka walka ekonomiczna z przemożnym obcym żywiołem, budzili ogólną ciekawość, która napełniła szczelnie salę. Wśród zebranych pokazały się nawet kobiéty, o ile wiadomo, żony prawników.

P. Skarzyński rzucił myśl nową. Podług jego mniemania dotychczasowy kredyt rolny, oparty na długoletniéj amortyzacyi (jak np. w naszém Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém), pomimo niewątpliwych usług, jakie rolnictwu przynosił, w obecnych warunkach już nie wystarcza. Ciężkie położenie dzisiejszego rolnictwa domaga się kredytu łatwiéjszego i dogodniéjszego. Taki kredyt zostałby zapewnionym własności ziemskiéj, gdyby towarzystwom kredytowym ziemskim przyznano przywiléj emitowania banknotów z możnością zamiany obecnych listów zastawnych na noty bankowe. Te ostatnie nie posiadają kuponów, nie wymagają płacenia procentów, a tém samém stanowią źródło najtańszego kredytu. Oprócz banków państwowych, korzystają już z prawa wypuszczania not niektóre banki przemysłowe i handlowe; p. Skarzyński żąda takiegoż ustępstwa i dla rolnictwa. Dla zebezpieczenia banknotów ziemskich, wystarczy, według poglądu p. Skarzyńskiego, gdy zostaną oparte w $1/3$ na gotowiźnie leżącéj w skarbcu, a w $2/3$ na ziemi, t. j. na hipotekach. Przeciwko wywodom p. Skarzyńskiego posypało się niemało krytyk. Zarzucano mu, że banknoty oparte tylko na $1/3$ gotowizny nie mają szansy powodzenia, że zatém cała podstawa jego projektu przedstawia wątpliwą wartość. Zarzucano mu także, że emisya banknotów nie może być nieograniczoną, że wartość ich reguluje się podażą i zapotrzebowaniem, że państwo nie mogłoby udzielić towarzystwom kredytowym rolnym prawa nieograniczonéj emisyi etc.

W końcu dyskusyi ostatni z mówców, d-r Milewski, zachowując stanowisko krytyczne względem niektórych wywodów referenta, postawił wniosek o uznanie potrzeby reformy w przedmiocie kredytu rolnego, który to wniosek przekazano komitetowi wykonawczemu.

W pewnym związku z powyższym tematem stała sprawa kolonizacyi wewnętrznéj, podniesiona przez p. Donimirskiego. Wychodząc z zasady, że większa własność stopniowo w miarę rozwoju ekonomicznego musi się rozdrabniać, p. Donimirski widzi jedyny ratunek dla zachwianéj własności ziemskiéj w podziale większych folwarków na drobniejsze gospodarstwa. Nawiasowo potrącił referent o bank ratunkowy poznański, którego program nie wydawał mu się dosyć praktycznie postawionym. Pomijając mniéj szczęśli-

wą nazwę kolonizacyi wewnętrznéj, w istocie rzeczy chodziło tu o parcelacyą celem ratowania właścicieli ziemskich. Kwestya wywołała żywą dyskusyą. Z przemówień wyróżnił się głos p. Blocha, który zmodyfikował myśl referenta w ten sposób, że należy większe obszary ziemi zmniejszać i jedynie odpadki parcelować, nie znosząc w zasadzie większéj własności i dworu. Co się tyczy banku poznańskiego, p. Bloch łączył się z niezadowoleniem referenta, proponując dla niego zadanie ograniczone do pośrednictwa w oddzielaniu i parcelowaniu tych odpadków, odciętych od większéj własności. Te krytyki, chociaż może słuszne, mogły były przynieść wielką dla działalności i rozwoju banku ziemskiego w Poznaniu szkodę, gdyby sprawa utknęła na tém i gdyby nie nadano jéj innego biegu. Powstało ogólne wzburzenie, co zrobić. Jedni byli za uchwaleniem wniosków p. Donimirskiego bez zmiany, drudzy widzieli potrzebę pewnéj modyfikacyi, która jednak *ex abrupto* nie dała się ustalić. Tymczasem pora nagliła, godzina zakreślona dla posiedzeń zjazdu minęła, trzeba się było śpieszyć. W myśl przeto wniosku d-ra Kasparka wybrano komisyą do rozpoznania kwestyi, pomimo że zjazd zostanie już zamknięty. W skład komisyi weszli pp. Bloch, Kirszrot-Prawnicki, Kleczyński, Kasparek, Kieszkowski, Parczewski, Milewski, Wrotnowski, Skarzyński i Donimirski. Wyborem rzeczonéj komisyi zakończyły się czynności ostatniego z posiedzeń zjazdowych.

Posiedzenie to, obfite co do treści ze względu na dotknięte kwestye, szwankowało nieco pod względem formy przedstawionych referatów. Obaj mówcy mają to, co się nazywa złą wymową. Do tego przyłączył się brak potoczystości i jędrnego przedstawienia rzeczy. Głębsze myśli przebijały z referatu p. Skarzyńskiego; sypał jak z rękawa wybornie zebraną statystyką p. Donimirski, a przecież całość szła ciężko, jak po grudzie. Nie odjęło to wartości referatom, ale pozbawiło je należnego uroku. Słuchano, interesowano się rzeczą, ale nie zapalano się do niéj tak, jakby to się stać mogło. Sprawdziło się tym razem to, co już dawno znane jest z doświadczenia, że bez poprawnéj formy, silniejszych wrażeń się nie zdobywa.

Komisya — o jakiéj powyżéj była mowa — odbyła dwa posiedzenia w dniach 11 i 12 września i ogłosiła rezultat swoich dociekań pod formą sprawozdania, które rzuca pożyteczne światło na kwestyą i sposób przeprowadzenia jéj w rzeczywistości.

Komisya uznała konieczność parcelacyi odpadków od większych posiadłości, oraz konieczność udziału społeczeństwa w tém przedsięwzięciu. Ze względu zaś, że pomoc rozstrzelonych prywatnych kapitałów mogłaby być niewystarczającą, komisya orzekła,

że zamierzony cel da się najskuteczniéj osięgnąć przy pomocy instytucyi finansowéj, np. banku poznańskiego, który w tym kierunku działalność swą rozwinąć powinien. Komisyi przewodniczył p. Jan Bloch. Tym sposobem, zagrożona pozornie w pierwszéj chwili sytuacya banku ratunkowego pozyskała należyte poparcie, które nie pozostanie zapewne bez pożytecznego wpływu na losy instytucyi w dalszém jéj istnieniu. Samo zajęcie się kwestyą zaczęło budzić dla sympatycznéj instytucyi interes, którego poprzednio nie było. Według ostatnich doniesień gazet, już d. 18 września, zawiązał się w Krakowie komitet celem niesienia pomocy bankowi. Do pierwotnego składu złożonego z ks. Jerzego Czartoryskiego, ks. Wład. Czartoryskiego, ks. Adama Sapiehy i hr. Artura Potockiego przybrano kilku innych członków i rozesłano zaproszenia do kilkuset osób w Galicyi, dla obmyślenia pomocy, o jakiéj mowa. Na odbytéj we Lwowie naradzie postanowiono zebrać 1.200.000 marek celem przesłania ich do Poznania. Nie przesądzamy dalszych skutków, notujemy tylko pierwszy pożyteczny krok, jaki dzięki zjazdowi i jego uchwałom powstał.

Rozpatrzywszy się w czynnościach zjazdu, przystąpmy teraz do obliczenia i zróbmy bilans jego działalności.

I cóż ten zjazd zrobił? zapyta może niejeden. Odpowiemy: i mało i wiele. Gdyby chodziło o wielkie problematy naukowe i o ich rozwiązanie, bezwątpienia zjazd nie miałby się czém chwalić, ale jak powiedziałem na wstępie nie zakładano sobie tak wielkiego zadania. Na obronę powiedzieć jednak można, że strona naukowa była uwzględnioną, że nawet nie zeszła na ostatni plan. Dość tu przytoczyć takie referaty jak d-ra Kasparka, d-ra Balzera lub d-ra Fiericha, które mogły być odczytane na najpoważniejszym kongresie, z pożytkiem i uznaniem. Jeżeli zaś nie wszystkie tematy i dyskusye stały na wysokości naukowych wymagań, za to pod względem żywotności podniesionych kwestyi zjazdowi niema nic do zarzucenia. Za pochwałę starczy, gdy przypomnimy kwestyą reformy ustawy gminnéj galicyjskiéj i zniesienia rozdziału obszaru dworskiego z gminą, kwestyą reformy ustawodawstwa spadkowego dla własności ziemskiéj, kwestyą zbierania przysłów i zwyczajów prawnych, kwestya słowników prawnych, kwestyą towarzystw prawniczych, wreszcie kwestyą reformy kredytu rolnego i kwestyą banku, ziemskiego, pomijając inne mniejszéj wagi. W tym kierunku zrobiono niemało, dotknięto różnych rzeczy i rzucono myśli bardzo wiele. Zarzucić by raczéj było można, że aż za wiele. W istocie z nawałem przedmiotów trudno było dać sobie radę, trzeba było ściskać się, jakby w prasie, aby zatrzymać co najwięcéj.

Czy zjazd wyda praktyczne skutki? czy uchwały przyobleką się w ciało? To inna rzecz. Działalność zjazdu, jak każdego tego rodzaju zebrania jest akademicka; jest to działalność idei, która uprzedzać musi czyny. Pewien praktyczny skutek objawił się już w kwestyi banku ratunkowego, spodziewajmy się, że nie będzie to jedyny objaw, że przyjdą dalsze i nie w téj tylko kwestyi, i że przyszłość nas w téj mierze nie zawiedzie.

Wadliwą stronę zjazdu stanowił pośpiech zbytni, z jakim go urządzono, a co zatém poszło brak podziału na sekcye, które pomogłyby do wydania większych jeszcze owoców, oraz brak należytego porządku dziennego, który trzeba było dopiero podczas posiedzeń prostować. Ale to są rzeczy drobne i łatwe do usunięcia na przyszłość. Doświadczenie obecne dostarczy pożytecznych wskazówek dla tych, którzy urządzeniem nowego zjazdu zajmować się będą.

Nie dość na tém, zjazd z innéj jeszcze strony zasługuje na podkreślenie. Zjazd rzucił światło na stan naszego prawnictwa, na jego siły i niedomagania, na jego przymioty, a zarazem i na jego braki. Za wiele wątpiliśmy o swoich siłach, nie wierzyliśmy nawet w możność urządzenia pożytecznego wiecu, a przecież jakby za dotknięciem rószczki czarodziejskiéj znaleźli się poważni pracownicy i poważne myśli.

A więc są siły, ale roztrzelone, które stoją w odosobnieniu i nikną z oka, jak gdyby ich nie było.

Kto wié, czy przy odpowiedniém zogniskowaniu nie możnaby obudzić rzeczywistego życia umysłowego, i czy nie dałoby się podnieść zaniedbanéj nauki prawa?

W fakcie tego roztrzelenia uwydatnił się jaskrawo rozdział, istniejący pomiędzy praktyką i nauką. Niema pożądanego między temi dwoma żywiołami łącznika, a co zatém idzie nie ma pracy dla wspólnego celu i niema wzajemnego współoddziaływania. Rozdział ten jest w rzeczywistości większym, aniżeli się to na pierwszy rzut oka wydawać może. Za dowód niech posłuży fakt zaczerpnięty z kroniki zjazdu.

Przed laty dziesięciu komisya prawnicza Akademii umiejętności, uznawszy potrzebę zbierania zwyczajów i przysłów prawnych, wygotowała do prawników odezwę i prosiła o dostarczanie materyałów według ułożonego przez nią kwestyonaryusza. Aliści z Królestwa od jednego z praktyków przyszedł na obecny zjazd referat na tenże temat z żądaniem ustanowienia sekcyi do zbierania podobnych materyałów, tak jak gdyby komisya prawnicza wcale się tego przedmiotu nie dotknęła. Nie było tam nawet wzmianki o tém, co w łonie Akademii umiejętności w téj mierze już zrobiono. Nie

zmniéjsza to zasługi autora, ożywionego poczciwą myślą, chociaż nie świeżą, ale jasno dowodzi istnienia anormalnych stosunków wśród naszego prawnictwa. W związku z roztrzeleniem, o jakiém powyżéj była mowa, zaznaczyć należy dość znaczny w sferze prawników-praktyków zastój umysłowy, który zabijać może nawet prawdziwe zdolności i siły. Ogólnie biorąc, praktycy toną w zajęciach fachowych i obojętnieją na postęp i rozwój nauki. O pracy jakiejkolwiek teoretycznéj niema mowy. I ta wada ujawniła się na zjeździe bardzo dobitnie dzięki d-rowi Kasparkowi. Brak kółek prowincyonalnych, jak to zaznaczył dr. Kasparek, wymowny przynosi w téj mierze dowód. Na przestrzeni całéj Galicyi oprócz słabo funkcyonującego towarzystwa prawniczego lwowskiego istnieje jedynie kółko kosowskie; w Królestwie nie lepiéj, taż sama senność i apatya. Najjaskrawszém świadectwem tego ujemnego stanu jest sprawa towarzystwa prawniczego krakowskiego, którą powyżéj przedstawiłem. Z okazyi zjazdu wszystkie te rzeczy wyszły na wierzch, widzimy złe dokładniéj, aniżeli poprzednio było można widziéć, szukajmy przeto dróg poprawy i ratunku. Pod tym względem niesłychanéj doniosłości nabiera wniosek d-ra Kasparka o tworzeniu towarzystw prawniczych. Zdaje nam się, że dla stanu prawniczego, jest to sprawa pierwszorzędnéj wagi i wielkiéj nagłości.

Do skutków zjazdu zaliczyć należy wydawnictwa które z powodu zjazdu ukazać się mają.

Dr. Banzemer przetłómaczył trzecią część ekonomii politycznéj Roschera i zamierza ją wydać niezadługo, poświęcając ją zjazdowi, jak o tém już na zjeździe zameldował. Pan Bloch zaś zamierza na pamiątkę zjazdu wydać dwie encyklopedye przemysłu i handlu. Wprawdzie o projekcie tym wiadomości na zjeździe nie podano, przecież przy znanych dobrych chęciach p. Blocha nie można wątpić, że zamiar przyjdzie do skutku i wzbogaci literaturę tyle pożądanym zabytkiem.

Adolf Suligowski.

Z VI PIEŚNI ILIADY.

Spotkanie Hektora z Andromachą.

Gdy zaś Hektor do Skajskiéj się bramy i buku przybliżył;
Tutaj zabiegły mu drogę małżonki i córy Trojanów,
Pytać się jego o synów poczęły, o braci, o krewnych,
240. Pytać poczęły o mężów; lecz on do bogów się modlić
Każdéj nakazał; niejedną żałoba oczekiwała.
Nuż gdy przybył do okazałego dworcu Pryjama,
Opatrzonego w krużganki rzeźbione, (kędy we wnętrzu
Komnat było pięćdziesiąt z marmuru gładko ciosanych,
Obok jedna przy drugiéj stawiana, w których sypiali
Dzielni synowie Pryjama przy ślubnych swoich małżonkach;
Z drugiéj zaś strony od wnętrza podwórza dla córek podobnież
Komnat było dwanaście z marmuru gładko ciosanych,
Obok jedna przy drugiéj stawiana, w których Pryjama
250. Spali zięciowie przy swoich małżonkach nieskazitelnych);
Tu go matka spotyka, Hekuba, wszech darzycielka,
Idąc do Laodycei, swéj córy najurodziwszéj.
Syna za dłoń uchwyciła i słowo wygłasza i mówi :
Po co, synu, przyszedłeś i bój porzuciłeś okrutny?
Pewnoż nas przełamali złowrodzy synowie Achajów,
Walcząc dokoła warowni, zaś ciebie dusza skłoniła
Przyjść i dłonie do Zewsa ze szczytu Pergamu wyciągnąć.
Wstrzymaj się chwilę, a wnet ci wina przyniosę słodkiego;
Abyś wylał Zewsowi Kronidzie i innym niebianom
260. Najprzód, poczém wypił i sam i ducha pokrzepił.
Wino dzielności dodaje mężowi utrudzonemu,
Tak jak ty się strudziłeś, w narodu stając obronie.

Na to Hektor odrzecze wyniosły, hełmogrzywiasty:
Nie, nie przynoś mi wina słodkiego, matko czcigodna;
Ono bo mnie obezsili, utracę i moc i odwagę.
Wina Zewsowi Kronidzie wylewać ręką nieczystą
Nie śmiem; nie dozwolono do Zewsa czarnochmurnego
Modlić się, pokalanemu posoką i pyłem bojowym.
Ależ ty do świątyni Ateny łupami darzącéj
270. Idź i ponieś naczynia ofiarne, matrony zebrawszy;
Szatę zaś najokazalszą i najozdobniejszą ze wszystkich,
Jakie posiadasz w komorze i sercu swemu najmilszą,
Połóż w darze u nóg pięknowłoséj Pallas-Atenie.
Przyrzecz również w świątyni poświęcić i cielic dwanaście
Rocznych, a nieujarzmianych, a niech ulituje się ona
Nad żonami Trojanów, nad dziećmi i grodem warownym.
Niech od bram Ilijonu świętego syna Tydeja
Natarczywego odwróci, strasznego sprawcę popłochu.
Owóż ty do świątyni Ateny łupami darzącéj
280. Idź, zaś ja do Parysa podążę, do boju go wezwać;
Jeśli tylko usłucha rozkazu. Niechże się ziemia
Pod nim zapadnie; na biedę bo jego Zews wyhodował
I Pryjamowi i synom Pryjama i wszystkim Trojanom.
Gdybym powalonego obaczył w otchłanie Hadesa,
Razbym może w swéj duszy ochłonął z klęsk przeraźliwych.
Rzekł, zaś ona powraca do domu i wraz służebnicom
Rozkaz wydała, by w mieście dostojne matrony zwołały.
Sama natomiast zstępuje do swojéj wonnéj alkowy,
Gdzie jéj szaty leżały przecudnie wyhaftowane,
290. Dzieło niewolnic sydońskich, tych samych, które sprowadził
Ongi Parys z Sydonu, przebywszy morze rozległe;
Gdy uprowadzał w domostwo Helenę z boga zrodzoną.
Z tych więc jednę zabiera Hekuba, zanieść Atenie:
Najokazalszą ze wszystkich, najpiękniéj wyhaftowaną,
Gwiazd promieniami świecącą; na samym spodzie leżała.
Tę i poniosła, a liczne matrony towarzyszyły.
Gdy w świątyni Ateny stanęły na zamku grodowym,
Wnet im bramę rozwarła Teano obliczem nadobna,
Antenorowa małżonka, Ciseja córa dzielnego,
300. Którą kapłanką Ateny Trojanie ustanowili.
Te więc w głos do Ateny się modlą, dłonie podnosząc.
Zasię Teano obliczem nadobna, szatę przyjąwszy,
Składa takową u nóg pięknowłoséj Pallas-Atenie,
Przyczém modły zanosi do córy Zewsa mocarza;

Obronicielko! Ateno przezacna, boginio najświętsza,
Włócznię skrusz Diomeda Tydejdy, niech ugodzony
Głową na ziemię polęże u wrót Ilijonu świętego.
Wówczas tobie w świątyni poświęcim cielic dwanaście
Rocznych, a nieujarzmianych, ulituj się przeto, boginio,
310. Nad żonami Trojanów, nad dziećmi i grodem warownym.
Tak przemawiała błagając; potrząsa głową Atena,
Tak się one modliły do córy Zewsa mocarza.
Hektor tymczasem zdążając, w domostwo wszedł Aleksandra;
Wybudowane wspaniale przez niego samego z pomocą
Cieślów najznakomitszych w Troadzie twardoskibiastéj;
Ci mu dom zbudowali, sypialnią i piękny dziedziniec
Blisko Pryjama i blisko Hektora na zamku grodowym.
Tu wszedł Hektor, Kronidy kochanek, z oszczepem w prawicy
Długim, jed'nasto-stopowym i błyszczał u góry na drzewcu
320. Grot zaostrzony, spiżowy, obrączką złotą ujęty.
Zastał jego w komnacie rynsztunkiem zatrudnionego
Pięknym: tarcz opatrywał i pancerz i łuk zakrzywiony.
Zasię Helena Argiejka siedziała na boku w służebnic
Gronie i ich wyszukane roboty nadzorowała.
Hektor jego ujrzawszy surowo jął napominać:
Bóg-że z tobą, szaleńcze, na Trojan się w duszy zawziąłeś?
Oto mężów gromady w obronie murów i miasta
Giną, a przecież ta wrzawa i walka z twojego powodu
Wre dookoła warowni; i sam byś łajał zaiste,
330. Gdybyś kogo dopatrzył potyczki się wzdragającego.
Ruszajże żywo nim gród płomieniowi nie pójdzie na pastwę.
Na to rzecze mu on Aleksander bogopodobny:
Bracie, nie bez powodu się gniewasz i słusznie złajałeś;
Powiem ci przeto, byś wiedział, a zechciéj słuchać i rozważ:
Nie przez srogą zawziętość, nie z gniewu przeciwko Trojanom
Siedzę w komnacie, lecz żal mię w duszy ku temu zniewolił.
Ależ oto i żona słowami dobrotliwemi
Mnie usiłuje wyprawić, a sądzę i sam, że należy
Ruszyć ponownie, zwycięstwo bo mężom naprzemian przypada.
340. Owóż chwilę zaczekaj, przywdzieję rynsztunek bojowy;
Lub téż idź, a podążę za tobą i jeszcze dopędzę.
Rzekł, a Hektor i słowa mu na to nie odpowiedział.
Zaczém Helena przemówi do niego słowami słodkiemi:
Szwagrze kochany, szwagrze, kobiety niegodnéj, złowrogiéj!
Niechby mnie w ów dzień, gdy matka na świat porodziła,
Burza schwyciła szalona nieszczęsna i niechby uniosła

Gdzie na góry, lub morskie bałwany groźnie huczące;
Takbym w falach zginęła i klęsk nie była sprawczynią.
Gdy jednakowoż wieczyści bogowie zło dopuścili,
350. Niechby dali przynajmniéj za męża człowieka dzielnego,
Któryby ludzką nienawiść i hańbę ludzką rozumiał;
Ten zaś pustak zaiste i był i już pozostanie
Zawsze, a sądzę, niedługo się godnéj doczeka nagrody.
Ależ wejdź do komnaty i usiądź oto na krześle,
Szwagrze, bo ty najstraszliwsze ze wszystkich trudy ponosisz
Wskutek mnie bezwstydnicy i wskutek zbrodni Parysa.
Złą nam dolę Kronida zgotował i wieść nie zaginie
O nas, późne potomki osławiać będą pieśniami.
Na to Hektor odrzecze wyniosły, hełmogrzywiasty.
360. Nie proś siadać, Heleno, nie skłonisz, choć mile zapraszasz:
Już bo serce mię w piersi pobudza biedz na obronę
Synów trojańskich, którzy powrotu mojego czekają.
Ty zaś jego napędzaj, uzbrojon niechaj pośpiesza,
By mnie zdołał dogonić, dopókąd w grodzie zostanę.
Jeszcze bo zajdę do swego domostwa, aby obaczyć
Współdomowników, małżonkę kochaną i synka małego.
Trudnoż wiedzieć, czy z walki powrócę powitać ich jeszcze,
Czy też dłoniom Achajów bogowie każą ulegnąć.
Tak powiedziawszy oddalił się Hektor hełmogrzywiasty.
370. Wszedł zaś wkrótce do swojéj siedziby wspaniale wzniesionéj
Ależ w komnacie małżonki nie zastał białoramiennej;
Ona bo wtedy z dziecięciem i pięknie odzianą piastunką
Stała na bramnéj wieżycy zawodząc i łzy wylewając.
Gdy więc Hektor nie zastał swéj nieskażonéj małżonki,
Staje w progu mieszkania pośrodku służebnic i rzecze:
No, służebnice, powiedzcie mi prawdę najzupełniejszą,
Gdzie Andromacha się białoramienna udała z komnaty?
Poszła li świeście odwiedzić, lub pięknie przybrane bratowe,
Lub do świątyni Ateny, gdzie właśnie i inne Trojanki
380. Pięknowarkocze się zeszły boginię groźną przebłagać?
Na to jemu odrzecze najstarsza z nich przełożona:
Powiem, jako kazałeś, Hektorze, prawdę najszczerszą;
Ni do świeści, ni pięknie przybranych bratowych nie poszła,
Ni do świątyni Ateny, gdzie właśnie i inne Trojanki
Pięknowarkocze się zeszły boginię groźną przebłagać;
Ależ poszła na wieżę Iljonu, słysząc Trojanów
Klęski i straszną potęgę Achajów nieustraszonych.
Nagle wypadła z komnaty i jak obłąkana pobiegła

Prosto ku bramie, a z nią i dziecko piastunka poniosła.
390. Tak powiedziała; a Hektor wybiega ze swego domostwa;
Śpiesznie podąża spowrotem przez miasto zabudowane.
Gdy zaś, tak ulicami zdążając, do bramy się Skajskiéj
Zbliżył, (tędy się bowiem na pole zamierzał wydostać);
Tu mu drogę zachodzi małżonka, cna Andromacha,
Córka Eetyjona, zyskana za wiano bogate.
Dzielny Eetjon władyka u stóp lesistego Plakosu
Mieszkał, w Tebie Plakijskiéj i władał Cylijczykami:
Z jego to córą połączył się Hektor Spiżopancerny.
Ta go właśnie spotyka, a idzie z nią i piastunka,
400. Dziecko na ręku trzymając, rozkoszne, niemowlę maleńkie,
Hektorowicza miłego, ślicznego, jak gwiazda błyszcząca.
Ojciec dziecię Skamandrem nazywał, inni atoli
Astyjanaksem, bo Hektor był Ilijonu obrońcą.
On i uśmiecha się teraz, na synka patrząc lubego,
Zaś Andromacha podchodzi ku niemu łzami zalana,
Dłonią za dłoń uchwyciła i słowo wygłasza i rzecze:
Bóg-że z tobą, odwaga cię zgubi, litości ty nie masz
Nad niemowlęciem i mną nieszczęśliwą, która po tobie
Wdową zostanę, bo wnet cię zabiją synowie Achajów,
410. Wpadłszy gromadą na ciebie; o niech mię ziemia pochłonie
Raczéj, niż ciebie bym miała utracić; bo żadnéj pociechy
Mnie nie zostanie, gdy ty przeznaczeniu swojemu ulegniesz,
Jeno żałoba. Nie mam ni ojca, ni matki dostojnéj;
Ojca wszakże pokonał Achilles bogopodobny:
Zburzył gród Cylijczyków, siedlisko mnogiego narodu,
Tebę wielkobramiastą i zabił w niéj Eetjona.
Nie obezbroił atoli, bo strach mu duszę zdejmował;
Lecz go w całym rynsztunku wspaniałym spalił na stosie,
Także i kurhan usypał, brzostami zaś wkrąg osadziły
420. Nimfy z Egidodzierżcy zrodzone, parowów mieszkanki.
Siedmiu i braci straciłam żyjących u ojca w domostwie:
Wszyscyż w dniu tymże samym w Hadesa zeszli krainę,
Wszystkich wódz, szybkonogi Achilles, bogopodobny,
Zabił, owce wełniste pasących i woły powolne.
Matkę zaś moję, u stóp królującą Plakosu leśnego,
Porwał razem z innemi łupami i tu przyprowadził;
Wprawdzie-ć rychło uwolnił, przyjąwszy okup ogromny,
Lecz ją w domu ojcowskim Artemis łucznica zabiła.
Tak, Hektorze, zostałeś mi ojcem i matką dostojną,
430. Bratem zostałeś i tyś mój łoża dorodny towarzysz;

Nuż ulituj się teraz, pozostań tutaj na baszcie,
Wdową małżonki nie uczyń, nie uczyń dziecka sierotą.
Wojsko uszykuj przy wzgórzu figowém, tu bo najbardziéj
Gród dostępny, przez mur nie trudno się tędy przedostać.
Wszak trzykrotnie się tutaj kusili przejść wojownicy:
Dwaj Ajaksowie odważni, przesławny Idomeneusz,
Dwaj Atrydowie i syn Tydejowy, Diomed potężny;
Bądź ich kto poprowadził, wyroków bożych świadomy,
Bądź ich własna ku temu odwaga wzbudziła i pchnęła.
440. Na to Hektor odrzecze wyniosły, hełmogrzywiasty:
Żono, tożsamo i mnie niepokoi, lecz wstyd by mi było
Straszny Trojanów odważnych i wstyd długoszatnych Trojanek,
Gdybym zdala od walki jak nicpoń jaki pozostał.
Dusza by nie dozwoliła, bom przywykł być znakomitym
Zawsze i wśród przodowników trojańskich stawać do boju,
Ojcu sławę uczciwą zyskiwać i sobie samemu.
Dobrze i mnie to wiadomo i w duszy wiadomo i w sercu:
Zbliży się dzień ostateczny zagłady Iljonu świętego;
Wówczas zginie i Pryjam oszczepnik i naród Pryjama.
450. Ależ nie tak mię zatrważa Trojanów dola nieszczęsna,
Ni téż saméj Hekuby, ni dola Pryjama władyki,
Ni mych braci rodzonych, acz oni i liczni i dzielni
Runą głowami w kurzawę pod mężów złowrogich przemocą;
Jak zaś twoja, gdy który z Achajów w spiż uzbrojonych
Ciebie płaczącą pochwyci i dnia swobodnego pozbawi;
Gdybyś miała w Argosie u krosien cudzych siadywać,
Lub téż wodę przynosić z Mesisu, lub z fal Hyperei,
Niedobrowolnie, przemocą okrutną przyniewalana.
Wówczas ciebie płaczącą obaczy ktokolwiek i powie:
460. Oto żona Hektora z Trojanów konioposkromców
Najdzielniejszego, gdy murów świętego Iljonu bronili.
Tak, być może, wyrzecze, a tobie—żałość ponowna
Tęskność za mężem walecznym, co dzień by niewoli odwrócił;
Niechże mnie umarłego mogiłą ziemia pokryje,
Zanim twojéj niewoli się dowiem i jęku twojego.
Rzekł i ręce do synka wyciąga Hektor świetlisty:
Cofa się dziecko, do łona piastunki kibicią nadobnéj
Tuli się z krzykiem, przelękłe widokiem rodzica lubego.
Zbroi się lęka spiżowéj i kity z końskiego ogona,
470. Widząc potrząsającą się groźnie na szczycie szyszaka.
Na to zaśmieli się ojciec kochany i matka dostojna.
Zaraz Hektor świetlisty zdejmuje z głowy przyłbicę

Połyskującą wspaniale, na ziemi składa takową;
Poczém dziecko całuje kochane, kołysząc na ręku,
Modły zanosi do Zewsa i innych bogów wieczystych:
Zewsie i wszyscy bogowie, przyzwólcie, niechże i syn ten,
Ze mnie spłodzon, jako i ja Trojanami przywodzi;
Również siłą potężny, niech włada dzielnie Iljonem;
O nim niechaj powiedzą: od ojca syn znakomitszy,
480. Kiedy powróci z potyczki, a niosąc zbroję skrwawioną
Męża pokonanego, niech serce matki pociesza.
Tak powiedziawszy, do ręku małżonki kochanéj oddaje
Dziecko najmilsze; przygarnia je ona do łona wonnego,
Tuląc, uśmiecha się łzawo; zdejmuje litość Hektora:
Głaszcze ręką małżonkę i słowo wygłasza i rzecze:
Bóg-że z tobą, kobieto, rospaczą duszy nie nękaj!
Nikt bo mnie do Hadesa nie ześle wbrew przeznaczeniu,
Doli zaś swojéj, o wierzaj, śmiertelnik żaden nie uszedł,
Czy niedołęga, czy chwat, gdy tylko na świat się narodził.
490. Idź że do domu, kochana i bierz się do krosien, kądzieli,
Swoich zwyczajnych zatrudnień, a każ i swym służebnicom
Siąść do roboty, zaś walką mężowie kłopotać się będą
Wszyscy, mieszkańce Iljonu, najwięcéj zaś ja między nimi.
Tak powiedziawszy, nakłada na głowę przyłbicę grzywiastą
Hektor świetlisty; małżonka zaś luba do domu powraca,
Wstecz oglądając się ciągle, rzęsiste łzy wylewając.
Wkrótce i weszła do pięknobudownéj siedziby Hektora
Mężów pogromcy i tu służebnice zebrane zastaje
W licznéj gromadzie i wszystkie pobudza do płaczu rzewnego.
500. Tak to one Hektora i jeszcze za życia w domostwie
Opłakiwały, bo nie przypuszczały, by z boju strasznego
Wrócił, oparłszy się dłoniom i mocy synów achajskich.
Zgoła się długo i Parys nie bawił w komnacie wysokiéj.
Nuż przywdziawszy na siebie rynsztunek śpiżem świecący,
Śpiesznie podąża przez miasto w rączości nóg zaufany.
Jak więc rumak, wystały u żłobu i tęgo spasiony,
Więzy porozrywawszy, równiną cwałuje z tętentem;
Przyzwyczajony w potoku się pławić uroczo płynącym,
Dziarski: zadarł głowę do góry, na karku dokoła
510. Grzywa rozwiewa się bujna i jego pełnego czerstwości
Bystro nogi unoszą ku klaczom na znane pastwisko;—
Tak i Parys, Pryjama potomek ze szczytu Pergamu
Zbroją jaśniejąc, jak słońce promienne, hukając wesoło,
Szedł, a nogi pośpieszne go niosły; i wkrótce dogonił

Brata swojego, boskiego Hektora, właśnie gdy tenże
Odejść zamierzał od miejsca, gdzie z żoną miał pogadankę.
Najprzód Parys do niego przemówi bogopodobny:
    Bracie, oto ci śpieszno, a na mnie opieszałego
Czekać musiałeś, na czas nie przychodzę, jakoś polecił.
520. Na to Hektor odrzecze wyniosły, hełmogrzywiasty.
Bóg-że z tobą, toć żaden by człowiek, jeśli rzetelny,
Ciebie nie zganił w potyczce, bo iście tchórzem nie jesteś;
Tylko że rad się ociągasz i wzdragasz, a serce się moje
W duchu utrapia, gdy słyszę nienawiść ku tobie u Trojan
Wszystkich, którzy przez ciebie straszliwe klęski ponoszą.
Ależ ruszajmy, a temu zaradzim, gdy nam dopomoże
Zews na cześć wiekuistym niebianom, Olimpu mieszkańcom,
Puhar wyswobodzenia postawić w naszych komnatach;
Gdy wypędzimy z Troady Achajów zbrojogolennych.

Stanisław Mleczko.

CZTEREJ NAJZNAKOMITSI PRZEDSTAWICIELE

STAROFRANCUSKIĖJ HISTORYOGRAFII:

Ville-Hardouin, Joinville, Froissart i Comines.

Najznakomitszymi dziejopisami Francyi średnich wieków są: Geoffroy de Ville-Hardouin, Jehan de Joinville, Jehan Froissart i Philippe de Comines. Każde z dzieł tych niepospolitych mężów tworzy epokę w historyi języka, literatury i dziejopisarstwa francuskiego. Mistrze w sposobie przedstawiania wypadków, ojczystym pisząc językiem, przekazali owi historycy potomności to, co sami zdziałali, co czuli, na co własnemi patrzyli oczami lub co posłyszeli od współczesnych, nie roszcząc sobie prawa do uczoności i gruntowności. I z téj to właśnie przyczyny odzwierciedla się w ich dziełach jak najwierniéj duch czasu, w którym żyli. Ville-Hardouin przedstawia epokę religijnego zapału i najśmielszych, najosobliwszych przedsięwzięć. W dziele Joinville'a objawia się już pewne ostygnięcie dla idei, która wyprawiała tysiące chrześcian za morze, celem wydarcia niewiernym grobu Zbawiciela. Chłodniejszy niż Ville-Hardouin, uważa Joinville, jak niejeden ze współczesnych, wojny krzyżowe za bezowocne i pomimo przywiązania do ś. Ludwika, odmawia z przedziwną otwartością udziału w wyprawie na Tunis. Kronika Froissarta, owego ruchliwego księdza, co to niezbyt pomny na kapłański swój urząd, garnie się na dwory możnych, z rozkoszą przypatrując się pańskim zabawom i rycerskim igrzyskom, a nawet niekiedy udatne układając wiersze miłosne, jest żywym niejako wizerunkiem chylącéj się ku upadkowi „szwaleryi." Comines wreszcie, poważny statysta i mąż przejęty nowemi wyobrażeniami, co to opuszcza dwór nierozważnego Karola Śmiałego, księcia Burgundyi, by wstąpić w służbę mędrszego przeciwnika tegoż, Ludwika XI,

króla Francyi, trafnie maluje czas, w którym się zbutwiały gmach średniowiecznych urządzeń rozpada, a na jego gruzach silnie się podnosi królewska władza.

Ville-Hardouin pierwszy zrywa z łaciną i ośmiela się pisać w ojczystym języku, owym „*parler delitable*“, który dotąd tylko w poezyi i w potocznéj mowie był w użyciu. Tym sposobem tworzy francuską prozę i już z téj przyczyny dzieło jego niezmierną ma doniosłość. Język Ville-Hardouina, lubo jeszcze niewygładzony, twardy, chropowaty, ubogi w słowa, wyrażenia i zwroty, tryska jednak siłą i życiem. Bogatszy, pełniejszy, bardziéj rozwinięty jest język Joinville'a. Właściwie język obydwóch jest co do wewnętrznéj budowy i zewnętrznéj postaci ten sam, że jednak Ville-Hardouin pisał na początku XIII wieku, Joinville zaś na początku XIV wieku, a ówczesna francuszczyzna, któréj źródłem była łacina, z czasem coraz się więcéj od tejże odstrychała, przeto zachodzi w tym względzie niejaka pomiędzy obu pisarzami różnica. Froissart pracował nad olbrzymią swoją kroniką w czasie, w którym język francuski przeobrażał się do niepoznania. Comines'a dzieło wreszcie pojawiło się w epoce, w któréj dyalekt, jakim mówiono w Ile-de-France, stawał się panującym, urzędowym językiem całéj Francyi.

Uwagi godném jest, że dzieła owych czterech historyków powstały w czterech epokach literatury francuskiéj. „Zdobycie Konstantynopola“ w epoce największego rozkwitu średniowiecznéj poezyi francuskiéj; biografia ś. Ludwika w czasie, gdy taż poezya przekwitać poczęła; Froissarta kronika w wieku panowania rozwlekłego, niesmacznego alegorycznego poematu „Roman de la rose“, rozpoczętego przez Wilhelma de Lorris, dokończonego w r. 1307 przez Jana de Meung; Comines'a pamiętniki ukazały się już w epoce humanizmu.

Ponieważ tedy język, czas i okoliczności, wśród których owi mężowie żyli i działali, tak odmienne były, przeto téż każdy z nich odmiennie pojmował zadanie historyografii i odmienną cechę nadał utworowi swemu. Na to przedewszystkiém pragniemy zwrócić uwagę w przeświadczeniu, że rzecz pożyteczną uczynim.

I. VILLE-HARDOUIN.

Conquête de Constantinople ed. Natalis de Wailly. Paris 1882.

Geoffroy de Ville-Hardouin, marszałek Szampanii i Romanii i pan Messinopola (urodzony prawdopodobnie w zamku Ville-Hardouin, w pobliżu Troyes, między r. 1150 a 1164, zmarły 1213 roku)

opisał tak zwaną czwartą wyprawę krzyżową, w której wybitną odgrywał rolę. Zwięzłą jest powieść jego. Był w r. 1197 świątobliwy mąż, nazwiskiem Fulko z Neuilly, i tenże Fulko począł z polecenia papieża Inocentego III, „*apostoile de Rome*“, jak go zowie Ville-Hardouin, wzywać lud do podjęcia wojny krzyżowéj. Wielu panów francuskich, zebranych na turnieju w Ecri, usłuchało głosu jego. Teobalda, hrabiego Szampanii, obrano wodzem i wyprawiono posłów, pomiędzy tymi i Ville-Hardouina do Wenecyi, w celu uproszenia potrzebnych do przeprawy okrętów. Wenecyanie, na ich czele stary doża, Henryk Dandolo, przychylają się do prożby posłów, żądając jednak znacznego wynagrodzenia. Układ przychodzi do skutku. Tymczasem umiera hrabia Teobald, poczém na jego miejsce, na wniosek Ville-Hardouina, powołują panowie francuscy Bonifacego, margrabiego Montferratu. Ale nie wszyscy krzyżowcy przybywają do Wenecyi. Wielu, wbrew umowie, odpływa z innych portów włoskich do Ziemi Świętéj. Ztąd zgromadzeni w Wenecyi krzyżowcy widzą się naraz w przykrém położeniu, kosztów bowiem przeprawy zapłacić nie mogą. Wtedy zręczny Dandolo podsuwa im myśl zdobycia wspólnie z Wenecyanami Zary, którą tymże wydarł był król węgierski: w takim razie spłata umówionéj sumy odroczona zostanie, a łupem zwycięzcy podzielą się. Zgadzają się na to krzyżowcy. Jakoż zdobywają Zarę i przepędzają zimę w tém mieście, uzyskawszy przebaczenie papieża. Niespodzianie przybywają do Zary posłowie greckiego następcy tronu, Aleksego, którego ojca, Izaka, własny brat Aleksy oślepił i wyzuł z korony. Błagają oni krzyżowców o pomoc, jak największe czyniąc im obietnice. Pokusie oprzéć się nie mogąc, zawierają Wenecyanie i krzyżowcy układ z młodszym Aleksym, który przybywa do ich obozu, i z nim ruszają pod Konstantynopol. Śmiało uderzają na olbrzymie miasto, starszy Aleksy ucieka, Izak zasiada znów na tronie. Ale Izak i syn jego nie dotrzymują obietnic. Skutkiem czego posłowie krzyżowców rzucają cesarzowi rękawicę w jego własnym pałacu. Korzystając z zamieszania Grek Murzuflus przywłaszcza sobie rządy, udusiwszy młodszego Aleksego, Izak umiera z przerażenia w więzieniu. Wtedy krzyżowcy zdobywają Konstantynopol po zaciętéj walce. I tak miasto, liczące 400,000 mieszkańców, staje się łupem 20,000 śmiałych mężów. Zdobywcy obierają Baldwina, hrabiego Flandryi, cesarzem nowego cesarstwa łacińskiego. Ale Grecy nie chcą ugiąć karku pod obce jarzmo. Ztąd bezustanne, krwawe walki z rokoszanami oraz z Janem, królem Bułgaryi, najniebezpieczniejszym wrogiem nowego cesarstwa. W walce z nim ginie Baldwin, brat jego Henryk odziedzicza tron po nim. Opowieść kończy się przed-

stawieniem bohaterskiego zgonu margrabiego Bonifacego w r. 1207, któremu królestwo tesalonickie pod zwierzchnictwem cesarza przypadło było w udziale.

Taka jest treść dzieła Ville-Hardouina, bogatego w iście dramatyczne ustępy. Niezrównanie pięknie opisana jest owa scena kiedy to posłowie baronów francuskich rzucają się z płaczem na kolana przed ludnością Wenecyi, zarzekając się, iż nie prędzéj powstaną, dopóki Wenecyanie prośby nie wysłuchają i nie zmiłują się nad „ziemią świętą za morzem.“ „A doża i wszyscy inni z rozrzewnienia płakać poczęli i wyciągnęli ręce w górę i zawołali jednym głosem: „Przystajemy, przystajemy!“ Wtedy powstał taki zgiełk i takie zamieszanie, że zdawało się, „iż się ziemia zapada“ (28).

Również dramatycznym jest opis niezgody, wybuchłéj w obozie krzyżowców pod Zarą. Doża i baronowie już-już zająć mają Zarę. Odbywa się narada, czy przyjąć warunki poddania się miasta. Nagle podnosi się pewien opat Cystersów i rzecze: „Panowie, zabraniam wam w imieniu „apostoła“ rzymskiego zajmować to miasto, gdyż jest ono chrześciańskiém miastem, a wy jesteście pielgrzymami“ (83). Doża „wielce zagniewany i zaniepokojony“ śmiałością mnicha, ujmuje sobie baronów i usiłowania jego odnoszą wreszcie zwycięstwo nad stronnictwem, które pragnęło przedsięwzięciu zapobiedz.

Oblężenie Konstantynopola, wypowiedzenie wojny Izakowi i Aleksemu, usiłowanie Greków spalenia floty krzyżowéj, odsiecz dana zamkowi Chivelot, zgon Baldwina, hrabiego Ludwika de Blois, oraz margrabiego Bonifacego największe budzą zajęcie: tak żywą i prawdziwą jest opowieść tych wypadków. Oto w wiernym przekładzie ustęp, w którym Ville-Hardouin opisuje pożar floty:

„Wtedy wymyślili Grecy bardzo wielki fortel. Wybrali 17-cie wielkich okrętów i napełnili je całkiem drzewem, smołą, pakułami i beczkami i czekali na wiatr pomyślny. I pewnego razu, około północy, podpalili okręty i puścili je z wiatrem, a ogień tak wysoko buchnął, że zdawało się, iż się cała ziemia pali. I tak zbliżają się owe okręty ku flocie krzyżowców. I krzyk podnosi się w obozie i wszyscy poczynają się zbroić, i Wenecyanie i inni bieżą do swoich okrętów i poczynają gwałtownie wyciągać je z ognia. I poświadcza Jeoffroy, marszałek Szampanii, który to dzieło dyktował, że lepiéj od Wenecyan nie sprawiali się nigdy ludzie na morzu. Wskakiwali oni do łodzi i czółen i chwytali palące się okręty hakami i wyciągali je całą siłą z portu w obliczu nieprzyjaciół i puszczali palące się z prądem cieśniny. Na brzeg zaś tylu Greków się zbiegło, że nie było końca ni miary, i był krzyk tak wielki, że zdawało się, iż się ziemia zapada“ (217, 218).

Prawdziwie zdumiewającém jest, jak niewielu słowy Ville-Hardouin największe sprawia wrażenie. Z każdego słowa czuć nieustraszonego rycerza. Ale zachwyca go też wszystko, co wielkie i piękne, a i natura nie jest mu obojętną, jak tego dowodzi np. opis odpłynięcia floty z Korfu.

Ville-Hardouin trzyma się ściśle przedmiotu swego. „Otóż — mówi — posłuchajcie powieści o jednym z największych dziwów i o jednéj z największych przygód, o jakich kiedykolwiek słyszeliście,“ (70) i tylko to opowiada, co pozostaje w związku z owym „dziwem“ i ową „przygodą“, czyli ze zdobyciem Konstantynopola i utwierdzeniem nowego cesarstwa. Nie zapuszcza się więc w długie opisy, jak Henri de Valenciennes, który pisał historyą cesarza Henryka. W dziele Ville-Hardouina nie ma wzmianki o zewnętrznéj postaci Wenecyi, owego wielce podziwianego w średnich wiekach miasta. O kościele św. Marka czytamy tylko: „Kaplica św. Marka, najpiękniejsza, jaka istnieje“ (25); o pałacu doży: „pałac, który był bardzo kosztowny i bardzo piękny“ (18); o cesarskim pałacu w Chalcedonie: „ten pałac był jeden z najpiękniejszych i najrozkoszniejszych, jaki kiedykolwiek oko oglądać mogło, pełen przyjemności, jakich tylko człowiek zapragnąć może“ (134). Krótki téż jest opis Zary: „i zobaczyli miasto okolone wysokiemi murami i wysokiemi wieżami, i napróżno szukalibyście piękniejszego, mocniejszego i bogatszego“ (77). Nawet widok Konstantynopola, który zachwyca w najwyższym stopniu marszałka Szampanii, do takiéj tylko wzmianki pochop mu daje: „Otóż możecie sobie wystawić, jak patrzyli na Konstantynopol ci, co go jeszcze nigdy nie widzieli, nie mogli bowiem wyobrazić sobie, aby drugie tak potężne miasto mogło być na całym świecie, widząc te bogate wieże i te wysokie mury, któremi było okolone, i te wspaniałe pałace, i te wysokie kościoły, których miało tyle, że nie uwierzyłby, ktoby ich własnemi oczami nie widział, i długość i szerokość miasta, które było panią wszystkich innych. I wiedźcie, że nie było tam śmiałka, coby nie zadrżał; i nie dziwota, bo nigdy, odkąd świat stworzony, tak wielkiéj sprawy nie podjęli się ludzie“ (128). Niewiele to słów, ale dostatecznie okazują one i wielkość miasta i śmiałość przedsięwzięcia.

Także o urządzeniach, zwyczajach, strojach i uroczystościach pobieżnie tylko wspomina Ville-Hardouin. Froissart nie mógłby się był powstrzymać, by nie opisać szeroko dworu cesarza greckiego. Ville-Hardouin ogranicza się do następujących słów: „tam zastali (posłowie wojska) cesarza Izaka w tak kosztownych szatach, że napróżnoby szukano człowieka bogaciéj ubranego, a obok niego

cesarzową, małżonkę jego, która była bardzo piękną panią, a siostrą króla węgierskiego. Innych znakomitych panów i pań było tyle, że nie można było poruszać się, a już bardziéj postrojeni być nie mogli“ (186). I to wszystko, co mówi o cesarskim dworze. Także koronacya cesarzów, jakkolwiek nowe i nie zwykłe było to widowisko dla francuskiego rycerza, nie pobudza go do obszerniejszego opisu. „Koronowany był tak wspaniale i tak godnie, jak koronowano cesarzów greckich w owym czasie“ (193). W tenże sam sposób mówi o koronacyi Baldwina i Henryka.

Niehojny szafarz słów, wyraża Ville-Hardouin myśli swe i uwagi w krótkich sentencyach, jak np. „Tak jak Bóg chce, stać się musi“. „I dla tego źle postępuje ten, co z obawy śmierci czyni coś takiego, czego wstydzić się musi całe życie“ (379),—albo w wykrzyknikach, jak np. „Ha! jakażto była szkoda!“ „Niestety, jak bolesną tam stratę poniesiono“.

W swych sądach jest Ville - Hardouin bardzo ostrożny, mianowicie o tém, czego sam nie był świadkiem. Wzmiankując, że pewien rycerz opuścił swego zwierzchnika w stanowczéj chwili i z tego powodu mocno był ganiony, dodaje: „Ten, co tę historyą dyktował, nie wiedział, czy słusznie czy niesłusznie“ (484). Pragnie bowiem opisywać tylko prawdziwe wypadki i często używa następującego zwrotu: „I poświadcza to Geoffroy, marszałek Szampanii, który to dzieło dyktował (a który nigdy słowa nieprawdziwego świadomie nie rzekł) jako ten, co miał udział we wszystkich naradach...“ (120).

W wyprawie na Konstantynopol widzi wolę Bożą, objawiając przekonanie swoje słowy: „Lecz nie podobało się Bogu“—„jako Bóg chciał“ itp. Klęski zaś Greków uważa jako karę bożą za ich zdrady i wiarołomstwo: „ci, co tak niegodnie zdradzali się nawzajem, nie mieli prawa dzierżyć kraju“ (271, 272). Także późniejsze niepowodzenia zdobywców Konstantynopola przypisuje ich własnym grzechom. Tego im jednak za grzech nie poczytuje, że nie wywiązali się z zobowiązania podjęcia wojny krzyżowéj.

Charakterystyka osób trafną jest, acz krótką. Sąd Ville - Hardouina o bohaterskim doży Henryku Dandolo, „który starcem był i nic nie widział“, widny z następujących wyrażeń: „dobry doża wenecki“ — „bardzo roztropny i dzielny“ — „przez swój rozsądek i rozum, który był bardzo wielki i przenikliwy“ (25) — „był wielkiego serca“ (38). Charakterystykę Bonifacego, margrabiego Montferratu, zawierają te słowa: „Niestety! jak wielką stratę poniósł tam cesarz Henryk i wszyscy Łacinnicy ziemi romańskiéj przez zgon takiego męża skutkiem takiéj przygody, jednego z najlepszych i naj-

potężniejszych baronów i najdzielniejszych rycerzy na świecie" (500).

Natomiast czyny tych mężów w przedziwny opowiedziane sposób, najlepiéj ich charakteryzują. Jak śmiałym, zręcznym, przedsiębiorczym okazuje się Dandolo w opowieści Ville-Hardouina! Oględność, rozum i zręczność widać w każdym jego czynie, nieustraszone męstwo w szturmie na Konstantynopol. Ślepy doża, stojąc w pełnéj zbroi na przodzie okrętu, z którego powiewa chorągiew ś. Marka, wzywa towarzyszy, aby go na ląd wysadzili, grożąc w przeciwnym razie karami, a gdy zadość się staje woli jego, pierwszy rzuca się w tłum nieprzyjaciół (173) — epizod, przypominający bardzo opowieść Froissarta o zgonie króla Jana czeskiego w bitwie pod Crécy.

W zwięzłym opisie wypadków maluje się znakomicie charakter działających osób. Młody hrabia Ludwik de Blois, ciężko ranny w bitwie z Kumanami i Wołochami, spada z konia. Jeden z jego rycerzy, Jan de Friaise, sadza go na własnego rumaka. Wierni towarzysze zaklinają hrabiego, aby opuścił pole bitwy. „Panie, wołają, uchodź, gdyż ciężko ranny jesteś w dwóch miejscach". Ludwik jednakże daje im godną zacnego rycerza odpowiedź. „Niechaj Bóg uchowa, aby mi miano kiedykolwiek zarzucić, iżem zbiegł z pola bitwy i opuścił cesarza." I tak ginie śmiercią walecznych (359).

Ville-Hardouin zwraca przedewszystkiém uwagę na rokowania i wojenne wypadki, ale i tu zachowuje miarę, nie wdając się w drobnostkowy opis bitew. „Wszystkich razów i wszystkich rannych i poległych nie mogę wyliczać" zwykł dodawać. Mówiąc o rokowaniach, podaje sprzeczne zdania, całych mów jednak nie przytacza, lecz streszcza je zwykle w ten sposób: „Dosyć tam mówiono za i przeciw, lecz wynik obrad był taki"... Mowy, któremi przeplata opowieść, nie wstrzymują akcyi, są one krótkie, zwięzłe i dobitne, jak być musiały w istocie mowy mężów, którzy ostrzem miecza rozwiązywali zawiłe sprawy. Nie są one, jak mowy w Liwiuszu lub Tucydydesie, umyślnie skreślone celem wyjaśnienia sytuacyi, lecz oczywiście o ile możności wiernem powtórzeniem tego, co mówiono, i dla tego też malują doskonale ducha czasu, wyobrażenia, dążności i usposobienia uczestników wyprawy. Nic nie może dać lepszego wyobrażenia o bucie i śmiałości rycerzy francuskich jak odpowiedź Konona de Betune, „który dobrym i mądrym był rycerzem i wielkim mówcą", jaką w imieniu rycerstwa daje posłowi starszego Aleksego. „Miły panie, rzecze, powiedziałeś nam, że pan twój dziwuje się bardzo, dla czego nasi panowie i baronowie wtargnęli w jego dzierżawy i ziemię. W jego dzierżawy nie wtargnęli,

gdyż trzyma on je niesłusznie i grzesznie, wbrew woli Bożéj i słuszności, lecz panem ich jest bratanek jego, który tu oto siedzi pomiędzy nami na tronie, syn brata jego Izaka. Ale jeśli pan twój chce się zdać na łaskę bratanka swego i zwróci mu koronę i państwo, to tegoż prosić będziem, aby mu przebaczył i dał mu tyle, żeby mógł żyć dostatnio. Jeśli z takiém poselstwem powrócisz, to cię przyjmiemy, inaczéj nie waż się stawać raz jeszcze przed nami" (144).

Nie mniéj charakterystyczną jest mowa, jaką tenże Konon de Betune prawi w obec całego dworu do cesarza Izaka, któremu zarzuciwszy bez ogródki wiarołomstwo, wypowiada wojnę. „Słyszałeś dobrze, co rzekliśmy. Rozmyśl się, jako ci się podoba" (214). „Grecy, dodaje od siebie Ville-Hardouin, uważali to wyzwanie za wielki dziw i wielką zniewagę i mówili, że nikt jeszcze nie był tak śmiałym, aby rzucić cesarzowi rękawicę w jego własnéj komnacie".

O sobie samym, lubo zajmował wybitne stanowisko w wojsku, stary marszałek mało co mówi, nie wiele téż o tém, co ogół rycerstwa myślał i mówił, i w tém się jego dzieło różni od dzieła współczesnego Roberta de Clari, przedstawiciela niższego rycerstwa. Natomiast szczegółowiéj zajmuje się wszystkiém, co się tyczy możnowładzców, w których ręku spoczywa kierownictwo sprawy. Ci są w opowieści jego niejako osią, około któréj wszystko się obraca. I właśnie dla tego, że Ville-Hardouin nie spuszcza nigdy z oka głównych osób i głównego celu, opowieść jego raźnie postępuje i jest jakby z jednego odlewu—pełna życia, siły i prawdy.

II. JOINVILLE.

Histoire de saint Louis ed. Natalis de Wailly. Paris 1874.

Innym zupełnie mężem był Joinville, innym téż jest charakter jego dzieła. Ville-Hardouin ściśle się trzyma swego założenia i zawsze w poważny, uroczysty sposób kreśli wypadki szybko po sobie następujące; Joinville natomiast jest naiwnym, wesołym, dowcipnym opowiadaczem i prawie tyle o sobie mówi, co o królewskim swym przyjacielu, nie kładąc hamulca myślom, wspomnieniom i uczuciom swoim.

W sędziwym wieku (r. 1309) pisał czyli raczéj dyktował czcigodny seneszal (1) Szampanii (ur. 1224 † 1317) swe dzieło: „Histoire de St. Louis IX de Nom, Roy de France", na prośbę królowéj Joan-

---

(1) W średnich wiekach we Francyi urzędnik naczelny sprawiedliwości w pewnym obrębie, a zarazem naczelnik szlachty w pospolitém ruszeniu.

ny, matki Ludwika Kłótnika, który wstąpił późniéj na tron francuski pod nazwiskiem Ludwika X. Temu to prawnukowi ś. Ludwika Joinville poświęcił swe dzieło. Książka dzieli się na dwie części, jak sam Joinville zaznacza (str. 2). Pierwsza zawiera opis cnót, obyczajów i charakteru króla, druga, czternaście razy obszerniejsza od tamtéj, opis jego czynów wojennych. Pierwszą poprzedza dedykacya, jako téż prolog, w którym Joinville rozwodzi się nad czterma przypadkami, w których król Ludwik podał się dla ludu swego w niebezpieczeństwo życia. W epilogu, który zakończa część drugą, opisuje autor zgon króla wedle opowiadania syna tegoż, Piotra d'Alençon, jako toż jego kanonizacyą, przy któréj Joinville występował jako świadek. Druga część jest historyą przedostatniéj wojny krzyżowéj, podczas któréj Joinville był nieodstępnym towarzyszem i powiernikiem króla. Wszystko, co tę wojnę poprzedza, więc młodość ś. Ludwika, regencyą matki jego, pierwsze czyny królewskie są niedokładnie skreślone, gdyż Joinville tylko o tém wspomina co go najbardziéj zajmuje lub co się tyczy rodzinnéj Szampanii. Także ustęp, mieszczący w sobie wypadki po ukończeniu owéj wyprawy, nie jest oryginalnym, gdyż Joinville czerpał, jak sam przyznaje (768), po większéj części z jakiegoś pisma „*un romant*". Ów „romant" jest to wedle Natalisa de Wailly (*Éclaircissements* XIII) francuska biografia ś. Ludwika przez Wilhelma de Nangis—kompilacya, któréj pomiędzy innemi służyła za podstawę łacińska biografia ś. Ludwika przez Geoffroy de Beaulieu, spowiednika królewskiego.

Najważniejszym ustępem dzieła jest zatém pierwsza wojna krzyżowa ś. Ludwika czyli przestrzeń czasu od r. 1248 do r. 1254. Tu Joinville powtarza wszystko prawie dosłownie, co się mieści w pierwszéj części, tak że możnaby się bez niéj i bez prologu obyć.

Dla czegoż tedy Joinville taką postać dał dziełu swemu? W trzech miejscach udziela on wyjaśnienia. Na jedném mówi: „Nim wam opowiadać pocznę o wielkich jego czynach i rycerskich dziełach, wspomnę o świętych jego słowach i dobrych naukach, aby, zebrane w jednę całość, zbudowały tych, co o nich posłyszą" (19). To samo powtarza jeszcze podwakroć (18 i 68).

Więc Joinville pragnie zbudować czytelników i „aby mieli większy pożytek", zestawia w pierwszéj części te czyny króla, z których najlepiéj poznać można jego cnoty. Budującą książką ma być dzieło i taka była myśl jego, gdy się przychylił do prośby królowéj Joanny.

Dopiąłże celu swego? Niezawodnie. Toć wznieca cześć i poszanowanie dla króla, przytaczając owe „dobre słowa i dobre nau-

ki", jakich tenże udzielał łagodnie swym dzieciom, Joinville'owi i innym. Nastraja religijnie czytelnika pobożność i niezłomna wiara w Opatrzność, jaką Ludwik okazywał w najkrytyczniejszych chwilach życia swego, tak gdy okręt jego osiadł na mieliźnie w pobliżu Cypru, lub gdy w Egipcie po bitwie pod Mansourah, otoczony przeważnemi siłami pohańców, dotknięty został zarazą, na którą mnóstwo rycerzy umierało, lub podczas niewoli, w którą popadł wraz z całém wojskiem. Ujmuje nas pokora króla, który kraje chléb własną ręką dla biednych, a nawet im nogi umywa, jego dobra wiara nawet w obec niedotrzymujących układów emirów egipskich, którym każe wypłacić 10,000 liwrów, dowiedziawszy się, że oszukano ich przy odważaniu złota za okup, co brat Jan de Samois nazwał „wielkim czynem" w kazaniu podczas kanonizacyi króla (764). Budującą jest sprawiedliwość ś. Ludwika, nieprzychylającego się, pomimo swéj życzliwości dla duchowieństwa, do niesłusznéj prośby biskupów, aby zagarnianiem mienia zmuszał wyklętych z błahych powodów poddanych swoich do starania się o absolucyą. Podziwiać i uwielbiać należy męża, który ze słowy: „Błogosławieni pokój czyniący" odrzuca radę otoczenia swego, aby pomiędzy obcymi książęty, jako téż we własnym kraju pomiędzy panami podsycał niezgodę i zatargi, w celu podniesienia swojéj władzy. Jakże inaczéj działał Ludwik XI, jakże inaczéj myślał Filip de Comines.

Joinville, pragnąc rozbudzić i podnieść religijne i moralne uczucia w czytelnikach swoich opisem cnót i czynów ś. Ludwika, dokazuje tego mimowoli, mówiąc o sobie samym. Toż i on był pobożnym mężem, chociaż pewnego razu na pytanie króla, coby wolał, czy być trędowatym, czy popełnić grzech śmiertelny, otwarcie wyznał, iż wolałby mieć na sumieniu trzydzieści grzechów śmiertelnych, niż być okrytym trądem. Zganił go za to król, mówiąc, iż się „nierozsądnie i trzpiotowato" odezwał, gdyż nie ma tak brzydkiego trądu, jak grzech śmiertelny, wtedy bowiem dusza dyabłu podobna (27). Po takiéj nauce pan seneszal szampański tak unikał grzechu, że późniéj w Egipcie, gdy chrześciańscy jeńcy spowiadali się, gotując się na śmierć, mógł o sobie powiedzieć: „Co do mnie, tom sobie nie mógł przypomnieć żadnego grzechu" (354), do czego jednakże i chwilowe pomieszanie mogło się przyczynić. Z chrześciańską pokorą ukląkł ze słowami: „Tak umarła ś. Agnieszka", przed saracenem, sądząc, że tenże ściąć go zamyśla. Gdy późniéj w niewoli spożywał podane sobie mięso, a jeden z rodaków ostrzegł go, iż to piątek, odtrącił Joinville natychmiast misę i odtąd co piątek pościł o chlebie i wodzie, lubo ganił mu to nawet legat papieski (327). Ciężko chory zwlókł się pewnego razu z łoża, by podtrzymy-

wać kapelana swego, który mdlał, odprawując mszę ś. przed nim (300). Po odzyskaniu wolności nie powrócił Joinville, jak wielu innych, do miłéj ojczyzny, uważając za hańbę pozostawiać bez ratunku towarzyszy w niewoli bisurmańskiéj, i dla tego ruszył z królem do Syryi (421). I tu unikał choćby cienia grzechu. „Łoże w namiocie moim, pisze, tak stało, że każdy wchodząc musiał mnie leżącego w niém widzieć, a to dla tego, aby nie miano mnie w podejrzeniu, iż obcuję z kobiétami. (502). Dowodem téż pobożności jest jego „*Credo*.“

Niepodobna przytaczać wszystkich przykładów bogobojności seneszala, dość, że był on godnym przyjaźni ś. Ludwika i nikt lepiéj odeń nie mógł opisać jego żywota.

Pytanie tylko, czy Joinville nie przedstawił siebie i króla w zbyt korzystném świetle. Myliłby się, ktoby go o to posądzał, gdyż był to mąż prawy, szczery, prawdomówny. Nieraz wspomina on, że nigdy nie ukrywał swych myśli przed królem (27). Nie wahał się nawet otwarcie ganić tegoż, np. że podczas pobytu w Syryi nigdy się nie dowiadywał o małżonkę i dzieci swoje (594), lub że nie chciał wylądować na Hyerach (653), lub wreszcie że pomimo niedomagania podjął wyprawę na Tunis (735). Równie szczerym był w obec królowej Małgorzaty. Gdy wieść o zgonie matki króla, Blanki kastylskiéj, przybyła do Sayette, Joinville pośpieszył na pokoje królowéj Małgorzaty, któréj Blanka nieraz srodze dokuczała, zdziwił się więc niepomału, widząc królową we łzach, dobrze znał bowiem stosunek obu kobiet do siebie. Zamiast tedy pocieszać płaczącą, rzekł z niechęcią: „Prawdę rzekł ten, co powiedział, że nie trzeba wierzyć kobiecie, gdyż zmarła była to kobieta, którąś jak najmocniéj nienawidziła, ale takie teraz po niéj żale zawodzisz“ (600). Pewnego razu chełpił się syn ś. Ludwika, król Filip, że wydał 500 liwrów, na stroje, na co Joinville odrzekł, iż lepiejby był uczynił, gdyby był rozdał owe pieniądze pomiędzy ubogich, a sam ubierał się skromnie jak ojciec (25).

Nie wstydził się nawet Joinville przyznać, że strach go ogarnął, gdy dostał się do niewoli. „I wtedy, opowiada, ze strachu zacząłem trząść się mocno i z choroby także“ (323). A przecież byłto nieustraszony rycerz, który niejednokrotnie narażał się na największe niebezpieczeństwa.

Nie wątpić więc, że Joinville, daleki od wszelkiéj obłudy i chełpliwości, pisał prawdę. „Nie chcę powiedzieć ani umieścić w mojéj książce, czegobym nie był pewien“, mówi sam w pewném miejscu, (738). Dzieło jego jest zatém najwiarogodniejszém źródłem do historyi przedostatniéj wojny krzyżowéj.

Opowieść Joinville'a żywa i zajmująca, sprawia jak największą przyjemność; czytając ją, nie czuje się znużenia ni nudy. Joinville bywa to wesołym i żartobliwym, to poważnym, to tkliwym i natchnionym. Często budzi wesołość opisem śmiesznych scen, które w niezrównany sposób przedstawia, jak np. mówiąc o omyłce królowéj Małgorzaty, która klęka przed rycerzem, przynoszącym jéj podarek od powracającego właśnie z pielgrzymki Joinville'a w téj myśli, że ów niesie relikwie. Zdziwiony rycerz klęka także. Na to królowa: „Powstań, panie rycerzu, nie powinieneś klękać, niosąc relikwie.“ — „Pani, odpowiada rycerz, to nie relikwie, lecz sukno, które ci pan mój przysyła“ — „Królowa i panny dworskie usłyszawszy to—dodaje Joinville—zaczęły się śmiać i królowa rzekła do mego rycerza: „Powiédz panu swemu, że mu złego dnia życzę, ponieważ z jego przyczyny klękłam przed suknem“ (601).

Rzadko zasępia się umysł Joinville'a, nawet w krwawéj bitwie pod Mansourah zachowuje przyrodzoną wesołość. Broni on z hrabią de Soissons mostu, chmura pocisków pada wokoło, grozi im jak największe niebezpieczeństwo. „Dobry hrabia de Soissons—dodaje Joinville— w tak trudném położeniu żartował sobie i rzekł: „Seneszalu, niechaj ryczy ta zgraja. *Par la Quoife Dieu* (tak się zaklinał) jeszcze o téj bitwie w komnatach pań rozprawiać będziemy“ (242).

Rozśmiésza także rzucona jakby od niechcenia uwaga o wielkim mistrzu Templaryuszów. „I w téj bitwie brat Wilhelm, mistrz Templaryuszów, stracił jedno oko, a drugie stracił był w zapusty i zginął ów pan, niechaj mu Bóg odpuści“ (270).

Opis bitwy pod Mansourah jest wogóle pełen życia, lecz cokolwiek zawiły, zamieszanie téż w téj bitwie było pono niemałe. To samo rzec można o wylądowaniu krzyżowców pod Damiettą. Okropny jest opis zarazy, odwrotu do Damietty i niewoli. Tu okazuje się Joinville mistrzem w przedstawianiu tragicznych, przerażających wypadków.

Czasami smutek ogarnia Joinville'a, np. przy rozstaniu się z swemi dziećmi i z swym pięknym zamkiem w Szampanii, lub przy opuszczeniu portu marsylskiego, który-to ustęp przytaczamy dosłownie:

„W połowie sierpnia wsiedliśmy na okręty w Marsylii. Dnia tego, kiedyśmy wsiadali, kazano otworzyć drzwiczki okrętu i wprowadzono konie, któreśmy mieli zabrać z sobą za morze; a potém zawarto drzwiczki i dobrze zabito, jak się zabija beczkę, dla tego, że gdy okręt jest na pełném morzu, całe drzwiczki są pod wodą.

„Gdy konie zostały wprowadzone na okręt, nasz kapitan zawołał na majtków, stojących w tyle okrętu, i rzekł im: „Skończy-

liście robotę?" A oni odrzekli: „Tak, panie; niechaj postąpią naprzód klerycy i kapłani." A gdy ciż nadeszli, kapitan rzekł im: „Śpiewajcie w imię Boże!" I zaśpiewali chórem *Veni Creator Spiritus*. A ów zawołał na majtków: „Rozpuście żagle, w imię Boże." I tak uczynili.

„I niebawem wiatr począł dąć w żagle i odjął nam widok ziemi tak, że widzieliśmy tylko niebo i morze. I codzień oddalał nas wiatr od kraju, gdzieśmy ujrzeli światło dzienne. I powiadam wam, że ten jest wielce nierozważnym, co ośmiela się podawać w takie niebezpieczeństwo z cudzém mieniem lub w grzéchu śmiertelnym, bo człowiek zasypia wieczorem, nie wiedząc, czy nad ranem nie będzie spoczywał na dnie morza" (125—127).

Poważne i uroczyste jest zakończenie dzieła. Snać wspomnienie zgonu ukochanego króla wyciska łzy z oczu starego seneszala, jakoż sam wyznaje, „iż słuszna opłakiwać śmierć tego świętego księcia" (758). Do prawdziwego, pełnego siły krasomówstwa wznosi się Joinville, mówiąc o kanonizacyi Ludwika. W uroczystym nastroju ducha grozi potomkom świętego karami bożemi, jeśli śladem jego postępować nie będą. Wzruszający wreszcie jest ustęp, w którym opowiada, jak mu się król ukazał we śnie. Na cześć jego wzniósł wdzięczny Joinville ołtarz w swéj zamkowéj kaplicy (766—767).

Podziwiać należy dowcip, rozum, szlachetne serce i żywą wyobraźnię autora, oraz nadzwyczajny wdzięk stylu. Joinville pisze, jak myśli, bez wysiłku, prosto od serca i tém zachwyca czytelnika i zmusza niejako do dzielenia z nim wszelkich uczuć. Ztąd téż dzieło Joinville'a nieskończenie większą ma wartość od współczesnych biografii św. Ludwika, skreślonych przez Geoffroy de Beaulieu i Wilhelma de Chartres, których styl, napuszony i naszpikowany biblijnemi cytacyami i alegoryami, nuży czytelnika.

Joinville tak zajmująco wszystko opowiada, że nie czuje się częstego powtarzania. Nie tylko bowiem cały prolog, ale także ustępy o franciszkaninie Hugonie, o pożyteczności doświadczeń bożych, o odpowiedzi króla na niesprawiedliwe żądanie biskupów, o obyczajach i zamiłowaniu pokoju króla, o Ryszardzie Lwie-serce znajdują się w drugiéj części, ale i w tejże znachodzą się powtarzania, np. o szczodrobliwości króla (690 i 720), lub o jego fundacyach (691, 723, 724). Przyczyną tego niepraktyczny podział dzieła, jako téż i ta okoliczność, że sędziwy Joinville nie pisał sam, lecz dyktował (2, 4, 19, 768).

Nie masz téż w dziele chronologicznéj ścisłości, mianowicie co do małoletności króla. Trzy tylko lata są podane: rok 1248, w którym Joinville wyruszył z królem do Egiptu, r. 1270, w którym umarł

Ludwik i r. 1309, w którym seneszal ukończył swe dzieło. Że jednak autor podaje miesiące i dni, przeto nietrudno zestawić wypadki w chronologicznym porządku.

Jak Herodot, odbiega Joinville często od głównego przedmiotu, skoro mu się cośkolwiek wydaje godném uwagi. Przytacza on rozmaite anegdoty, np. o królu Ryszardzie Lwie-serce lub o Henryku Le Large i Artaud de Nogent. Opowiada o bogactwach sułtana Ikonium i walce tegoż z królem Armenii, o „Haulequa“ czyli przybocznéj straży sułtana egipskiego, o księdzu Janie, o Starcu z Gór, o Kumanach, Persach i Tatarach, którzy wedle niego mieszkali w piasczystéj równinie, poczynającéj się „u stóp bardzo wysokich a dziwnych gór, położonych na końcu świata ku wschodowi“ (473). Mówi o obyczajach i religii tych ludów, o „ogniu greckim,“ o Nilu, który przybywa „z ziemskiego raju i przynosi imbir, rabarbar, cynamon i drzewo aloesowe“, wspomina nawet Norwegią, „która leży na końcu świata ku zachodowi“ (493).

Chętnie téż opisuje Joinville osobliwości, np. galery hrabiego Jaffy (158—159), obóz sułtana egipskiego, podarki, jakie król rozdawał i otrzymywał, jakiś cudowny kamień, który widział w Sayette „najdziwniejszy w świecie.“ Opis wielkiéj uroczystości w Namur 1241 r., w którym dokładnie podaje, jak książęta byli ubrani, w jakim porządku siedzieli, gdzie się uroczystość odbywała, przypomina bardzo opisy podobnych uroczystości, jakie się znachodzą w kronice Froissarta.

Takie są ramy, w które Joinville ujął wizerunek św. Ludwika.

III. **FROISSART.**

Chroniques. Bruxelles 1870 ed. Kervyn de Lettenhove.

Ville-Hardouin pragnie przedstawić zdobycie Konstantynopola jako zdumiewające, wiecznéj pamięci godne przedsięwzięcie. Joinville pisze żywot ś. Ludwika ku zbudowaniu potomności, celem zaś Froissarta, dziejopisa XIV w. (ur. w Valenciennes 1337, umarł jako kanonik chimay'ski na początku XV w.) jest podtrzymać i ożywić ducha rycerskiego sławieniem bohaterskich czynów i ogłady towarzyskiéj rycerzy swego wieku. Wzywa tedy młodzież do czytania swéj kroniki, „bo sława dobrych i dzielnych mężów podnosi ducha i budzi żądzę wielkich czynów.“ (Prolog).

Cel ten ciągle ma Froissart na oku. O każdym uwagi godnym czynie „*ung fet d'armes*“, o jakim kiedykolwiek posłyszał, a o którym nie wspomina poprzednik jego, wesoły i wojowniczy kanonik

leodyjski, Jehan le Bel, opowiada obszernie, jak np. o pojedynku Wilhelma de Montagut i Aleksandra de Ramesay pod Roxbourgh w obliczu angielskiego i szkockiego rycerstwa, dodając: „ten czyn nie powinien pójść w zapomnienie i dlatego téż począłem pisać tę książkę, że chcę i powinienem przekazać potomności piękne czyny" (II, 290). Walka „Trzydziestu" w Bretanii skłania go do podobnéj wzmianki. „Bardzo to zadziwiający czyn wojenny, o którym nie trzeba zapominać, lecz owszem trzeba go zapisać, aby pobudzić do naśladownictwa wszystkich młodych rycerzy" (V, 314).

Z upodobaniem opowiada o *„biaus fès d'armes"* Douglasów, Chandosa, Gautiera de Mauny, a mianowicie Bertranda du Guesclin, owego sławnego bohatera, co to w poczuciu własnéj wartości daje Księciu Czarnemu owę dumną odpowiedź, iż wszystkie dziewice Francyi prząść będą kądziel, by się przyczynić do jego wykupu z niewoli (VII, 523). Opisy wielkich bitew przeplata Froissart epizodami o czynach pojedynczych rycerzy, jak np. ślepego Jana czeskiego pod Crécy. Z uwielbieniem mówi o Edwardzie III, co to opuszcza kraj swój, by pod sztandarem Gautiera de Mauny walczyć jak prosty rycerz pod murami Calais. Rzuca on się na Eustachego de Ribemont, o którym wié, że jest „silny, śmiały i wielkiego ducha." Dwakroć pada Eustachy, dwakroć podnosi się i walkę odnawia. „Rycerzu, rzecze nareszcie do nieznanego przeciwnika, jestem twoim jeńcem" (V, 244). Król oddaje cześć mężnemu. Przy uczcie każe własnemu synowi, Księciu Czarnemu, służyć Eustachemu i kładzie mu na głowę własny perłowy dyadem w nagrodę za dzielność.

Z równą miłością opowiada Froissart o Czarnym Księciu, jak to w bitwie pod Crécy, prawie jeszcze chłopięciem będąc, wstrzymuje na czele strasznych swych łuczników nawał francuskich rycerzy, a po owéj *„grosse bataille"* pod Maupertuis przy uczcie podaje sam potrawy pojmanemu Janowi, królowi Francyi, wzbraniając się zasiąść przy jednym stole „obok tak dzielnego i potężnego monarchy" (V, 461). Froissart sławi rycerski umysł hrabiego Jana de Beaumont, który podejmuje pomimo przestróg krewnych niebezpieczną wyprawę do Anglii w interesie wygnanéj królowéj Izabeli i jéj syna Edwarda II, „gdyż wszyscy prawi rycerze powinni wspierać wedle sił damy i dziewice w niedoli, mianowicie gdy są o to proszeni" (II, 155). Także Jan Chandos i Sire de Basset zyskują pochwałę kronikarza, że w zamku Pois bronią przed brutalnością żołdactwa dwie piękne dziewice, córki pana de Pois (IV, 431), a z szczególném współczuciem opowiada, jak nieustraszony rycerz angielski, Jehan de Grailly, zdążając pani de Soubise na pomoc, popada w niewolę francuską.

A jak dzielności mężów, tak też i cnót niewiast gorącym wielbicielem był Froissart. Wzbudza w nim podziw bohaterska hrabina de Montfort, owa niewiasta „wielkiego ducha i lwiego serca“ (III, 416), która po dostaniu się męża do niewoli, sama wiedzie walkę o Bretanią i na czele swych rycerzy śmiałe podejmuje wyprawy. Z uczuciem wspomina małżonkę Edwarda III-go, Filipę de Hainnaut „najlepszą, najszczodrobliwszą, najłaskawszą panią swego czasu“ (I, 239. VII, 427), a w poetyczny zapał wprawia go równie piękna, jak cnotliwa hrabina Katarzyna de Salisbury „w owym czasie najpiękniejsza, najmilsza dama w Anglii“ (III, 444).

Jak północno-francuscy truwerzy, tak i Froissart jest przekonany, że miłość i gładkość obyczajów są koniecznym warunkiem prawego rycerza. Miłości przypisuje nadzwyczajną potęgę. Eustachy d'Aubrecicourt zawdzięczał wedle niego rycerską swą sławę miłości ku pewnéj znakomitéj damie (VI, 153), również Regnault de Roy (XIV, 122) i arabski książę Agadinguor (XIV, 252). Froissart opowiada rozliczne przygody miłosne, jakby na dowód, czego miłość dokazać zdolna. Aby damom oblężonego przez Anglików miasta Rennes ofiarować sześć kuropatw, które pewien angielski rycerz ułowił był pod murami miejskiemi, przepływa Olivier de Mauny w pełnéj zbroi szerokie fosy miasta i wydziera po zaciętéj walce owe kuropatwy rycerzowi, którego nadto bierze w niewolę (VI, 24).

Wyrażenia „*amour*“, „*amoureus*“ znachodzą się prawie na każdéj stronie kroniki Froissarta. Lecz niedość zyskać sobie z bronią w ręku zaszczytny przydomek „*chevalareux*“, trzeba też być „*amoureus*“, „*courtois*“, to jest rozmiłowanym, gładkim w obejściu i wykształconym. Kto takie łączy w sobie przymioty, zasługuje prawdziwie na miano rycerza. Jako wzór wszelkich cnót rycerskich stawia Froissart Guichard'a d'Angle. „Posiadał on — powiada (IX, 241) — wszelkie cnoty prawdziwego rycerza: był zacny, wesoły, wierny w miłości, roztropny, dyskretny, hojny, dzielny, śmiały, przedsiębiorczy i wielkiego animuszu.“

Na te rycerskie przymioty zwraca Froissart przedewszystkiém uwagę. Nierycerskiego czynu nie usprawiedliwia. Że „Here Hance“, czeski rycerz, na sławnym turnieju w St. Ingelvert pod Calais zadaje przeciwnikowi niedozwolone pchnięcie kopią (XIV, 122), że z winy Anglików ciężko ranny francuski rycerz Jakób de St. Martin, z którego ręki zginął Chandos, umiera w niewoli (VII, 459); że ciało zamordowanego Piotra Okrutnego, króla Kastylii, pozostawiono dłuższy czas bez pogrzebu (VII, 272); że Karol V, król Francyi, nie chciał wypuścić z niewoli Jana de Grailly, który niegdyś własną jego żonę i inne francuskie księżniczki obronił przed rozbójniczymi

chłopami (VIII, 368); że ścięto zakładników pod Derval na rozkaz księcia andegaweńskiego i Roberta Knolles (VIII, 298); że Yvain'a de Galles sromotnie zdradzono (IX, 74); że Jan de Marès ginie na rusztowaniu w Paryżu, chociaż mu nie dowiedziono winy (X, 199)— te i inne nieszlachetne uczynki gani Froissart, chociaż w umiarkowany sposób, jak wogóle nie zwykł był sądzić surowo. Często sąd o osobach i wypadkach pozostawia czytelnikowi. O dokonanych okrucieństwach i wiarołomstwie wspomina niechętnie (IX, 74). Jeśli to jednak czyni, to dla tego „aby potomności stawić przykład na oczy i pobudzić ją do dobrych czynów“ (XIV, 212).

Z rozkoszą natomiast prawi o prawości, poczuciu godności własnéj i kurtoazyi rycerzy. Czytając teraz po kilkuset latach o wielkich czynach wojennych, o wspaniałych uroczystościach, bankietach i turniejach, podczas których szczęśliwy rycerz z pięknych rąk niewieścich odbierał nagrodę, o zwyczajach dumnéj a walecznéj szlachty, mimowoli czuje się człowiek pociągniętym ku owym czasom poetycznéj anarchii. Jakże dopiéro na współczesnych działać musiały owe opisy! A jednak nie mógł Froissart powstrzymać następującego z wielu przyczyn upadku szwaleryi. Z boleścią tedy patrzał w sędziwym wieku na nową generacyą, zupełnie inną od téj, z którą wzrósł był i któréj czyny sławił w swéj kronice.

Lubo Froissart jest przedewszystkiém historykiem rycerstwa, to jednak okazuje się także sprawiedliwym dla innych stanów. Prawda, że jest przeciwnikiem gminu, który raz rozkiełznany straszne popełnia gwałty i dlatego potępia Froissart rokosz chłopów francuskich, zwany „*Jacquerie*“, jako téż powstanie Lolardów w Anglii (IX, 386) i owę „wielką dyabelskość“, czyli zaburzenia w Paryżu, Rouen i Gandawie (IX, 449), pomimo to z uznaniem mówi o pięknych czynach mieszczan. Z jakiém to ciepłem wspomina o patryotycznych mieszkańcach miasta La Rochelle, którzy na mocy pokoju, zawartego w Bretigny, przejść mają pod panowanie Anglików. Wolą oni oddać rocznie jako podatek połowę mienia królowi francuskiemu, niż ugiąć karku pod jarzmo angielskie. Zmuszeni wreszcie poddać się twardemu losowi, wołają z rozpaczą: „Przysięgać będziemy Anglikom ale usty, nie sercem“ (VI, 325).

Kogoż nie wzruszy opis poddania się miasta Calais i wielkodusznego poświęcenia się Eustachego de Saint-Pierre i pięciu jego towarzyszów! Ustęp-to tak piękny, że warto go przytoczyć w całości.

W mieście Calais, oblężoném przez Edwarda III, po długiéj, dzielnéj obronie wyczerpały się wszelkie zapasy żywności. Wskutek tego mieszczanie postanawiają się poddać, ale Edward III żąda aby sześciu najznakomitszych mieszczan w koszuli, boso, ze strycz-

kiem na szyi wręczyło mu klucze miasta i twierdzy. Na tych zemstę swą chce wywrzéć, innym daruje życie. Ten warunek oznajmia z polecenia króla Gautier de Mauny dowódzcy twierdzy, Janowi de Viane.

„Wtedy, opowiada Froissart, odstąpił pan Jan de Viane od strzelnicy i poszedł na rynek i kazał w dzwon uderzyć, aby się zgromadził wszelaki lud w dziedzińcu. Na odgłos dzwonu przyszli wszyscy, męże i niewiasty, gdyż bardzo spragnieni byli nowin jako ludzie, którym głód straszliwie dokuczał. Gdy wszyscy przybyli i zgromadzili się na miejscu, męże i niewiasty, pan Jan de Viane powtórzył bardzo łagodnie słowa, które przytoczono powyżéj, i rzekł im, że inaczéj być nie może i że powinni naradzić się i śpieszną dać odpowiedź. Gdy usłyszano relacyą, poczęli wszyscy biadać i płakać tak gorzko, że człowiek choćby najtwardszego serca musiałby miéć litość nad nimi, widząc ich boleść i słysząc ich lament. I niezdolni byli mówić na razie i dać odpowiedzi i samego pana Jana de Viane taka opanowała żałość, że płakał bardzo rzewnie“.

„Po chwili podniósł się najbogatszy mieszczanin, nazwiskiem pan Eustachy de Saint Pierre i rzekł: „ „Panowie, żałosną byłoby rzeczą i wielkiém nieszczęściem, gdyby taki lud jak tutejszy miał umierać z głodu lub inaczéj, a możnaby temu w jakikolwiek sposób zaradzić. I wielceby się zasłużył i miłą rzecz Panu naszemu uczynił ten, coby z tego nieszczęścia mógł go wybawić. Co do mnie, to mam taką ufność, iż się Bóg ulituje nademną, jeśli umrę dla ludu tego, że chcę być pierwszym. I zdam się chętnie na łaskę lub niełaskę możnego króla Anglii, w koszuli, boso, ze stryczkiem na szyi“ “.

„Skoro pan Eustachy de Saint-Pierre rzekł te słowa, wszyscy przejęci do głębi wielbić go poczęli i niewiasty i męże rzucali mu się do nóg, rzewnie płacząc. Litość brała słyszéć ich i patrzyć na nich“.

„Poczém inny bardzo znaczny i możny mieszczanin, który miał dwie piękne córki, powstał i rzekł, że będzie towarzyszył kumowi swemu, panu Eustachemu de Saint-Pierre, a zwał się pan Jan d'Aire“.

„Potém powstał trzeci, nazwiskiem pan Jakób de Vissant, człek bardzo mienny, i rzekł, że będzie towarzyszył swoim dwom krewnym. Toż uczynił pan Piotr de Vissant, brat jego, a potém dwóch jeszcze. I rozebrali się tam ci sześciu mieszczan do spodni i koszuli i włożyli sobie stryczki na szyję, wedle nakazu“.

„I wzięli klucze miasta Calais i twierdzy; każdy z sześciu trzymał ich pęk w ręku“.

„Tak poszło onych sześciu mieszczan z panem Gautier de Mauny, który ich powoli zaprowadził przed pałac króla, a pan Jan de Viane powrócił do miasta Calais“.

„O téj porze był król w swojéj komnacie w licznéin gronie hrabiów, panów i rycerzy, a skoro posłyszał, że mieszczanie z Calais nadchodzą tak, jak nakazał, wyszedł i udał się na dziedziniec przed swe mieszkanie, a owi panowie za nim. I nadeszło wielu innych, by widziéć mieszczan z Calais i zakończenie sprawy. I także królowa Anglii, która była ciężko brzemienną, udała się za królem, swym panem. I otóż nadchodzi pan Gautier de Mauny a mieszczanie za nim i zsiadł z konia i podszedł ku królowi i rzekł: „„Miłościwy panie, otóż przyszli przedstawiciele miasta Calais wedle twego rozkazu““. Król milcząc groźnie na onych spojrzał, gdyż bardzo nienawidził mieszkańców Calais z powodu wielkich szkód, jakie mu niegdyś wyrządzali na morzu“.

„Owych sześciu mieszczan przyklękło niezwłocznie przed królem i składając ręce rzekli: „„Miłościwy panie a królu, widzisz nas tu sześciu, co byliśmy potąd obywatelami Calais i zamożnymi kupcami. Przynosimy ci klucze miasta Calais i twierdzy i oddajemy ci je do użytku, a sami tak, jak nas widzisz, zdajemy się na łaskę lub niełaskę, by uratować resztę mieszkańców Calais; prze zacność twoją, racz miéć litość nad nami““. Zaprawdę nie było tam pana, rycerza ni innego męża, coby mógł był wstrzymać się od płaczu lub mówić ze wzruszenia. Król bardzo groźnie na nich spoglądał, gdyż miał serce tak twarde i takim gniewem zapalone, że nie mógł mówić. A gdy przemówił, rozkazał ściąć ich natychmiast“.

„Wszyscy obecni baronowie i rycerze płacząc błagali króla usilnie, aby miał litość nad nimi, lecz nie chciał o tém słyszéć. „„Panie Gautier, rzekł, zaprzestań, inaczéj być nie może, niechaj przyprowadzą kata. Mieszkańcy Calais tyle mi ludzi wygubili, że słuszna, aby ci dali gardło za to“.

„Wtedy szlachetna królowa Anglii, która była ciężko brzemienną, tak się zaniosła od płaczu, że podtrzymać ją było trudno. I padła do nóg królowi, panu swemu, i rzekła: „„Ach! miłościwy panie, odkąd przebyłam morze z wielkiém niebezpieczeństwem, jako wiész, o nic cię nie prosiłam. Teraz proszę cię pokornie i błagam, abyś dla miłości syna Najświętszéj Panny i z miłości ku mnie zlitował się nad tymi ludźmi“.

„Król przez chwilę nic nie rzekł, patrząc na dobrą panią, małżonkę swą, która była ciężko brzemienną i klęcząc przed nim płakała bardzo rzewnie. I zmiękło mu serce, gdyż nie chciał jéj zasmucać w stanie, w jakim się znajdowała, i rzekł: „„Ha! pani, wolałbym,

żebyś była gdzieindziéj, niż tutaj. Prosisz tak usilnie, że nie śmiem ci odmówić, i chociaż niechętnie to czynię, masz ich, daruję ci ich, zrób z nimi, co chcesz"". Dobra pani odrzekła: „ „Miłościwy panie, jak najmocniéj dziękuję"".

„Wtedy powstała królowa i kazała powstać sześciu mieszczanom i zdjąć im stryczki z karków i powiodła ich do swéj komnaty i kazała im się ubrać i posiłek im podać. A potém dała każdemu po dwadzieścia franków i poleciła wyprowadzić ich za obóz w bezpieczne miejsce".

Froissarta zajmuje także los biednego ludu wiejskiego, dręczonego i wysysanego podatkami i wojną, którą Froissart „dyabelskiém dziełem" nazywa (IX, 159). Obrusza on się na wielkie podatki, jakie Czarny Książę nałożył na mieszkańców Akwitanii (VII, 200), na zdzierstwo i chciwość książąt medyolańskich (XV, 254), jako też stryjów Karola VI i innych panów (XV, 108). Nic dziwnego, że poniewierane chłopstwo, zgrzytając zębami, z zaciśniętą pięścią wołało za francuskiém rycerstwem, ciągnącém do Anglii: „„Héj! idźcie do Anglii, aby stopa wasza więcéj tu nie postała!"". (XII, 4). Chwali natomiast Froissart Karola V, który umierając upominał braci i syna, aby znieśli jak najprędzéj podatki, pod których ciężarem chłopstwo upadało.

Froissart opisuje wypadki tak, jak następowały po sobie. Stądto przechodzi to do spraw Francyi, to Anglii i Szkocyi, to Hiszpanii i Portugalii, to Włoch, a nawet Węgier i Afryki. Kronika jego składa się z pojedyńczych szkiców, które razem wzięte tworzą wielki obraz XIV wieku, a każdy z nich jest z prawdziwém mistrzowstwem skreślony, czy go w pierwszéj, czy w czwartéj czytamy redakcyi. Dzieło Froissarta zajmuje nadzwyczaj. Styl jego jest lekki niewymuszony, prosty a malowniczy. Wspaniały jest opis olbrzymich walk pod Sluys, Crécy, Maupertuis, Najarą, Otterburnem, Nikopolem, okropny—srożenia się francuskich chłopów i Lolardów, nadzwyczaj dramatyczny—śmierci Jakóba d'Artevelde, pierwszego wybuchu szaleństwa Karola VI podczas wyprawy do Brytanii, napadu na konetabla Olivier de Clisson, stosunku Gastona dę Foix do syna, „tańca dzikich" *(danse des sauvages)* na dworze Karola VI w Paryżu i wielu innych scen, których wyliczać niepodobna. Liczne pojedynki przypominają żywo Iliadę i słusznie rzec można, że, jeśli szczęśliwym nazwano Achillesa, iż Homer opiewał jego czyny, i rycerstwo XIV wieku szczęśliwém mienić się godzi, iż takiego miało historyka. Do poetycznéj wysokości wznosi się Froissart, opowiadając o sławnéj miłości Edwarda III do hrabiny Salisbury—wdzięczny zaiste temat dla autora *„Espinete amoureuse"* i owych *„beaux dittiers et*

trettiés amoureus“, które układał dla szlachetnéj swéj protektorki, królowéj Filipy (XIV, 1). Pono myślał wtedy Froissart o swéj własnéj nieszczęśliwéj miłości młodzieńczéj.

Ville-Hardouina powieść jest żywą, lecz ponurą i łez pełną, bo, jak słusznie zaznacza Kervyn de Lettenhove w przedmowie do wydania swego, autor dyktował ją wśród ciągłych walk i niebezpieczeństw, a nie miał czasu dać przystępu delikatniejszym uczuciom. Weselsza spokojniejsza, wdzięczniejsza jest powieść Joinville’a który w spokoju dyktował spomnienia lat młodzieńczych na swym zamku w Szampanii. Froissart zaś patrzał własnemi oczami na wielkie wypadki dziejowe, nie mając w nich sam, jako prosty ksiądz, udziału. Bujną jednak obdarzony wyobraźnią, gorącém sercem i zdumiewającą czerstwością umysłu i pamięcią, żywo wszystko odczuwał i żywo téż wyrażał swoje uczucia i myśli, nie biorąc sobie za wzór nikogo ani ze współczesnych ani z poprzedników swoich.

Prawie mimowoli, bez wysiłku, kilku prostemi słowy wywiera Froissart na czytelniku nadzwyczajne wrażenie. Jak uderzającym jest np. ów wjazd tryumfalny Czarnego Księcia do Londynu po bitwie pod Maupertuis! Książę jedzie skromnie na niewielkim karym koniu, obok niego zaś jego jeniec, król Jan V, na wielkim, siwym, wspaniale przybranym bachmacie (VI, 18). Nie mniejsze wrażenie sprawia owa scena, kiedyto nieszczęśliwy król angielski Ryszard II, zdradzony i pozbawiony tronu, w końcu i téj przykrości doznaje, że ulubiony jego pies gończy odwraca się od niego i łasi się zwycięscy, księciu Lankasterskiemu! (XVI, 187).

Po bitwie pod Maupertuis największe zamieszanie powstaje we Francyi. Najznaczniejsi panowie zginęli lub jęczą w angielskiéj niewoli, pogarda ściga tych, co w sromotnéj ucieczce uratowali wolność i życie. Wprawdzie książę Normandyi sprawuje rządy, ale nie ma powagi. Obok niego, w jego własnym zamku padają pod ciosami morderców jego radcy, tak że krew ich obryzgiwa szaty księcia. On sam widzi się zmuszonym opuścić Paryż. Tu nowa podnosi się potęga, Marcel „*prévos des marchands*“, który politykuje na własną rękę. Pograniczne zamki wydzierają Francuzom Anglicy. Niepłatne, bezczynne żołdactwo, niszcząc i paląc, kręci się po kraju. Rycerze stają się rozbójnikami, jak ów Renault de Cervole, zwany *l’Arceprestre*, który papieżowi Innocentemu VI w Awinionie takiego napędza strachu, że go przyjmuje w rezydencyi swojéj, „jak gdyby był synem króla francuskiego“, pokilkakroć sadza przy swoim stole wraz z kardynałami, wszystkie mu grzechy odpuszcza i wreszcie, by się go pozbyć, znaczny mu daje okup. W tymże czasie podnosi się chłopstwo „*Jacques Bonhomme*“ przeciwko szlachcie, która we-

dle jego mniemania przywiodła kraj do upadku. Rozjuszeni chłopi popełniają straszne zbrodnie, szlacheckie zamki idą z dymem, rycerze z żonami i dziećmi giną wśród okropnych katuszy. Chłopi szaleją „jak psy wściekłe“ (VI, 51). I temu to ponuremu obrazowi przeciwstawia Froissart w prostéj opowieści wesołą niewolę króla Jana V, który o własnéj i narodu niedoli zapomina wśród łowów, uczt i pląsów w pięknym zamku windsorskim (VI, 19).

Niemałą ozdobą dzieła Froissarta są zajmujące wzmianki o miastach, zamkach i okolicach, w których rozgrywają się wojenne wypadki.

Jakże odbija od wesołych błoń Flandryi i Hennegau'u ponura, dżdżysta, dzika Szkocya ze swemi nagiemi skałami i olbrzymiemi lasami, w których Szkoci chronią się przed angielskim najazdem! Froissarta zawsze żywo zajmuje natura. Z lubością mówi o *„douce saison“*, kiedy to pola się zielenią, lasy świeżym się okrywają liściem, morze się wygładza, wiatry szaléć przestają. *„Grant plaisance i grant beaulté“* jest dla kronikarza widok okrętów, prujących fale morskie (XIV, 215), jako też pochód wojska, gdy chorągwie powiewają, zbroje w promieniach słońca błyszczą, trąby, piszczałki i kotły rozbrzmiewają (X, 219, XIV, 157). Nic nie uchodzi bacznéj uwagi kronikarza, nawet herby, godła i zbroje niezliczonych rycerzy opisuje z jak największą dokładnością.

„La principale matère“ olbrzymiéj kroniki Froissarta, którą pisał z polecenia i na koszt najprzód królowéj Filipy angielskiéj a późniéj Guy'a de Chatillon, hrabiego de Blois, pana na Avesne, Chimay i Beaumont (XIV, 1), są, jak sam wyraźnie wspomina (V, 314), krwawe wojny pomiędzy Francyą a Anglią, wybuchłe o koronę francuską po wygaśnięciu starszéj linii Kapetyngów. Dzieło, nad którém 40 lat bezustannie pracował, a które zjednało mu nieśmiertelność, poczyna się wstąpieniem na tron Filipa Walezego, a kończy zrzuceniem z tronu Ryszarda II-go, nie wiele lat przed zgonem autora. Froissart jednak opowiada i takie wypadki, które nie odnoszą się ściśle do głównego przedmiotu, byleby godne były pamięci. Spotyka gdzie podczas ciągłych, dalekich swoich podróży, które odbywa konno, z gończym psem na smyczy, jakiego rycerza czy to z Francyi, czy z Anglii, czy z Hiszpanii, Włoch a nawet Cypru, tedy się do niego przyczepia i przepędza z nim dni i noce, by się tylko czegoś dowiedziéć (XI, 23. XII, 218). Przebywa także na dworach królów, książąt i szlachty, wszędzie mile widziany. Obdarzony, wedle własnego orzeczenia (XI, 2) rozumem, nadzwyczajną pamięcią, spostrzegawczym zmysłem, silném zdrowiem, zewsząd zbiera Froissart, jak Herodot, z którym wielkie ma podobieństwo, wiadomości

i sprawdza na miejscu to, co mu opowiadano, uważając ścisłość za główny obowiązek kronikarza (Prolog). Tak wybiera się w późnym wieku do Anglii i zwiedza dwór królewski i zamki angielskich baronów, by odeprzéć potwarczą opowieść Jana le Bel o hrabinie de Salisbury (III, 273). Przebywa on kolejno w Anglii, Szkocyi, Bretanii, na dworze Gastona de Foix, w Awinionie, w Paryżu, Medyolanie, Rzymie, a powróciwszy z dalekich podróży, spisuje spokojnie w Chimay, co widział, co słyszał.

I właśnie ta niezmordowana gorliwość w badaniu prawdy sprawiła, że kronika jego odznacza się bezstronnością, czém się sam chlubi, i słusznie, bo niełatwą było rzeczą pozostać bezstronnym w czasie kościelnéj schizmy i wojen Francyi z Anglią, Anglii z Szkocyą, Geldryjczyków z Brabantami, Holendrów z Fryzami; w czasie, kiedy to w Hiszpanii wojował Piotr Okrutny z Henrykiem Trastamare, w Bearn hrabiowie de Foix z hrabiami d'Armagnac, w Bretanii hrabiowie de Blois z hrabiami de Montfort, w Flandryi książęta z miastami; w czasie, kiedy to najznakomitsi książęta i rycerze, a między tymi znajomi i dobroczyńcy Froissarta, jak np. hrabia Jan de Beaumont, walczyli pod sztandarem to Francyi, to Anglii, kiedy nawet mąż do jednego a żona do drugiego należeli stronnictwa (VIII, 77). Froissart podziwia naród angielski, ale nie jest nieczułym na nieszczęścia Francyi. Sławi bohaterskie czyny Księcia Czarnego, ale nie tai srogości jego dla mieszkańców miasta Limoges. „Litości, miłościwy panie, litości!“ — błagają na klęczkach męże, niewiasty i dzieci. Napróżno! Z zimną krwią morduje ich żołdactwo na rozkaz rozgniewanego księcia. „A nie wiem, jak mogli nie miéć litości nad biednymi ludźmi — dodaje z boleścią Froissart — Bóg niechaj się nad ich duszami ulituje, bo byli zaiste męczennikami“ (VIII, 41). Filip VI i Jan V nie okazują się w powieści Froissarta w zbyt jasném świetle, ale uznaje on ich osobistą waleczność. Filipa zowie często *„vaillans homs durement“*, a męstwu Jana V świetne wystawia świadectwo w opisie bitwy pod Maupertuis. Już są pierwsze szyki francuskie rozbite, już wielu francuskich rycerzy pierzcha sromotnie, już się zwycięstwo przechyla stanowczo na stronę Księcia Czarnego, ale niezłamany niespodziewaną klęską Jan, zeskakuje z okrzykiem: *„à piet, à piet!“* z konia i walczy pieszo z berdyszem w ręku, widziany przez wszystkich, pod sztandarem Francyi, woląc popaść w moc zbuntowanego lennika, niż ucieczką skazić honor rycerski (V, 444).

A jak pojedyńczych ludzi, tak téż i całe narody ocenia Froissart. Chwali, co chwalebném, gani, czego usprawiedliwić nie może. Tylko Niemcy wstręt w nim budzą. Chwaląc rycerskie obyczaje

Francuzów i Anglików, oburza się na niegodziwe postępowanie Niemców z jeńcami, na ich chciwość, srogość i znęcanie się nad tymi, co mają nieszczęście dostać się w ich szpony (VIII, 50. X, 229).

Że Froissart niezawsze ścisłym jest i dokładnym, nic dziwnego, zważywszy sposób, w jaki zbierał materyał do swego dzieła i niezliczoną ilość i drobiazgowość wypadków. Niedokładności sprostował Kervyn de Lettenhove w przypiskach do znakomitego swego wydania kroniki Froissarta.

Froissart nie zapuszcza się w głębsze badania, trudno się w nim dopatrzyć politycznych zasad, statystyka, prawodawstwo nie wchodzą w zakres jego kroniki. Główną dla niego rzeczą jest opowiadanie. Naiwnie więc opowiada wszystko, nawet najdziwaczniejsze rzeczy, jak o owym duchu Hortonie, który z szybkością błyskawicy znosi wszelkie nowości świata panu de Corasse (XI, 195), albo o owym rycerzu, co to przedzierzgnięty w niedźwiedzia pokutuje w lasach biskajskich (XI, 105), lub o cudownéj sile „oriflamy“ (X, 168), lub wreszcie o cudach podczas wyprawy chrześcian do Afryki (XIV, 234). Że jednak wszystkie rysy szwaleryi malował prawdziwie i wielkie wypadki XIV w. obszernie i pięknie opisał, przeto téż sprawdziło się, co mu Gaston de Foix i on sam sobie przepowiadał (XI, 2),— potomność z zajęciem i podziwem czyta wielkie dzieło jego.

IV. PHILIPPE DE COMINES.

Petitot, Collection des Mémoires XI, XII. XIII.

Czwartym z kolei wielkim historykiem francuskim średnich wieków jest Filip de Comines, sire d'Argenton (1445—1509), którego dzieło obejmuje panowanie Ludwika XI i Karola VIII od roku 1464 do 1498. Pomiędzy nim a Froisartem zachodzi jak największe przeciwieństwo. Co Froissart podziwiał, nad czém się unosił, to Comines'owi zupełnie obojętném. Nic dziwnego, gdyż w przeciągu lat stu, które dzielą obydwóch, zmieniły się prawie zupełnie język, urządzenia, wyobrażenia i obyczaje we Francyi. Bitwa pod Azincourt, najsromotniejsza klęska rycerstwa francuskiego, zadała cios ostateczny dawnéj szwaleryi. Nie w szlachcie, nie w duchowieństwie, nie w butném mieszczaństwie, lecz w wiejskim ludzie odezwało się silnie poczucie narodowéj godności z przymieszką religijnego zapału. Przedziwna to postać Dziewicy Orleańskiéj dokazała cudu. Ona to podniosła wysoko zbeszczeszczony sztandar Francyi i zwróciła wolność narodowi. Z koronacyą w Rheims, z osadzeniem na tronie francuskiego księcia, bożego wedle mniemania ludu

wybrańca, uzyskała korona zupełnie nowe stanowisko. Wszystko kupiło się około tronu wobec grożącego jeszcze od Anglików niebezpieczeństwa.

I ten to niespodziewany obrót wypadków dozwolił Karolowi VII-mu rozpocząć przeobrażenie Francyi w państwo nowożytne. Zaprowadzono stałe wojsko, uporządkowano finanse, sądownictwo, stosunek kościoła do państwa. Ale jeszcze niezłamana była potęga wielkich baronów francuskich. Jak hrabiowie Périgordu wypisywali na sztandarze swoim dumne godło „*Re que Diou*“ (Bóg tylko królem), tak też i inni możnowładcy za nic nie chcieli się zrzec swéj samodzielności, krocząc utartym przez przodków torem, a przedewszystkiém potężny książę burgundzki, Karol Śmiały. On to w roku 1464 staje na czele owéj ligi „*du bien publicque*“, w któréj lenni książęta francuscy łączą się przeciwko koronie.

Pytanie tedy było, kto zwycięży, król czy książęta? Walkę z nimi podejmuje Ludwik XI-ty i ona to stanowi najważniejszą część dzieła Filipa de Comines. W mistrzowski sposób przedstawia on, jak król miażdży zuchwałych panów nie osobistą przewagą, nie zasobami państwa, nie wojnami wielkiemi, lecz bezwstydną, wiarołomną polityką, niewyczerpanemi fortelami, dobremi i złemi środkami. Niechętnie widzi Ludwik XI możnych panów na swoim dworze, woli on towarzystwo ludzi niskiego stanu, udaje skromność, chodzi w lichéj odzieży, nosi filcowy kapelusz, ale chytry ten człowiek tak zręcznie usidla swych wrogów, że jeden po drugim korzy się przed nim. Wreszcie w walce ze Szwajcarami ginie dumny Burgundczyk. Ale wewnętrznego pokoju uzyskać Ludwik nie może. Czując, że siły jego słabną, stara się czerstwym okazać, sprowadza z dalekich krajów z niezmiernym kosztem psy gończe, konie, lwy i renifery (XII, 380). Wbrew swemu zwyczajowi poczyna się stroić, pokazuje się w błyszczącéj zbroi, ale najchętniéj przebywa po za grubemi murami zamku Plessis les Tours, otoczony szkockimi najemniki. Biada temu, co niebacznie przybliży się do zamku; schwytany przez siepaczy, ginie na palu. Z trwogą oczekuje ponury tyran śmierci. Na wieść o niéj cała Francya oddycha swobodniéj.

Takiego króla poufnym i wiernym sługą był od r. 1472 Comines. Niejednokrotnie zowie on go „*nostre bon maistre*“ i nie gorszy się bynajmniéj machiawelską polityką Ludwika. Gdy tenże pomimo zawartego w Conflans układu, wydziera własnemu bratu Normandyą, nie znajduje Comines słowa nagany, lecz zakończa opowieść uwagą, iż „mądry“ książę, który stoi na czele 10,000 zbrojnego męża, więcéj zdziałać może, niż dziesięciu książąt razem, z których każdy z osobna ma 10,000 wojska na zawołanie (XI, 429). Co-

mines nie oburza się na to, że Ludwik XI podszczutych przeciwko Karolowi Śmiałemu Leodyjczyków haniebnie opuszcza (XI, 496); że wbrew przyrzeczeniu pali miasta (XII, 194); że podstępem gubi przeciwników; że się dopuszcza zdzierstw (XII, 405); że przekupuje sługi angielskiego króla Edwarda IV, a jednego z nich, wielkiego podkomorzego Anglii, nawet chwali i „ceni“ za to, iż nie chce dać kwitu na odebrane od króla francuskiego pieniądze (XII, 327). Comines uważa nawet Ludwika XI zdolnym poświęcić z zimną krwią własnych zakładników (XI, 486). Z obojętnością opowiada o srogości i dyabelskich wynalazkach króla, jak o owych żelaznych okowach z ciężkiemi żelaznemi sztabami i kulami, co to je *„fillettes du Roy“* zwano, lub o owych strasznych żelaznych klatkach, w których Ludwik XI trzymał całe lata nieszczęśliwe swoje ofiary. Sam Comines w takiéj klatce przesiedział czas niejakiś, gdy się w roku 1486 wdał w sprzysiężenie przeciwko regentce Annie de Beaujeu. (XII, 402).

Niesłuszną jednak byłoby mniemać, iż Comines jak pan jego pozbawiony był całkiém pewnego rodzaju zasad moralnych. Często w swych pamiętnikach wskazuje on Boga jako źródło wszelkiéj pomyślności i szczęścia. Wszelkie złe przypisuje niewierze (XII, 306) i w losach jednostek, jak całych narodów widzi sąd Boga, który broni i podwyższa tych, co go czczą (XIII, 183, XIII, 181), a karze prędzéj czy późniéj pysznych i bezbożnych (XII, 98. XII, 311. XII, 389, XIII, 221). A jak z niechęcią mówi o okrutnych rządach Ludwika Moro i królów Neapolu, Ferdynanda i Alfonsa, tak też i ostatnie chwile Ludwika XI-go, którego w samotnym zamku Plessis les Tours dręczą haniebnie niegodni zausznicy, golarz Olivier i lekarz Cothier, pobudzają go do potępienia w prawdziwie wymowny sposób występku i tyranii.

Czemuż tedy Comines wbrew swemu przekonaniu tak pobłażliwie sądził Ludwika XI? Przyczyną tego była nie tylko osobista wdzięczność, ale i olśniewający statystę niezwykły rozum króla. Podziwiał on człowieka, który z przedziwną zręcznością usuwał wszelkie zapory, który podniósł niezmiernie swą władzę i znaczenie i uczynił Francyą jednolitém i silném państwem. Dla tego zowie go *„prince digne de très excellente mémoire“* (Prolog), hołdując myśli, jaką Karol W. w sławnéj Manzoniego tragedyi „Adelchi“ wypowiada:

> „Un re non puote
> Correr l'alta sua via, senza che alcuno
> Cada sotto il suo pie!“

Przebiegłość, zręczność, rozum, oględność w zamysłach, siła w wykonaniu, oto przymioty, gwoli których Comines wybacza nie-

raz mężom stanu zboczenia moralne. A jak Ludwikowi XI, tak téż i Wenecyi nie szczędzi pochwał z téj samej przyczyny. „Jestto najwspanialsze miasto, jakie kiedykolwiek widziałem, i najmędrzéj się rządzące“ (XIII, 83). Gniewa go natomiast polityczna nieudolność Karola VIII i jego doradców, którzy lekkomyślnie podejmują wyprawę na Neapol, a owoce niespodziewanego zwycięstwa marnują bezprzykładnemi błędami. Jako patryota francuski boleje nad nieszczęśliwym końcem téj wyprawy, ale patryotyzm nie powstrzymuje go od wypowiedzenia, iż Francuzi narazili cześć swoję na szwank zdzierstwami, pychą i wiarołomstwem. Zresztą chwali osobistą dobroć Karola VIII. „Sądzę, mówi, że nikomu nigdy przykrego słowa nie powiedział“ (XIII, 230). Sąd ten na tém większe zasługuje uznanie, że Comines sam nie doznawał względów królewskich (XIII, 230).

Często przeplata Comines opowieść swoję rozmaitemi uwagami, ze względu na które mówi: „Głupi i prostacy nie będą się rozkoszowali temi pamiętnikami, ale książęta lub ludzie przebywający na dworze znajdą w nich dobre, zdaniem mojem, wskazówki“ (XII, 56). W tych wskazówkach, których celem pouczanie książąt i statystów, okazuje się zdrowy sąd, praktyczny zmysł i doświadczenie dobrze obeznanego ze sprawami państwa męża. Radzi tedy, aby książęta wychowywali starannie swe dzieci, aby im dobre tylko książki czytać pozwalali i dodawali im do boku zacnych i doświadczonych mężów. Ostrzega monarchów, aby nie lekceważyli sobie nieprzyjaciół, nic nie podejmowali bez rozwagi, aby pokój przekładali nad wojnę, bo przegrana bitwa zawsze złe pociąga za sobą skutki (XI, 461), aby się wystrzegali bezbożności, niepotrzebnéj surowości, a przedewszystkiém, pychy, bo wedle trafnego orzeczenia Ludwika XI „wielka pycha jedzie naprzód, a wstyd i szkoda tuż za nią“ (XI. 461). Radzi daléj, aby się nie spuszczali na własny sąd, aby pilnie śledzili, co się dzieje w krajach postronnych, aby zapobiegali wewnętrznym rozruchom, aby nie uciskali ludu, mianowicie w świeżo zajętych krajach, a przedewszystkiém aby nie nakładali samowolnie podatków, żaden bowiem książę nie ma prawa czynić tego „ale, dosyć jest głupców, co nie wiedzą, co im wolno lub nie“ (XII, 303, XII, 299). Tylko z przyzwoleniem poddanych wolno królowi ściągać podatki, ale i poddani nie powinni sprzeciwiać się królowi, skoro niebezpieczeństwo grozi ojczyznie. Przy téj sposobności sławi Comines wolne instytucye Anglii. Widać stąd, że Comines, lubo służył despocie, zachował jednak poczucie praw ludu.

Comines jest historykiem w całém znaczeniu tego słowa. Joinville i Froissart wydają się w porównaniu z nim prostodusznymi opowiadaczami, którzy opisują bardzo pięknie pojedyncze wypadki,

nie zdając sobie jednakże z nich sprawy. Comines natomiast rozważa przyczyny i skutki każdego ważniejszego wypadku, stara się go zrozumiałym uczynić i wyjaśnić jego doniosłość i dowodzi, jak wszystko pozostaje w związku z sobą. Bitwy zajmują go tylko o tyle, o ile pociągają za sobą polityczne przeobrażenia i w tém się téż bardzo różni od Froissarta. Stądto nie opisuje szczegółowo wielkich zwycięstw Szwajcarów pod Granson, Murten i Nancy. Starannie natomiast zajmuje się biegiem układów i bada pobudki i zamiary działających osób.

Jako bystry spostrzegacz i statysta poświęca uwagę wewnętrznemu ustrojowi państwa. Podaje on bardzo zajmujące szczegóły o dochodach książąt i miast. Z pamiętników jego dowiadujemy się np. że pobierano rocznie 950,000 franków w Normandyi (XI, 418); że „*taille*“ za Karola VII we Francyi wynosiła rocznie 1,800,000 franków, za Ludwika XI 4,700,000 franków, za Karola VIII 2,500,000, więc tyle, ile mu stany ofiarowały z własnéj woli przy wstąpieniu na tron; z dóbr zaś koronnych miał rocznego dochodu milion franków (XII, 273. XIII, 223); że Karol Śmiały odziedziczył po ojcu 300,000 talarów w gotówce i że mu poddani jego, nie licząc księstwa burgundzkiego, 350,000 talarów rocznie na 10 lat pozwolili (XII, 180); że Ludwik Moro rocznie zdzierał z poddanych swoich 700,000 dukatów „*qui est grande tyrannie*“ (XIII, 14); że poddani papieża, gdyby nie wewnętrzne rozterki, bardzo szczęśliwieby żyć mogli, gdyż nie płacą żadnych „*aides*“, a papieże są zawsze „*sages et bien conseillez*“ (XIII, 59). Nie zapomina Comines zaznaczyć, że Karol VII miał stałego wojska 1700 ludzi, Ludwik XI zaś 4—5000 jazdy i 25,000 piechoty (XII, 374); że szwajcarskiemu knechtowi płacono miesięcznie 4½ niemieckich złotych, konnemu zaś „*homme d'armes* we Włoszech 100 dukatów rocznie (XIII, 31) itp.

Filipa de Comines nie zajmuje tyle zewnętrzna postać miast, krom Wenecyi, któréj się szczególnie okazuje przychylnym, ile ich ważność pod względem handlowym i komunikacyjnym, ich wewnętrzny ustrój i źródła dochodów.

Wielbicielem natury, jak Froissart, nie jest Comines. Mąż to raczéj, w którym rozum i zimne obrachowanie górę bierze nad uczuciem. Stąd i styl jego prosty, naturalny, odpowiedni przedmiotowi, ale nie suchy. Charakterystyki Edwarda IV, Karola Śmiałego, Karola VIII, Ludwika Moro, Savonaroli, o którym wspomina z uszanowaniem, mieniąc go „świętym“ mężem, a szczególnie Ludwika XI są wyborne. Z życia Ludwika XI takie opowiada sceny, które dosadnie malują charakter tego człowieka. Dzień po rozmowie z Edwardem IV, z którym właśnie zawarł pokój, pozwala sobie Lu-

dwik w gronie zaufanych osób złośliwą uwagę o winie i podarkach, jakie posłał do obozu angielskiego. W tém spostrzega nagle gaskońskiego kupca, który wszedł był do komnaty niepostrzeżenie, chcąc prosić króla o jakąś łaskę. Ludwik „*très esbahy*“ dowiaduje się z przerażeniem, że ów człowiek mieszka w Anglii. Natychmiast tedy skłania się do jego prośby, nie pozwala mu jednak powrócić do Anglii, lecz każe go odprowadzić do Bordeaux, gdzie mu daje korzystny urząd i dokąd każe mu na własny koszt sprowadzić żonę z obawy, aby przypadkiem ów kupiec sam się nie wybrał do Anglii i tam nie wygadał się z tém, że słyszał, jako król szydził sobie z Anglików, o których przyjaźń mu chodziło (XII, 160).

Chytremu Ludwikowi nie zawsze się jednak udaje wywieść innych w pole. Starał się on wszelkimi sposoby nakłonić starego cesarza Fryderyka III, którego Comines zowie „największym sknerą swego czasu“, aby wspólnie napadli Karola Śmiałego i posiadłościami się jego podzielili. Ale Fryderyk, wiedząc, z kim ma do czynienia, kazał przez posła swego opowiedzieć królowi anegdotę o owych trzech towarzyszach, co to chcieli zapłacić rachunek szynkarzowi skórą niedźwiedzia, którego dopiero zabić mieli. I taką to odpowiedzią pozbył się cesarz nagabywań (XII, 118).

Dzieło Filipa de Comines jest jedném z najciekawszych zjawisk literackich XV wieku. Zupełnie odmienne od innych francuskich kronik średniowiecznych, w których spisywano naiwnie wszystko, co podpadało pod zmysły, świadcząc wymownie o geniuszu autora, okazuje zarazem olbrzymi postęp, jaki historyografia uczyniła w końcu XV wieku. Comines jako historyk w ścisłém znaczeniu tego słowa niezaprzeczenie wyżéj stoi od Ville-Hardouina, Joinville'a i Froissarta. Pomimo to pamiętniki jego niezdolne są zatrzéć uroku utworów owych mężów. Jako niepospolite płody ducha ludzkiego średnich wieków, nigdy pomimo przestarzałego języka budzić one zajęcia nie przestaną, bo noszą na sobie niezatarte piętno młodzieńczéj świeżości i gieniuszu.

Dr. Stanisław Karwowski.

LICHWA NA WSI

W CESARSTWIE NIEMIECKIEM.

Der Wucher auf dem Lande. Berichte und Gutachten veröffentlicht vom Verein für Socialpolitik. Lipsk 1887.

Zasłużone stowarzyszenie ekonomistów niemieckich, znane pod nazwą *Verein für Socialpolitik*, pragnąc zgromadzić materyał faktyczny dla teoretycznych dociekań, urządza od lat kilku ankiety w najważniejszych sprawach społecznych, będących obecnie na dobie. Zdobyte w ten sposób dane ogłasza następnie drukiem. Dzięki tym usiłowaniom otrzymał już świat uczony kilkanaście tomów nadzwyczaj cennych rozpraw i wiadomości o faktycznym stanie rzeczy w cesarstwie niemieckiém co do sprawy terminatorów i szkół rzemieślniczych, co do położenia własności chłopskiéj oraz kwestyi mieszkań dla uboższych warstw ludności; obecnie zaś wyszedł pod wskazanym w nagłówku tytułem bardzo pouczający tom sprawozdań o lichwie po wsiach we wszystkich prowincyach państwa niemieckiego. Sprawozdania te tém większą mają wartość, że Stowarzyszenie nie ograniczyło się tylko do zebrania wiadomości o lichwiarskich operacyach w ich najprostszéj, bezpośredniéj formie, polegającéj na pobieraniu nadmiernie wysokich procentów od pożyczek pieniężnych, lecz pod pojęcie lichwy słusznie podciągnęło wszelkie tego rodzaju tranzakcye handlowe, w których jedna ze stron, wyzyskując potrzebę, lekkomyślność, niedoświadczenie, lub złe gospodarowanie się strony drugiéj, wkłada na nią zobowiazania na przyszłość rażąco wygórowane w stosunku do oddanéj usługi. Przedewszystkiém zwrócił w tym względzie kwestyonaryusz uwagę sprawozdawców na nadużycia, praktykujące się na wsi przy sprzedaży i kupnie bydła, ziemi i towarów. Obok tego prosiło stowarzyszenie o wiadomość, o ile nowa ustawa karna o lichwie z dnia

24-go maja roku 1880 przyniosła korzyść praktyczną, oraz o wskazówki, jakie dalsze postanowienia prawne i urządzenia społeczne mogłyby zapobiedz skutecznie szerzeniu się lichwy po wsiach?

Nie mamy tutaj miejsca na przytaczanie choćby tylko najbardziéj interesujących szczegółów, jakie odpowiedzi na kwestyonaryusz ze wszystkich prowincyi państwa niemieckiego przyniosły; ograniczymy się więc głównie do tych jego dzielnic, które w mniejszéj lub większéj liczbie zamieszkują nasi rodacy, w końcu zaś artykułu postaramy się uogólnić wszystkie zebrane spostrzeżenia i wyprowadzić z nich praktyczne i teoretyczne wnioski. Zanim jednak przejdziemy do bliższego rozpatrzenia faktów, zaznaczyć winniśmy, że wszystkie sprawozdania wogóle zgodnie opiewają, iż w ostatnim lat dziesiątku lichwa na wsiach znacznie się zmniéjszyła. Najszczęśliwszém w tym względzie ma być księstwo Brunświckie, w którém wyzysk lichwiarski ma należéć do tak rzadkich wypadków, że korespondenci nic godnego uwagi powiedziéć o nim jakoby nie mogli. Najgorzéj natomiast mają się przedstawiać stosunki kredytowe w Alzacyi i Lotaryngii, oraz w wielkiém księstwie Poznańskiém. Również zgodnie twierdzą sprawozdania prawie bez wyjątku, że we wszystkich prowincyach zajmują się lichwą przeważnie żydzi. Co nowy rozdział książki wszędzie powtarza się monotonna zwrotka: *der Wucher in... wird meist*—albo nawet *ausschliesslich von Juden betrieben*. Chrześcianie występują w roli lichwiarzy rzadko, przynajmniéj jawnie; o ile zaś trudnią się tém haniebnem rzemiosłem, używają do niego pośrednictwa żydów, którzy płacąc swym wierzycielom wysokie procenta, drą zato klientów w dwójnasób. Największéj liczby lichwiarzy wiejskich dostarczają szynkarze, handlarze wędrowni i handlujący bydłem.

O wielkiém księstwie Poznańskiém dostarczył obszernego referatu wyborny znawca tamtejszych stosunków wiejskich von Nathusius, radca ziemiański okręgu obornickiego. Pisał on już dawniéj o położeniu własności chłopskiéj w księstwie. Jakkolwiek w pracach jego przebija się pewna niechęć do Polaków, to jednakże nie mniéj widoczne jest w nich staranie się autora o bezstronność naukową. Twierdzi on tedy, że chłopi polscy są daleko mniéj gospodarni, lekkomyślniejsi i skłonniejsi do pijaństwa, aniżeli niemieccy, skutkiem czego téż lichwa szerzyć się ma daleko więcéj w okolicach czysto polskich niż zniemczonych. Od czasu jednak wydania nowéj ustawy karnéj z roku 1880, układy, zawierane wprost o nadmiernie wysokie procenta w interesach pieniężnych, należéć mają i w Poznańskiém, równie jak w całych Niemczech do rzadkości. Obawa kary zmusiła lichwiarzy do obmyślenia innych form wy-

zysku. Najpospolitsze z nich są dwie: albo 1) lichwiarz udaje, że nie mą pieniędzy i za mniemane trudy wystarania się o nie pobiera z góry wysoką prowizyą, a do rewersu wpisuje całą sumę z procentem niby umiarkowanym, albo 2) oznacza termin płatności procentów i zwrotu sumy pożyczonéj na taki czas, kiedy wié napewno, że dłużnikowi trudno będzie o gotówkę. Kiedy więc nadejdzie pora uiszczenia się, wciągnięta w pułapkę ofiara musi się opłacać kosztownemi prezentami w naturze i wystawiać coraz nowe rewersy na wypłatę zaległych rat z doliczeniem wysokiéj kary za przetrzymanie terminu i procentu od jednych i drugiéj, znów niby umiarkowanego. Dopiéro gdy w ten sposób ogół zobowiązań dojdzie do tak wysokiéj cyfry, że dłużnik w żadnym razie nie jest w możności jéj spłacić, wierzyciel każe sobie wystawić weksel na całą sumę i wnosi ją następnie do hipoteki. Wtedy już grożąc subhastacyą, obdziera chłopa ze wszystkiego, co tylko ten pracą swoją zdobędzie, czyniąc go przytém najpowolniejszym na swe rozkazy niewolnikiem, albo też w razie oporu, czy nie opłacania się tego „interesu" przystępuje rzeczywiście do sprzedaży przymusowéj. Pan Nathusius zaznacza jednak, że subhastacye są obecnie daleko mniéj liczne, aniżeli były dawniéj, a to dzięki nowemu postanowieniu prawnemu, że koszta subhastacyi ponosi ten, kto ją zarządził, w razie, jeżeli suma sprzedaży nie pokrywa wszystkich wierzytelności zapisanych wyżéj niż należność subhastującego. Ponieważ koszta te są wcale niemałoznaczne, więc odstrasza to lichwiarzy od wystawiania majątku na sprzedaż, jeżeli wierzytelność ich jest zbyt nisko umieszczona. Zdarzają się jednak niezbyt rzadko wypadki, że lichwiarz dla uratowania swéj należności nabywa sam ziemię.

Handlarze bydłem wyzyskują chłopów w ten sposób, że namawiają ich do kupna na kredyt, a następnie gdy dłużnik wypłacić się nie może, zmuszają go do pielęgnowania i pędzenia na targ ich bydła, a niekiedy nawet czynią go pachciarzem swoim na warunkach bardzo niekorzystnych, zamieniają sprzedane mu bydlę na gorsze i t. p. Procenty wydobyte z usidlonego w ten sposób chłopa przerastają znacznie, według sprawozdawcy, lichwiarskie opłaty za pożyczki pieniężne.

Obfitém téż źródłem lichwiarskiego wyzysku jest w Poznańskiém handel ziemią, a szczególniéj parcelacya większych gospodarstw na mniejsze, którą chętnie zajmują się żydzi. Wprawdzie z wielu stron zapewniali p. Nathusiusa korespondenci, że pożądanie ziemi przez chłopów, czyli tak zwany przez Niemców *Landhunger* od czasu obniżki w cenie produktów rolnych znacznie się zmniejszył, jednakże sam sprawozdawca w swoim powiecie tego nie za-

uważył, a i z okolic Ostrowa odebrał również niepomyślne w tym względzie wiadomości. Przy nabywaniu ziemi chłopi poznańscy nie liczą się zazwyczaj ze swemi środkami. Ulegając podstępnym namowom faktorów, kupują na kredyt i zgadzają się na ceny nad wszelką miarę wysokie, płacąc tylko część należności gotówką. Pozostałą resztę zobowiązują się uiścić po roku, lub dwóch latach, z doliczeniem 6% procentu, a nierzadko nawet zaliczkę pożyczają z banków ludowych na 7%, lub wystawiają na nią weksel płatny za trzy miesiące. Naturalnie, że przy własności w ten sposób zdobytéj utrzymać się trudno, a już w żadnym razie osiągnąć z niéj korzyści niepodobna. To téż nabywcy tacy wychodzą najczęściéj wkrótce z torbami, tracąc nie tylko tę ziemię, którą dokupili, ale i tę, którą już poprzednio posiadali.

Często téż zdarza się wśród chłopów poznańskich lichwiarski wyzysk dzieci przez rodziców. Dzieje się to w ten sposób, że starzy, korzystając niegodziwie z pragnienia samodzielności i chęci do żeniaczki swych dorosłych dzieci, sprzedają im gospodarstwo, zabezpieczając sobie nadto na jego hypotece tak zwany „wyderek“, czyli rentę dożywotnią. Młodsze dzieci w takich razach wychodzą zazwyczaj z pustemi rękami, a i starsze najczęściéj upadają pod brzemieniem przyjętych na siebie nadmiernie wygórowanych zobowiązań, jeżeli wczesna śmierć niesumiennych rodziców nie wyratuje ich od zguby. W większości wypadków bowiem dożywocie ustanawia się na 2, lub 3 razy wyższą sumę, niż ta, jaka ma być rzeczywiście na podstawie umowy ustnéj wypłacana, a robi się to jakoby w tym celu, żeby w razie sprzedania majątku przez dzieci rodzice uzyskali lepsze warunki. Tymczasem pospolicie właśnie starzy sprzedają następnie swoje prawa osobie trzeciéj, która egzekwuje naturalnie całą należność, przysługującą jej według zapisu hypotecznego. Do jakiego stopnia wyzysk ten dochodzi, niech nam da wyobrażenie najwybitniejszy z przytoczonych przez Nathusiusa przykładów: Karczmę z kawałkiem gruntu, kupioną za 2.250 marek, sprzedaje ojciec po kilku latach synowi na takich warunkach, że ten przyjmuje na siebie 5,502 marki długów hypotecznych i 1200 m. osobistych, a nadto zobowiązuje się wypłacić swemu rodzeństwu 2100 m. i dawać rodzicom po 500 m. rocznie dożywocia! Wobec tych cyfr bledną niemal nawet osławione w całym świecie operacye lichwiarzy wiejskich w Galicyi.

Lichwa w handlu towarami praktykuje się w bardzo rozmaity sposób zarówno przy sprzedaży potrzebnych w gospodarstwie przedmiotów, jak przy kupnie produktów roli. Pierwsza z tych form wyzysku przeważa w stosunkach z chłopami, druga z właścicielami

większymi, blizkimi bankructwa i sprzedającymi często swoje zboże na pniu, albo nawet jeszcze przed zasiewem.

Na pierwszém miejscu pomiędzy przyczynami szerzenia się lichwy w Poznańskiém kładzie p. Nathusius pijaństwo i złą gospodarkę. Na 10 przypadków wpadnięcia chłopów w ręce lichwiarzy, 9 zdaniem sprawozdawcy, powoduje wódka. W ostatnich jednak latach, dzięki ogólnemu dążeniu do ograniczenia liczby szynków i gorliwéj działalności w tym względzie duchowieństwa katolickiego, opilstwo wśród ludu zmniéjsza swoje rozmiary, choć jeszcze grasuje bardzo silnie. Sprzyja zaś ono szerzeniu się lichwy nie tylko przez to, że wódka pochłania zbyt znaczne sumy ze skromnych budżetów włościańskich, zwłaszcza gdy szynkarz na drzwiach potrójną kredką kieliszki rachuje, ale również, a może nawet więcéj przez to, że pijani dają się łatwo wciągnąć do takich lichwiarskich interesów, na które by się potrzeźwemu nie zgodzili. Miano „złéj gospodarki“ stosuje sprawozdawca do nieumiejętnego często jéj prowadzenia, gdyż pod względem życia według stanu i pracowitości nic do zarzucenia chłopom poznańskim nie ma. Nierzadko również oddaje włościan tamtejszych w ręce lichwiarzy ślepa niechęć do ubezpieczenia zbiorów od ognia, chociaż do asekurowania budowli prawie powszechnie już nawykli. Jedną z najważniéjszych wszelako przyczyn powodzenia lichwiarzy w Poznańskiém, pomimo że ją autor niemiecki wymienia na końcu, jest niedostateczna ilość instytucyi kredytowych dla ludu, mniéjsza znacznie w téj prowincyi, niż we wszystkich innych częściach państwa z wyjątkiem Alzacyi i Lotaryngii, gdzie téż lichwa na wsi jeszcze w większych rozmiarach się szerzy. Prywatne „banki ludowe“, czyli stowarzyszenia zaliczkowe są wprawdzie po miasteczkach polskich dość licznie rozsiane, lecz ludowi wiejskiemu przynoszą one korzyść nie wielką, gdyż pobierają zbyt wysoki procent: 6 do 8%. Co gorsza, niektóre ich operacye mają, według p. Nathusiusa, nosić na sobie charakter lichwy. Tymczasem, jako upoważnione stowarzyszenia, nie podpadają one pod moc prawa karnego z r. 1880. Banki ludowe mają sobie ogólnie przyznany przywiléj dostarczania swym członkom bez osobnego pozwolenia napojów spirytusowych po cenie kosztu. Otóż trudno jest zapobiedz, żeby korzystając z tego prawa, nie sprzedawały one spirytualiów i osobom obcym w celach zysku. Niektóre téż z nich zrobiły podobno ze swych lokalów prawdziwe knajpy, w których interesanci tęgo sobie popijają. Słusznie téż czyni uwagę sprawozdawca, że operacye kredytowe w takich warunkach załatwiane nie muszą wychodzić na pożytek klientów. Z tego powodu prowincyonalne towarzystwo rolnicze poznańskie przy rozbiorze w r. z. kwe-

styi o lichwie orzekło, iż byłoby do życzenia, żeby władze zostały upoważnione do rozwiązywania banków ludowych itp. instytucyi w razie, jeżeli one dopuszczają się takich operacyi, za które osoby fizyczne podlegają karom na zasadzie prawa o lichwie.

Tak smutno przedstawiają się stosunki kredytowe w Poznańskiém. O innych prowincyach pruskich, zamieszkałych przez znaczniejszą liczbę Polaków, odzywają się sprawozdania daleko pomyślniéj. Wyjątek w tym względzie stanowi tylko obwód królewiecki, w którym wstrętny ten występek, według ogólnikowego zapewnienia referenta, krzewi się we wszystkich swoich formach. Za to w Prusach Zachodnich ma go nie być ani śladu. Narzeka tylko sprawozdawca na to, że banki ludowe pobierają procent za wysoki, najczęściéj 7%. W obwodzie Gumbińskim Prus Wschodnich jakkolwiek lichwa jeszcze istnieje, to jednakże nie występuje już podobno w tak znacznych rozmiarach, żeby potrzeba było dla jéj wytępienia stosować jakieś szczególne środki. Cokolwiek mniéj korzystnie, chociaż ogólnie jeszcze nieźle, przedstawiać się mają rzeczy na Szląsku. Niestety jednak, o ile zacytowane są wyjątki nie pomyślne, dotyczą one najczęściéj właśnie okolic bardziéj polskich. Tak np. na Górnym Szląsku uprawiają często lichwę szynkarze „przeważnie mojżeszowego wyznanła“, w powiatach zaś sokolnickim i lublinieckim stowarzyszenia zaliczkowe pobierają tak wysokie procenta, że zasługują one na nazwę lichwiarskich.

Przechodząc do spostrzeżeń ogólnych, zanotować należy, że wszystkie sprawozdania za główne przyczyny szerzenia się lichwy po wsiach podają rozpustę, pijaństwo, złe gospodarowanie się, oraz ciemnotę i łatwowierność chłopów, które sprawiają, że stronią oni od instytucyi publicznych i stowarzyszeń kredytowych, zręcznie dyskredytowanych w ich oczach przez przebiegłych lichwiarzy. Gra w tém także pewną rolę i lenistwo, zrażające do poddania się, wymaganym przez urządzenia podobne formalnościom dla uzyskania pożyczki, oraz w stosunku do banków ludowych obawa, przyjętéj przez nie w Niemczech za zasadę nieograniczonéj odpowiedzialności solidarnéj wszystkich dłużników. Obawa ta jest zupełnie uzasadniona, gdyż jakkolwiek bankructwa stowarzyszeń zaliczkowych zdarzały się dotąd stosunkowo rzadko, to jednakże te, które miały miejsce, dały się zbyt dotkliwie uczuć swym członkom. Z tego powodu dla rozszerzenia udziału włościan w stowarzyszeniach podobnych, będzie trzeba koniecznie odpowiedzialność solidarną ograniczyć do pewnéj oznaczonéj wielokrotności wkładu, jak to czynią banki ludowe we Włoszech. Dla wyrwania ludu z rąk wyzyskiwaczy jego łatwowierności, proponuje kilku sprawozdawców zakłada-

nie „towarzystw przeciwko lichwie", których celem byłoby staranie o usunięcie przyczyn złego, oraz przeciwdziałanie podstępnym machinacyom lichwiarzy i pozywanie ich przed sądy karne. Towarzystwa te winnyby zachęcać włościan do ubezpieczania się od strat losowych, zrządzanych przez ogień, gradobicie, choroby na bydło itp., do brania udziału w stowarzyszeniach kredytowych i kasach oszczędności, a w razie braku ich w danéj okolicy, do zakładania nowych tego rodzaju urządzeń. Że towarzystwa podobne przyniosłyby niewątpliwą korzyść, dowodzić nie potrzeba. Wielu téż referentów domaga się urządzenia licznych filii po miastach i miasteczkach przez Bank Państwowy, w celu przyjścia z pomocą takiego kredytu włościanom, drobnym kupcom i rzemieślnikom, oraz stowarzyszeniom kredytowym. Wszyscy zaś prawie jednozgodnie dla ukrócenia nadużyć szynkarzy żądają, ażeby na wzór prawa węgierskiego z r. 1880 wydana została ustawa, nie dopuszczająca dochodzenia sądowego należności za spirytualia, wybrane z zajazdów, traktyerni, szynków itp. zakładów, jeżeli należności te przekraczają pewne *maximum*. *Maximum* to chcą jedni autorowie określić cyfrą absolutną, inni—względną, ustosunkowaną do majątku dłużnika. Niektórzy z nich przytém pragną, ażeby projektowana ustawa rozciągała się nietylko do wzmiankowanych wyżéj zakładów, lecz do wszelkich wogóle długów, powstałych z zakupu spirytualiów na własną potrzebę w jakimkolwiek ich handlu. Nam się zdaje, że ustawę podobną zdołają szynkarze łatwo obejść, gdyż pijacy prawdopodobnie chętnie im w tém dopomagać będą. Skuteczniejsza zapewne byłaby tutaj ustawa szwedzka, nakładająca karę na szynkarza w razie, jeżeli ktokolwiek w jego zakładzie przebierze miarę w pijaństwie.

Dla teoryi ekonomicznéj największe znaczenie w ankiecie mają uwagi o rezultatach prawa karnego niemieckiego przeciwko lichwie. Jak wiadomo, ekonomiści szkoły liberalnéj utrzymują, że żadne zakazy, ani kary nic w tym względzie nie pomogą, a nawet szkodę branym w opiekę dłużnikom przynieść muszą, jeżeli stosunek popytu do podaży kapitałów przedstawia się niekorzystnie dla żądających pożyczki lub jeżeli niepewne położenie majątkowe dłużnika wymaga wysokiego wynagrodzenia za znaczne ryzyko. Licząc się ze słusznością tego twierdzenia, prawodawstwo niemieckie nie określiło wcale *maximum* dozwolonéj stopy procentowéj, pozostawiając jéj oznaczenie w każdym danym wypadku swobodnéj umowie stron interesowanych. Dla zapobieżenia jednak nieuczciwemu wyzyskowi téj swobody orzekło za przykładem prawodawstwa austryackiego, że wszelkie uderzająco nadmierne w danych okolicz-

nościach przekroczenie zwykłéj stopy procentowéj, biorące źródło w wyzysku koniecznéj potrzeby, lekkomyślności, lub niedoświadczenia dłużnika, podlega karze kryminalnéj. W rozstrzygnięciu pytania, czy jakiś dany fakt podchodzi pod pojęcie lichwy w ten sposób rozumianéj, nakazuje sędziom ustawa kierować się zdrowym rozsądkiem i własném doświadczeniem życiowém. Takie postawienie kwestyi ma tę słabą stronę, że wyrok czyni całkowicie zależnym od indywidualnych poglądów sędziego na stosunki kredytowe i usprawiedliwioną wysokość stopy procentowéj. Tym sposobem na jednę i tę samę sprawę każdy z sędziów może się zapatrywać inaczéj, a co gorsza wielu może sądzić bardzo błędnie. Tak np. gdyby się na stanowisku sędziego znalazł jakiś człowiek dobrego serca, lecz nie wykształcony ekonomicznie, mógłby sobie bardzo łatwo wyobrazić, że im dłużnik w gorszém jest położeniu majątkowém, tém mniejszy powinien płacić procent. I oto wszyscy kapitaliści, pożyczający biedakom i pobierający w stosunku do wielkości ryzyka utraty kapitału najbardziéj nawet umiarkowane odsetki, skazywani by byli jako lichwiarze. Widocznie jednak sędziowie niemieccy są ludźmi bardzo światłymi, skoro w ankiecie po 7-miu latach funkcyonowania ustawy nie spotykamy nigdzie skarg na podobne błędy. Pomimo to wszakże uważaliśmy za dobre, ażeby ustawy takie dawały sędziom wyraźniejsze wskazówki i zaznaczały przynajmniéj, że stopa procentowa może być tém wyższa, im dłużnik mniejszą daje wierzycielowi gwarancyą zwrotu pożyczonego kapitału, oraz im większe spodziewa się z niego odnieść korzyści. Tym sposobem zarazem prawodawca skierowałby główne ostrze ustawy przeciwko najbardziéj potępienia godnéj i niczém nieusprawiedliwionéj formie lichwy, a mianowicie przeciw pobieraniu nadmiernie wysokich procentów przy zupełném zabezpieczeniu zwrotu pożyczki, czy to za pomocą zastawu, czy poręczenia osób odpowiedzialnych i t. p. Jak wiadomo, wyzysk taki praktykuje się bardzo szeroko wszędzie tam, gdzie brak jest odpowiednich instytucyi publicznych, dostarczających taniego kredytu ludziom nie posiadającym majątku. Gdyby więc rzeczywiście ustawy karne o lichwie były prawdziwie skuteczne, to zwróciwszy się przeciwko takim niegodziwościom, mogłyby wydać bardzo dobroczynne dla klas niezamożnych owoce.

Ale chodzi właśnie o to, czy zakazy i kary, oznaczane prawem, zdolne są ukrócić lichwę? W rozpatrywanéj przez nas ankiecie wszyscy prawie sprawozdawcy przyznają ustawie niemieckiéj z roku 1880 wpływ bardzo dobroczynny. Większość ich jednak wyraźnie zaznacza, iż błogie te rezultaty są charakteru bardziéj moralnego,

niż praktycznego. Cieszy mianowicie publiczność to, że prawo potępiło nareszcie czyny, które opinia ogółu oddawna piętnowała jako występek. Jest to bezwątpienia korzyść moralna nie mała, ale praktyczna — żadna, bo kogo oburzenie publiczne i obawa hańby w oczach ogółu od uprawiania lichwy powstrzymać nie zdołały, tego i prawo nie powstrzyma, jeżeli tylko przedstawia się możność ujścia jego karzącéj ręki. To téż we wszystkich sprawozdaniach obok ogólnikowych pochwał dla ustawy czytamy, że lichwiarze pod jéj wpływem zmienili dawne *sposoby* wyzysku. Treść więc ich operacyi została ta sama, a o nią przecież jedynie chodzi. Co więcéj, niekiedy spotykamy się z uwagami, że nowe formy eksploatacyi okazują się nawet wydajniejszemi. Gdyby tak było ogólnie, to ekonomiści dawniejszéj szkoły mieliby słuszność. Tak jednak, zdaje się, nie jest. Z ogółu sprawozdań wnosić należy, że pod względem rozległości praktyka lichwiarska zmniejszyła się do pewnego stopnia, chociaż być może, iż wzrosła za to w kierunku natężenia wyzysku. Można to wreszcie objaśnić teoretycznie. Obawa kary, lub chociażby tylko skandalicznego procesu musiała odstraszyć od haniebnego rzemiosła lichwiarzy mniéj ryzykownych i nie wyzutych zupełnie ze wstydu, a dzięki temu śmielsi i bezwstydniejsi, zwłaszcza przedstawiciele téj części żydostwa, która nie poczuwa się do żadnéj łączności społecznéj z otoczeniem i skutkiem tego nie zwraca uwagi na jego opinią, zostawszy w mniejszéj liczbie, skorzystali z osłabnięcia współzawodnictwa i przydusili swe ofiary silniéj. Jeżeli zaś sprawa tak stoi, to zwróciwszy uwagę na to, że zmniejszenie się zaofiarowania ze strony lichwiarzy i wzrost ich wymagań musi pobudzać interesowanych do szukania środków obrony od wyzysku, do przezorności i wzajemnéj pomocy, do zakładania odpowiednich instytucyi kredytowych, winniśmy się ostatecznie oświadczyć za karaniem lichwy przez prawo.

Uważamy jednak za potrzebne położyć nacisk na to, że *bezpośrednie* oddziaływanie *samych* ustaw karnych przynosi ofiarom lichwy raczéj szkodę niż pożytek dopóty, dopóki dawana im w ten sposób zachęta do samoobrony nie przyniesie owoców praktycznych. Niezbite dowody słuszności tego poglądu znajdziemy właśnie w sprawozdaniach ankiety, jeżeli tylko nie będziemy wierzyli na słowo ogólnikowym zapewnieniom autorów, zachwyconych nadmiarę mądrością swoich prawodawców, lecz rozpatrzymy się krytycznie w przedstawionych przez nich faktach. Fakty zaś te mówią nam bardzo wyraźnie, że ustawa karna o lichwie okazała się praktycznie mało skuteczną we wszystkich tych prowincyach państwa niemieckiego, gdzie, jak np. w Poznańskiém, instytucyi do-

starczających taniego i dogodnego dla danych celów kredytu, jest ilość zbyt niedostateczna, żadnych zaś zgoła dodatnich owoców nie przyniosła tam, gdzie instytucyi takich jest brak bardzo dotkliwy. Tak się mają rzeczy mianowicie w Alzacyi i Lotaryngii. To też sprawozdawca z tych prowincyi maluje szerzącą się tam w wielkich rozmiarach lichwę bardzo czarnemi barwami. A jednakże w tych właśnie prowincyach unormowanie prawne procentu istniało już od r. 1807 i nic nie pomogło, jak widać np. z tego, że mieszkańcy jednego z kantonów w r. 1818 podali petycyą do parlamentu francuskiego o zarządzenie przymusowego przesiedlenia żydów tamtejszych do innych departamentów, gdzie stosunki miejscowe przedstawiałyby mniéj sposobności do lichwiarskich operacyi. A i z późniejszych czasów jest mnóstwo świadectw, że nadużycia lichwiarskie wcale się nie zmiejszyły, owszem, wzrastały nawet coraz bardziéj. Obecnie bezskuteczność ustawy karnéj niemieckiéj stwierdza również bez żadnych ogródek autor sprawozdania, radca ministeryalny w Strasburgu, Metz. Że zaś ma słuszność, dowodzi bodaj ten fakt, iż pomimo tak szerokiego krzewienia się lichwy przez cztery lata po wydaniu ustawy (1880—1884) odbyło się w całéj Alzacyi i Lotaryngii tylko 18 procesów i w 9-ciu do tego oskarżeni zostali uniewinnieni. Wszelkie więc zakazy i kary, jeżeli nie pobudzą ludności do starań o usunięcie przyczyn lichwy, a nadewszystko braku dogodnego kredytu, żadnego pożytku nie przynoszą.

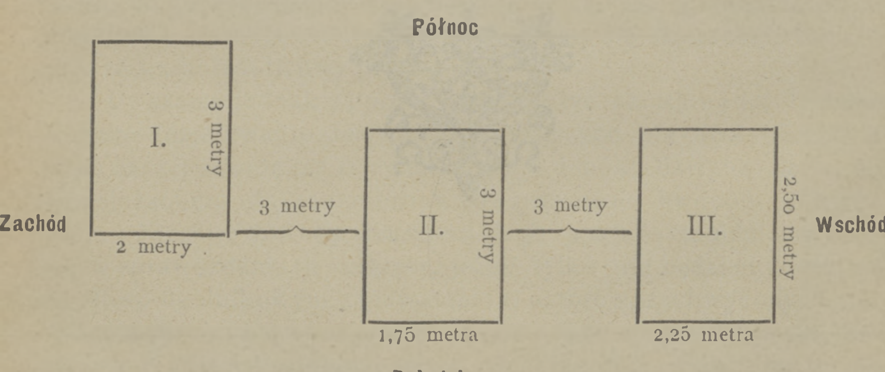
W. Wścieklica.

NOWE SKARBY ARCHEOLOGICZNE

W ZAKRZEWIE.

Opodal miejsca, gdzie w Zakrzewie, polskiéj osadzie wiejskiéj w powiecie oleśnickim, 1-go kwietnia 1886 r. rzadki bardzo skarb archeologiczny w grobie przedhistorycznym znaleziono — o czém w *Ateneum* (zesz. Maj r. b. str. 365) pisaliśmy—zbadał przewodniczący *Towarzystwa starożytności szląskich*, d-r Grempler, d. 23 lipca r. b. drugi, a 26 lipca archeolog Langenhau trzeci grób; w obu zaś grobach dokopano się nadzwyczaj rzadkich i cennych przedmiotów starożytnych.

Ważność i osobliwość rzeczy zmusza nas nieco obszerniéj o nowych wykopaliskach zakrzewskich się rozpisać; dla lepszego unaocznienia zaś położenia, obszerności i oddalenia od siebie grobów szkic poniżéj podajemy, oznaczywszy grób 1-go kwietnia r. z. odsłoniony liczbą I, grób 23-go lipca odkryty liczbą II, a grób 26-go lipca znaleziony liczbą III.



Kształty, wielkość i jakość zabytków znalezionych w poszczególnych grobach uprawniają do przypuszczenia, że grób I mieścił

szczątki pani domu, grób II głowę familii, a grób III niedorosłą dziewicę. Archeologowie szląscy przypuszczają, że w grobach zakrzewskich spoczęła jaka rodzina książęca, może rodzina jakiego księcia Gotów, który po stoczeniu walki z cesarzem rzymskim Klaudyuszem II (*) (znaleziona w III grobie złota moneta rzymska, jako i znamiona charakterystyczne znalezisk na domysł ten wprowadzają) w powrocie z małżonką i córą śmierć tu i grób znalazł.

Co znaleziono w grobie I już czasu swego podaliśmy.

Gdy d-r Grempler 23-go lipca r. b. na cmentarzysko zakrzewskie przybył, wydobyto już z grobu II kilka srebrnych, złotem wykładanych klamer, duży łańcuch naszyjny, złożony z ośmiu złotych blach, z bardzo kształtnemi uszkami i przylutowanemi ziarnkami; luźną blachę złotą, większą od poprzednio wzmiankowanych, pięknym krwawnikiem przyozdobioną, prawdopodobnie środkową część owego bogatego naszyjnika i prześliczny cenny, 9 centymetrów długi, 2½ centymetra szeroki, ciemno-czerwony, guziczkami zdobny bursztyn. W obecności i pod przewodem d-ra G. znaleziono jeszcze w tym grobie potężną agrafę srebrną, dwie ozdoby, niezawodnie ongi pas strojące. Mają one kształt ramek, wyrobione są ze srebra a nasadzane złotemi blaszkami; każdą zdobi w środku wielki krwawnik. Wyobrazić sobie należy jednę z nich po prawéj, drugą po lewéj stronie klamry pas spinającéj.

Daléj znaleziono w tym grobie rozmaite pierścienie bronzowe, srebrny pierścień z bursztynowém oczkiem i 7 centymetrów długi a 4 centymetry szeroki kawałek żelaza, o którym na razie, dlatego że był płaski, sądzono, że jest fragmentem miecza. Tymczasem orzekli znawcy w Norymberdze (dokąd na wystawę osobliwości archeologiczno-antropologicznych, połączoną w początku sierpnia r. b. ze zjazdem antropologów tamże, wykopaliska zakrzewskie posłano), że rzeczony fragment uważać należy za część obicia kubełka. Wykopano nadto w II grobie naczynie drewniane z bronzowém obiciem i takiemiż ozdobami, inne podobne naczynie ze srebrném obiciem i szczątki kociołka bronzowego, a w końcu dużą, puharowego kształtu czarę ze szkła fioletowego, zdobną subtelnie szlifowanemi wklęsłościami owalnemi. Czara ta tak się dobrze zachowała i tak jest piękną, żeby jéj się nie powstydziła żadna z teraźniejszych hut szkła zbytkownego!

Wypróżniwszy grób, przesiano piasek i na tém się skończyła praca dnia tego. 26-go lipca podjął ją znowu d-r Langenhau, idąc za wskazówką d-ra G., który się w stronie wschodniéj od grobu II,

---

(*) Claudius Gothicus † 270, poraził Gotów 269 pod Naissus, w dzisiejszéj Bulgaryi

nowego grobu spodziewał i od połowy wschodniéj ściany grobu wypróżnionego (zob. szkic) wąski wykop ku wschodowi poprowadzić polecił.

Domysł — jak na szkicu widzimy—nie zawiódł. W odległości trzech metrów dokopano się ściany kamiennéj. Kilku chłopów z niemałym mozołem łamało się z trudnościami, jakich potężne granitowe płyty w skrzynię 2,50 metrów długą, a 2,25 szeroką ułożone, nastręczały. Wewnątrz rzeczonéj skrzyni, prawie metr głęboko, natrafiono na poziomy pokład kamieni, pod którym leżał piasek z ciemną pomieszany ziemią, niezawodny dowód, że się z poruszoną ongi ziemią ma do czynienia. Tu grób księżniczki; a co w nim znaleziono, napełnia rozkoszą serce każdego archeologa. W wschodnio-południowym rogu grobu tego odkryto najpierw rozsadzone naciskiem wierzchnim bronzowe naczynie kształtu kociołka z trzema uszkami i tyluż obrączkami, do rzeczonego kociołka należącemi, w kociołku zaś mieściło się 28 czarnych i białych kamieni, niezawodnie do gry jakiéj, dziś nam nieznanéj, służących, bronzowa, bogato złotem zdobna klamra, cztéry ornamentowane blaszki złote, cztéry złote spinki, nożyczki srebrne, bardzo dobrze zachowane, mała srebrna łyżka z ostro zakończonym trzonkiem, może i za widelec niegdyś służąca, nóż srebrny, obicie miedziane z obrączkami i części srebrnéj, bardzo bogato zdobionéj szkatułki.

W bliskości kociołka odsłoniono znaczną masę pięknie ornamentowanych fragmentów, pogniecionych ciężarem wierzchnich kamieni naczyń glinianych, podobnych do naczyń w zeszłym roku w grobie I znalezionych; w zachodniéj zaś części grobu dokopano się właściwego miejsca spoczynku przed mniéj więcéj 1500 laty złożonego tu ciała. Ciało to ząb długiego czasu zgryzł, wieki je strawiły do szczętu, pozostały tylko nieorganiczne zabytki po niém i to w takim porządku rozłożone, że śmiało uważać można grób III, jak niemniéj I i II, za groby szkieletowe. Znaleziono tu daléj w miejscu, gdzie lewa ręka trupa leżała, złotą, ciężką branzoletę; zaś w bezpośredniéj jéj bliskości leżały tuż obok siebie, prawdopodobnie średni palec lewéj ręki ongi zdobiące, trzy pierścionki takiéj objętości, że je, tak jak bransoletę, tylko delikatna drobna ręka nieletniéj dziewicy nosić mogła. Następnie leżał tu obok bardzo subtelnéj roboty i ornamentami zdobny ciężki nożyk srebrny, a daléj, w wysokości głowy, stała w piasku prostopadle 3 milimetry gruba obręcz złota, jakie dawniéj niewiasty na głowie nosiły. Tuż przy obręczy znaleziono małą złotą spinkę, która może strój nagłowny z materyi albo też trok włosów przytrzymywała. Poniżéj głowy, tam, gdzie była szyja, leżały części naszyjnika misternéj roboty z brelokami,

a jeszcze niżéj, a więc w okolicy piersi, 6 centymetrów długa, z niezwykłym artyzmem wykonana spinka złota z resztką materyi, głównéj szaty niezawodnie. Tu téż znaleziono wyżéj wspomnianą złotą monetę, wielkości dziesięciomarkówki, 5 gramów ważącą i wybornie zachowaną, noszącą na stronie głównéj głowę rzymskiego cesarza z wieńcem i napisem: IMP. CLAVDIVS AVG., na odwrotnéj zaś napis PAX EXERC. i kilka mniejszych monet, pomiędzy któremi jedna dęta, także z wyobrażeniem głowy rycerza, około któréj napis: COS. III. PONT. MAX., na odwrotnéj zaś stronie żadnego wyobrażenia ani napisu nie nosząca.

Na innéni miejscu w tym samym grobie wydobyto zgniecioną szkatułkę z drzewa i ze skóry; zdawała się być w jakąś materyą obwinięta. Wieko jéj nosi zewnątrz kwadratowego kształtu srebrną płytę, na wewnętrznéj zaś stronie do tejże płyty sztyfcikami przytwierdzone cztery srebrne medale, już bardzo kruche, także z wyobrażeniem głowy rycerza i resztkami napisów, w środku zaś medali złota blacha z głową rycerza i narazie nieczytelnym napisem. Boki szkatułki także srebrem i złotem zdobne, w drobne się rozpadły kawałeczki. W szkatułce znaleziono kilka pięknych pereł bursztynowych i cząstki różnych drobnych biżuteryi. Gdy się do odsłonienia wschodniéj strony grobu wzięto, natrafiono niebawem na bardzo pogruchotane naczynie drewniane, ze srebrném nad brzegiem obiciem. W naczyniu tém znajdowała się piękna, złotemi blaszkami zdobna klamra, jak nie mniéj rozmaite misternie ornamentowane srebrne płyty, szerokie i wąskie. Obok odkopano szklaną czarę, przecudnéj różnobarwno-mozaikowéj *(millefiori)* roboty. Stała ona wybornie zachowana wśród licznych skorup potłuczonych, a raczéj pogniecionych naczyń glinianych. Wysokość jéj 4 centymetry, średnica u wierzchu 9½ centymetra, u dołu 4½ centymetra. Przeszło trzydzieści sztuk cennych przedmiotów, nie licząc pojedynczych pereł bursztynowych, srebrnych blaszek i innych drobnostek, wydobyto z III grobu; z II zaś 13-cie, prócz kilku srebrnych klamer i kilku pierścionków bronzowych. Wszystkie te przedmioty świadczą o dobrym guście i znacznym rozwoju artystycznego przemysłu czasów, z których pochodzą.

Zajęto się też gorliwie rekonstrukcyą znalezisk uszkodzonych. Aż do 5-go sierpnia można było w muzeum wrocławskiém wszystkie skarby zakrzewskie oglądać. Nie tylko uczeni ale i szersza publiczność mocno się niemi zajęła. Po 5-tym wysłano, co z nich najokazalsze i najciekawsze — jak już wyżéj nadmieniliśmy — do Norymbergi na archeologiczno - etnograficzną wystawę kongresową, gdzie powszechną na siebie zwracały uwagę i ogólny budziły po-

dziw i gdzie drugiego dnia posiedzeń d-r Grempler o nich referował.

Znajdowały się téż na owéj wystawie brosze — najnowszy wyrób zbytkowny sztuki złotniczéj — na wzór w I grobie z. r. znalezionych spinek *(fibulae)*, artystycznie przez jednego z berlińskich złotników wykonane.

Obecni na kongresie archeologowie zgodzili się w zasadzie na zdanie d-ra Gr., t. j. że zabytki zakrzewskie mniéj więcéj do końca trzeciego stulecia ery chrześciańskiéj odnieść należy, jako i na to, że I grób niewiastę, II mężczyznę, a III niedorosłe dziewczę mieścił. Tylko co do kawałka w II grobie znalezionego żelaza, innego jak przewodniczący Muzeum szląskiego byli starożytnicy zdania. Wszyscy kompetentni godzą się téż na to, że wrocławskie muzeum posiadało w znaleziskach zakrzewskich skarb nieoceniony, który szczególniéj dla badaczy zamierzchłéj przeszłości bardzo jest ważnym nabytkiem.

Téj jeszcze jesieni dalsze przedsięweźmie muzeum na terytoryum zakrzewskiém poszukiwania.

J.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pobyt Kochanowskiego zagranicą. Szkic biograficzny napisał St. Windakiewicz. Kraków 1886. (Str. 72).

Znany już z kilku poprzednio ogłoszonych źródłowych prac, odnoszących się do życiorysu Kochanowskiego, p. Windakiewicz podejmuje w niniejszém studyum zbadanie okresu, jednego z najmniéj rozjaśnionych w życiu wieszcza czarnoleskiego, mianowicie czasu pobytu jego za granicą. Podobnie jak poprzednie prace autora, i niniejsza przynosi kilka nieznanych a cennych szczegółów, wydobytych przez autora z archiwów. Rzucają one nowe światło na niektóre rezultaty najnowszych badań nad Kochanowskim i z tego względu zasługuje praca na uważne rozpatrzenie. Autor rozpoczyna opowiadanie od r. 1544, tj. chwili rozpoczęcia przez Kochanowskiego studyów w akademii krakowskiéj. Kreśląc po krótce stan tejże współczesny, przypuszcza, że pobyt Kochanowskiego w Krakowie potrwał dłużéj niż dotychczas sądzono, aczkolwiek dokładnie czasu tego nie umié oznaczyć. Potrącając o śmierć pani Kochanowskiéj i podział majątku między rodzeństwo udowadnia p. Wind. wbrew mniemaniu u niektórych pisarzy, że środki pieniężne rodziny Kochanowskich nie tylko nie były świetnemi wówczas (*vide* Małecki) ale nader ograniczonemi, skoro Kasper Kochanowski po objęciu zarządu majątku, nie miał z czego oddać niejakiemu Zaborowskiemu 48 florenów pożyczonych, jak tego dowodzi współczesny pozew z aktów archiwum krakowskiego, tudzież kilka innych podobnych aktów procesowych przeciwko rodzinie Kochanowskich. Szczegół ten podnosił już Gacki (str. 57) oraz sam autor w rozprawie „Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskich". Na téj podstawie wnioskuje p. Windakiewicz, że nie rodzina, ale jakiś możny

mecenas zaopatrzyć musiał Kochanowskiego w pieniądze na drogę, rodzina zaś częściowo tylko do tego się przyłożyła. Przemawia za tém i ta okoliczność, że Kochanowski zapisał się w Padwie na wydział „*artistarum*" tj. filozoficzny, podczas gdy wysłany przez rodzinę, byłby niewątpliwie musiał kształcić się w prawie, jako jedynéj wówczas drodze do karyery. O pobycie jego w Niemczech nic p. Wind. nie powiada pewnego, jak tylko, że jeżeli istotnie wędrował Kochanowski po Niemczech, jak na to naprowadzają wzmianki w pismach, to wędrówka ta nie była długą i nie ma prawie żadnego znaczenia w życiu poety, podzielając zdanie Małeckiego, że to zapewne w przejeździe do Włoch zatrzymywał się Kochanowski na krótko w Wiedniu lub Bazylei. Pobyt Kochanowskiego w Padwie opisuje p. Wind. szczegółowo. Ciekawym tu jest ze wszech miar opis uniwersytetu padewskiego i jego organizacyi współczesnéj. Autor notuje nazwiska wszystkich profesorów obu wydziałów tj. prawniczego i filozoficznego, a tych drugich jako profesorów Kochanowskiego szczegółowo charakteryzuje. Jednym z najciekawszych ustępów jest opis stosunków uniwersyteckich różnych narodowości, tz. „nacyi", w rzędzie których polska niepoślednią odgrywała rolę. Wzmiankując o epizodzie miłosnym Kochanowskiego z Lidyą Włoszką, dowodzi że znajomość tę zawarł on we Włoszech a nie w Paryżu (jak utrzymuje Löwenfeld), a szczegóły przytoczone dowodzą, że miłość ta dosyć ważną odegrała rolę w życiu Kochanowskiego. Odbywszy podróż po Włoszech, niebawem, pozbawiony funduszów, wraca poeta dzięki pomocy jakiegoś Ossolińskiego do kraju 1557 r. Szczegół ten o tyle jest ważny, że dowodzi, iż Kochanowski dwukrotnie wyjeżdżał z kraju za granicę. Datę drugiego wyjazdu oznacza p. Wind. na wrzesień 1557. Podróż tę odbył Jan w towarzystwie młodego Kłoczowskiego, oddanego mu w opiekę przez rodziców. Dowodem zaś pobytu Kochanowskiego w tym czasie w Padwie jest nagrobek dla Kretkowskiego, zmarłego tamże w roku 1558, napisany przez poetę, oraz braki śladów pobytu w kraju. Podążając za Kochanowskim do Paryża, kreśli autor stan uniwersytetu paryskiego, przedstawia ówczesne stosunki polityczne Francyi, rozkwit literatury francuskiéj pod egidą Ronsarda oraz działanie tych wpływów na Kochanowskiego. Stosunek naszego poety do Ronsarda rozjaśnia p. Wind. o tyle tylko, że na podstawie podobieństwa jednego wyrażenia w łacińskiéj elegii Koch. (III, 8) z wyrażeniem Ronsarda w wierszu: *La paix au Roy Henri II*, twierdzi że „znał Kochanowski doskonale poemata Ronsarda, odczytywał je wiele razy i nauczył się ich na pamięć." Błahem co najmniéj wydaje nam się przypuszczenie autora, że sklepienie kościoła *Notre Dame* natchnęło

poetę do napisania hymnu „Czego chcesz od nas Panie". Z Polaków przebywających współcześnie z Kochanowskim w Paryżu wymienia p. Wind. jedynie Jana Zamojskiego i Jana Tęczyńskiego. Opisy wspaniałości dworu Henryka II i żony jego Katarzyny medycejskiéj uzupełniają tło ówczesnych obyczajów i stosunków w Paryżu. Powrót Kochanowskiego do kraju naznacza autor w brew twierdzeniom A. Małeckiego na r. 1559. W tym téż roku przyszło do ostatecznego podziału dóbr ojcowskich, poczém poeta nasz jako „*vates musis sacer*" zasiadł na wydzielonéj mu części majątku i oddał się cały ulubionéj pracy poetyckiéj. Na tym punkcie urywa p. Wind. swe opowiadanie. Nawiasowo przypomniéć tutaj wypada, że domysł dwukrotnego wyjazdu poety za granicę podniósł już Niemcewicz w mowie pochwalnéj na cześć Kochanowskiego w r. 1802.

W dodatku do swéj rozprawy podaje autor odpisy trzech dokumentów, na których oparł swe wywody. Pierwszym jest pozew Jana Zaborowskiego przeciw Kasprowi Kochanowskiemu o zapłacenie 48 florenów, wyjęty z archiwum aktów grodzkich w Krakowie, dwa następne są kopiami z aktów uniw. padewskiego, sporządzonemi na miejscu przez samego autora. Z tych jeden odnosi się do zatargu nacyi polskiéj i niemieckiéj przy sposobności wyboru rektora w r. 1553, drugi obejmuje wykaz profesorów z wyszczególnieniem przedmiotów przez nich wykładanych. Praca p. Windakiewicza, oparta wszędzie na źródłach z pierwszéj ręki, przysparza, jak widzimy, kilka zupełnie nowych szczegółów do życiorysu Kochanowskiego. Jezyk autora, miejscami nie dość jasno oddający myśli, grzeszy nieco brakiem ogłady i lekkości.

W. Prokesch.

= Wyszedł już drugi tom **Historyi Szląska** („*Geschichte Schlesiens*") d-ra C. Grünhagena, tajnego radcy archiwalnego i prof. wszechnicy wrocławskiéj, i obejmuje w *trzech księgach* (na 446 stronicach, z dodatkiem spisu źródeł, z których autor czerpał), dzieje nadodrzańskiéj ziemi od r. 1527 do r. 1740. Może nie będzie od rzeczy podać po krótce treść tomu tego. *I-széj księgi tłem przeobrażanie się kościelnych stosunków na Szląsku aż do uznania przeobrażenia tego listem królewskim* 1609 r., a mianowicie: *a)* Ferdynand I, 1527—1564, jego zachowanie się wobec reformacyi. Piast Fryderyk II, ks. lignicki i Schwenkfeldczycy. Zamieć turecka 1529. Biskup wrocławski Balcer (Promnicz) 1539—1562. Opolski spadek. Fryderyka II-go układ dziedziczny z Brandeburczykiem (1537 r.), zniesienie tegoż układu 1546. Wojna szmalkaldzka. Piastowie Fryderyk III i Jerzy II,

synowie Fryderyka II. Wewnętrzna administracya Szląska i stany szląskie. *b)* Szląsk pod Maksymilianem II 1564 — 1576 r. *c)* Szląsk pod Rudolfem 1574—1609. — *II-giéj księgi tłem czasy 30-letniéj wojny. a)* Szląsk pod cesarzem Maciejem 1612—1619. Zaprowadzenie na Szląsku rządu prowincyonalnego. *b)* Powstanie czeskie 1618 i udział w niém Szlązaków. Obiór króla 1619. Układ drezdeński. Pacyfikacya kraju za Ferdynanda II 1619—1637. *c)* Mansfeld w Szląsku. Reakcya kościelna. Lichtensteinczycy 1626—1631. *d)* Szlązacy w przymierzu z mocarstwami protestanckiemi 1631—1635 roku. Szwedzi i szwedzcy sprzymierzeńcy. Po śmierci Gustawa Adolfa. Wallensteina plany i związek Szlązaków. Katastrofa jenerała Schafgotscha (i śmierć tegoż 1635 r. na rynku w Regensburgu z ręki kata). Bitwa pod Lindenbuszem niedaleko Lignicy 1634 i jéj następstwa (cesarskie wojsko klęski tu w rozprawie z Sasami doznawszy, strasznie się na Szlązakach mściło). Pokój praski 1635. *e)* Czas od r. 1635 aż do pokoju westfalskiego. Ferdynand III 1637—1657. Nowe utrapienia wojenne od r. 1639 począwszy. Torstenson w Szląsku 1642—1645. Koniec wojny. — *III-ciéj księgi tłem czasy kościelnéj reakcyi w nadodrzańskiéj ziemi 1649 — 1740. a)* Warunki pokoju i stan Szląska po wojnie. *b)* Kościelne stosunki, redukcye (liczebne) kościołów (protestanckich). Jezuici na Szląsku. Nowe klasztory, Konwersye, mistycy. Dowolne traktowanie kleru katolickiego. Czary i czarownice. Żydzi. *c)* Leopold I 1617—1705. Koniec (1675) linii Piastów lignicko-brzeskich, jedynéj w roku 1675 na Szląsku. *d)* Kościelne zmiany w księstwie lignickiém i brzeskiém. Otwarcie wszechnicy wrocławskiéj (Leopoldiny) 1702. *e)* Szląsk przy końcu XVII stulecia. Stan materyalny i stan sztuk i nauk na Szląsku. *f)* Szląsk pod panowaniem Józefa I 1705—1711 i za Karola VI 1711—1740. Ugoda altrandzka. Pietyści i Schwenkfeldczycy na Szląsku. Polityczne ustawy; stany. Handel i przemysł. Życie umysłowe, poezya i sztuki. *S. J.*

= **Johann Elias Schlegels aesthetische und dramaturgische Schriften.** *Heilbronn 1887.* (Tom 26-ty wydawnictwa „Deutsche Literaturdenkmale des 18-en und 19-en Jahrhunderts“). Dla historyka estetyki i literatury niemieckiéj posiada dziełko to wartość niemałą, gdyż zawiera w sobie mało dziś znane artykuły treści estetycznéj i krytyczno-literackiéj pisarza, który przyczynił się do obalenia tych poglądów na poezyą i na sztukę w ogólności, jakie obowiązywały w Niemczech w pierwszéj połowie wieku XVIII. Autor ich, Jan Eliasz Schlegel, może do pewnego stopnia być uważanym za poprzednika Lessinga, któremu nowożytna literatura niemiecka tyle ma do zawdzięczenia. Nie tu wszakże miejsce zastanawiać się nad stosunkiem Schlegla do autora „Laokoona“ i „Dramaturgii hambur-

skiéj", ani nad wartością jego poglądów estetycznych: dzisiaj należą one już do historyi i same przez się nie zajmują w niéj miejsca wybitnego. Jeżeli pomimo to książka powyższa zasługuje na uwagę czytelnika polskiego, to z téj racyi, że jéj wydawcą jest polak *Jan Antoniewicz*, który dał się już poznać w piśmiennictwie ojczystém jako badacz w zakresie historyi sztuki. Zdaje się, że i do wydania zapomnianych pism Schlegla skłoniły i przygotowały go do badania estetyczne. Nie dość bowiem, że je wydał starannie, ale jeszcze poprzedził wstępem, który rozmiarami (180 stron) i treścią o wiele przewyższa zwykłe w podobnych wydaniach wstępy, nawet mające niezaprzeczoną wartość naukową. Jest-to drobiazgowa ocena poglądów niemieckiego estetyka, nie ustępująca w niczém najpoważniejszym monografiom, opracowanym z prawdziwie niemiecką skrupulatnością. Ażeby okazać, jakie znaczenie dla współczesnych miały pisma Schlegla, Antoniewicz rozważa je z osobna i w każdém uwydatnia różnicę od poglądów Gottscheda, ówczesnéj wyroczni w rzeczach estetyki literackiéj, i jego szkoły. Nie poprzestając na tém, z jednéj strony uwzględnia drobiazgową walkę pomiędzy obrońcami panującego smaku i nowatorem, który staje się coraz śmielszym, z drugiéj zadaje sobie pytanie: jakie pierwiastki stały się podstawą nowatorskich wyobrażeń Schlegla. Gruntowna znajomość ówczesnéj literatury pięknéj i pism estetyków daje autorowi możność należytego wyświetlenia téj kwestyi. Okazuje on z wielką skrupulatnością, pod jakiemi mianowicie wpływami wyrabiały się estetyczne poglądy Schlegla, o ile odzwierciedla się w nich wpływ pomysłów filozofa Chrystyana Wolffa, czego dostarczyły dociekania estetyków francuskich (Fraguier'a, Vatry'ego, Houdarta de la Motte i innych), co wreszcie przyniosły własne spostrzeżenia nowatora. — Co się tyczy samego wydania pism Schlegla, to żałować należy, że p. A. nie dodał do nich żadnego indeksu, ani nawet pobieżnego spisu rzeczy, co ze względów praktycznych zawsze jest pożądaném ułatwieniem.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Co to jest Sosnowiec? — Broszurka p. Zarianko. — Co o wzroście niemieckiego przemysłu mówiono w czasach liberalnych, a co dzisiaj. — Naturalne przywileje Sosnowca. — Stara twierdza i nowy zagon germanizmu. — Dwojakie niebezpieczeństwo nad Czarną Przemszą: etnograficzne i strategiczne. — Jak wygląda strategiczne. — Podziękowanie p. Zarianko za etnograficzną troskliwość i prośba o przeniesienie tejże na pole bardziéj dodatnich pożądań. — Klęska większa niż najście germańskie. — Co nasi krajoznawcy powinni byli zrobić, ujrzawszy ponury cień cyfr statystyki poborowéj. — Pierwsze wystąpienie „Głosu“ — poważne. — Cyfry i hypotezy „Kraju.“ — Drugie wystąpienie „Głosu“ — „z góry.“ — Twierdzenie „Gazety Świątecznéj.“ — Projekt p. Skibińskiego założenia specyalnego pisma dla ślusarzy. — Maleńkie sprostowanie.

Co to jest Sosnowiec? W lichych książkach, z których przed laty czerpaliśmy naszą geograficzną wiedzę, na pytanie to znajdujemy taką odpowiedź: jest-to wioska w gubernii piotrkowskiéj (dawniéj radomskiéj), w powiecie będzińskim (dawniéj olkuskim), nic więcéj. W ostatnich czasach ludziom, czytającym dzienniki i mającym jakie takie stosunki z zewnętrznym światem, obijały się o uszy wieści, że w Sosnowcu rośnie druga Łódź, że panuje tam dąbrowiecki władca p. von Kramsta, że nowo powstałe fabryki przerabiają dla naszego użytku żelazo, wełnę, bawełnę i inne produkty. Rządowe statystyki i prace specyalne, odstraszające ogół swemi rozmiarami, jak również nie dla każdego zrozumiałym, a mozolnym do odczytania językiem cyfr, ułożonych w tablice i kolumny na arkuszach całych, musiały podawać jakieś dokładniéjsze wiadomości, ale to tylko dla szczupłéj garstki fachowców. Dopiéro p. N. S. Zarianko postanowił powiedziéć szerszemu ogółowi Wszech-Rosyi, co wyrosło sztuką niemiecką, wśród lasów sosnowych Małopolski, nad granicą pruską i w tym celu wydał w Petersburgu trzydziestostronnicową broszurę z mapą p. t. „*Szto takoje Sosnowicy*“ (Co to jest Sosnowiec).

Zwykła to koléj rzeczy. Najprzód krążą głuche, niepewne, bałamutne pogłoski, aż kiedy ciekawość zostanie bardzo podrażnioną,

ktoś sięga do źródeł pewnych i wyświetla należyty stan rzeczy. Możnaby więc było po wzmiance i przytoczeniu kilku ciekawszych cyfr przejść nad broszurą p. Z. do porządku dziennego, gdyby nie to, że wycisnął na niéj wyraźne swe piętno duch chwili bieżącéj, zalewający nas ze wszech stron swemi falami, jak wody świat podczas potopu, a który pomimo to nie zupełnie jeszcze uświadomił się w pojęciu ogółu. Dzięki temu to prądowi chwili, na granicy niemiecko-francuskiéj odbywa się polowanie na ludzi jak na dziki, a kwestya odpowiedzialności sprowadza się do tego, czy morderstwo spełnione zostało na dwa kroki przed, czy za granicą.

P. Zarianko, mówiąc o szybkim nadzwyczajnie wzroście przemysłu w Sosnowcu, i to przemysłu w najlepszym gatunku, ze wszystkiemi ulepszeniami i udogodnieniami, tak powiada:

„Cegła, wapno, cement, wyrabiane na miejscu, dają wszystko czego potrzeba dla taniéj budowy, a obfitość wybornéj wody w rzekach (którą w Łodzi ciągną maszynami ze studzien), stanowi ważny warunek dla motorów parowych i dla samych wyrobów fabryk. Co się tyczy opału, to ten węgiel kamienny, który z kopalni „Ludwig“ sam toczy się w niewielkich wagonach po równi pochyłéj prosto w ognisko pieców fabryki Schöna,—ten sam węgiel, dostarczony z kopalni na drogę żelazną, a późniéj do Łodzi chociażby, nabiera już podwójnéj wartości.“

„Prócz tego Sosnowiec, mając tanich robotników zagranicznych, tani surowiec zagraniczny i płacąc nieznaczne podatki, ma za sobą wiele przewagi w porównaniu z resztą punktów fabrycznych Królestwa Polskiego, nie mówiąc już o Rosyi centralnéj. Czy wobec tego możliwa jest konkurencya z Sosnowcem?“

Kilka, a w każdym razie kilkanaście lat temu, kiedy liberalizm był jeszcze w wielu krajach tonem obowiązującym dla wszystkich ekonomistów i polityków, przynajmniéj w głośnych przemówieniach, odkrycie sosnowieckiéj Ameryki dostarczyłoby źródła do niemałego zachwytu i podniosłéj radości. W owym czasie sądzonoby, że punkt, który ma tyle świetnych warunków za sobą, w którym ludzie pracować mogą z taką oszczędnością sił, powinien stać się ogniskiem przemysłu, inaczéj pójdzie na marne wiele pracy, wiele zabiegów, a wytwórczość będzie gorszą i mniejszą niżby być mogła. Dawniéj żałowanoby, że fabryki w Sosnowcu powstały tak późno, że się lat tyle zmarnowało, sarkanoby na lekkomyślność fundatorów Łodzi, Tomaszowa, Zgierza i niewątpliwie znaleźli by się śmieli reformatorowie, którzy by zaproponowali przenieść po prostu nad brzegi Czarnej Przemszy i Żyrardów i Lilpopa i Raua z Warszawy i Rephana z Kalisza. . . . .

W 1880 r. liczba zakładów przemysłowych wynosiła 11, wartość wytworów—1,387,429 rs., wartość budowli i maszyn 747,060, robotników pracowało tam tylko 813. W 1886 roku zakładów jest 36, produkcya dosięga 12,082,267 rs., zabudowania warte są 8,210,609, a robotników pracuje 5,051. Dziś już wytwórczość Sosnowca stanowi $^1/_{12}$ wytwórczości całego Królestwa Polskiego, $^1/_6$ —gubernii piotrkowskiéj, $^1/_2$—powiatu będzińskiego. Gdyby nawet wykładnik wzrostu przemysłu sosnowieckiego nie powiększył się—a powiększy się z pewnością—to i tak za 13 lat produkcya dosięgnie 36 milionów tj. zrówna się z Łodzią, która, stanąwszy na powyższéj liczbie, od kilku lat ruszyć się naprzód nie może. To téż p. Zarianko mówi: „Nawet staruszka Łódź z pomimowolną trwogą patrzy na rozwój Sosnowca. I to jest bardzo zrozumiałe. Cyfra wartości wytworów sosnowieckich w obecnym czasie stanowi przeszło trzecią część łódzkich, chociaż Sosnowiec rozwijał się siedem lat zaledwie. Geologiczne i inne sprzyjające warunki Sosnowca robią konkurencyę Łodzi niemożliwą".

Z ogólnéj liczby właścicieli 8 tylko jest poddanych rosyjskich, a wartość ich produkcyi wynosi 824,300 rs., zaś 28 cudzoziemców wytwarza za 11,257,967 rs. „Spojrzawszy jednak na nazwiska tych „rosyjskich" przedstawicieli sosnowieckich—mówi daléj p. Z.—można dojść do przekonania, że i oni w niedalekiéj przeszłości są nie rosyjskiego i nie polskiego pochodzenia". Rzeczywiście spotykamy tylko dwa nazwiska z końcówką *ski*: pp. Oskara Huldschinskiego (poddany pruski) i Abrama Warszawskiego (poddany rosyjski). W roku 1880 5 głównych fabryk w Sosnowcu sprowadzało cały surowiec z zagranicy, w 1881 zużyto w tychże fabrykach 1,5% surowcu krajowego, w 1882—1%, w 1883 — 25%, w 1884—39,2%, w 1885—27%, w 1886—41,4%. P. Z. zapewnia, że czas wprowadzenia w większéj ilości (1883) w użycie surowca krajowego, odpowiada téj chwili, kiedy po raz pierwszy w gazetach petersburskich zjawiły się korespondencye o Sosnowcu. W tymże czasie zaczyna się zwiększać w tamtejszych fabrykach liczba robotników miejscowych, a niektórzy fabrykanci wnoszą podania o przyjęcie ich do liczby poddanych rosyjskich. Obecnie krajowcy stanowią 44,3% ogólnéj liczby robotników.

P. Z. obawia się ze strony Sosnowca nietylko ekonomicznego podboju. Cudzoziemska ludność osady i miejscowości przyległych składa się z szeregowców i oficerów landwery, którzy i teraz nawet na głowach noszą czapki wojskowe pruskie. Gęste lasy po obu stronach rzeki Brynicy, pograniczne kopalnie węgla kamiennego, mające kilkowiorstowe przejścia podziemne i galerye, most drogi

żelaznéj należący do Prus, stanowią wszystkie warunki, potrzebne do przekroczenia nieprzyjaciela przez granicę państwa. Górzysta miejscowość na północo-wschodzie i północo-zachodzie od Sosnowca tworzy dwie doskonałe pozycye, a pruskie młyny parowe w Sosnowcu i piekarnie parowe mogą bez wysiłku zaopatrzyć w żywność znaczny oddział siły nieprzyjacielskiéj.

P. Zarianko nigdzie wyraźnie nie mówi, czego by pragnął, aby zrobiono z przemysłem w Sosnowcu; w każdym razie stosunek jego do fabrykantów nadgranicznych jest czysto negacyjny, żali się i ubolewa, że groźna narośl szerzy się bez przeszkód żadnych. Jeżeli Sosnowiec posiada rzeczywiście tyle warunków rozwoju, że nawet Łódź, która téż zapewne w złém miejscu położoną nie jest, kiedy się tak szybko rozwinąć zdołała, współzawodniczyć z nimi nie może, to oczywiście obrócenie takiéj stworzonéj dla przemysłu miejscowości na lasy lub pola orne było by stratą ekonomiczną wielką, a z punktu dbałości o bogactwo ogólne ludzkości—wprost barbarzyństwem. Ale p. Zarianko o to nie dba, całą uwagę jego pochłania myśl o walce z Niemcami, chodzi mu o zabezpieczenie kraju od germanizacyi i o zniszczenie dogodnéj drogi do najścia. Co do drugiego punktu, to nie sądzimy, aby wojna mogła tak niespodzianie zaskoczyć państwo, żeby Sosnowiec stał się bramą otwartą i popasem dla nieprzyjaciela. Wobec tego, że w wojnach dzisiejszych miliony występują w pole, co może zaważyć mieścina, licząca 9 tysięcy mieszkańców wraz z starcami, kobietami i dziećmi? Tych parę tysięcy zdolnych do noszenia broni Niemców będzie zapewne powołanych do szeregów tu lub tam, a w przeciwnym razie policya i rota żołnierzy zdoła ich w ciągu 2, 3 dni przerzucić przez granicę. Jeżeli mamy dobrobyt, rozwój ekonomiczny składać w ofierze widmu przyszłéj wojny, to może lepiéj zarzucić wszelką pracę. Nieprzyjaciel wkracza nieraz o wiele dziesiątków mil po za pas graniczny: mamyż się oddzielać jedni od drugich całemi pustyniami? Wojna jest przecie wyjątkowém nieszczęściem a nie zasadą życia, normującą inne zjawiska. Stanąwszy na téj pochyłości, doszlibyśmy Bóg wie gdzie.

Co się tyczy obrony kraju od germanizacyi, to również sądzimy, że obawy p. Zarianko są przesadzone. Niemcy, straszni we własném państwie, gdzie walczą i pracują za nich prawa wyjątkowe, bagnety, miliony marek, zebranych z podatków, nie zdołają dokonać podboju etnograficznego tam, gdzie państwo nie zechce ich wesprzeć przywilejami. Niemcy, osiedli u nas, z biegiem czasu muszą wchodzić w stosunki z żywiołem miejscowym i powoli przesiąkają i wsiąkają w życie otaczające. Rosyjski autor sam stwier-

dza, że udział krajowców w przemyśle sosnowieckiem wciąż wzrasta, chociaż dotąd przez większą liczbę robotników jedynie. Pan Zarianko przypisuje to wpływowi korespondencyi do gazet petersburskich. Podobne przypuszczenie wydaje się nam nieco naiwném; sądzimy, że zjawisko jest koniecznym i nieuniknionym wynikiem naturalnego biegu rzeczy: grunt działa na obcą płonkę, która zeń czerpie życie. My téż możemy ubolewać, że Łódź lub Sosnowiec nie zostały założone i rozwinięte wyłącznie przez kapitały i zdolności krajowe, za nieszczęście jednak tych siedzib przemysłu nie uważamy.

Jesteśmy mocno obowiązani p. Zarianko za zajęcie się losem Sosnowca i przyległych okolic, za troskliwą obawę jego co do germanizacyi i za chęć obrony miejscowego żywiołu; wyznajemy jednak, że uważalibyśmy za wiele właściwsze, gdyby zwrócił uwagę swoją i skierował pracę ku celom bardziéj pozytywnym. Rozwój życia na wschód od granicy pruskiéj nie przemysł niemiecki tamuje. Nie jesteśmy tak znowu upośledzoną rasą, aby nas samo zjawienie się zagranicznych przedsiębiorców mogło wytępić jak czerwonoskórych amerykańskich.

Jest naprzykład rzeczą zupełnie pewną, że napływ i osiedlanie się na piaskach mazowieckich i w Małopolsce biednych kolonistów i bogatych przedsiębiorców niemieckich nie wpłynęło bynajmniéj na fatalną zdrowotność i budowę fizyczną mieszkańców kraju naszego, która dała takie straszne liczby przy poborach do wojska. A tymczasem jest-to objaw gorszy niż wzrost jakiegokolwiek przemysłu w kraju. Jak będziemy mieli dosyć sił, to i Niemcy nas nie zmogą; jak tchu nam w piersiach zabraknie do życia, to od upadku nic nas nie uchroni . . . .

Wróćmy jeszcze do cyfr, świadczących o upadku naszego zdrowia i sił. Podane one zostały uwadze publicznéj akurat rok temu. Świéżo wyszedł był tom wydawnictw centralnego komitetu statystycznego i zawierał wiadomości, dotyczące rezultatu poborów wojskowych w całém państwie za lat dziesięć (od 1875 do 1885), jak również stanu fizycznego téj młodzieży, która została już wcieloną do szeregów. Wynik liczb był pognębiający,—pod każdym względem staliśmy na końcu w spisie gubernii. Jak armia, nie chcąca się poddać, probowaliśmy się zatrzymać na różnych pozycyach, bronić się wzbudzaniem wątpliwości—zewsząd wyrzucały nas nieubłagane, okrutne liczby. W prasie przebiegł jak gdyby jęk zgrozy i przerażenia. Tygodnik najgorętszego temperamentu i najpochopniejszy do wniosków, „*Głos*“, pisał wtedy na swoich szpaltach *mane, tekel, fares* dla naszéj rasy. Dowodził on wówczas, że to nie wynik ża-

dnych cząstkowych przyczyn, jak zły stan ekonomiczny, nie skutek wielkiéj przymieszki żydów, zwyrodniałych fizycznie w chederach i brudzie, lecz, konieczność jak gdyby dziejowa, któréj drobne, uboczne okoliczności ani wzmódz, ani zmniejszyć nie mają siły. Niegdyś w Galicyi zebrano analogiczne dane, okazało się, że stoimy niżéj od wszelkich innych narodów rzeszy rakuskiéj; wtedy tłómaczono to ubóstwem klasy najliczniejszéj. W Królestwie okoliczność ta miejsca nie ma; a zresztą i w saméj Galicyi powiaty rusińskie dały pomyślniejsze liczby, chociaż nędzy w nich nie brak. Z dziesięciu gubernii naszych najlepiéj przedstawia się gub. Suwalska, gdzie Polacy stanowią zaledwie 20,41% ludności. Daléj „Głos" zwraca uwagę, że w tych guberniach, gdzie mieszka większa ilość Niemców a nawet (w niektórych guberniach) żydów, jest wyższy procent ludzi zdrowych. Jak obecność jakiegoś pierwiastku w mieszaninie poznać można zaraz z linii widma świetlnego, tak obecność większéj liczby Polaków okazuje się nieuchronnie w fatalnym wzroście liczb, świadczących o fizyczném zwyrodnieniu. W gubernii kieleckiéj Polacy stanowią 90,40% ludności, w radomskiéj 84,46%, w łomżyńskiéj 84,02%, w kaliskiéj 82,88% (?) i te właśnie gubernie dają najgorsze cyfry. Przytoczywszy to wszystko, „Głos" tak kończył:

„W każdym razie nie jest to objaw miejscowy, ale dotyczy przeważnéj większości plemienia naszego. Objaw to stokroć ważniejszy niż wszelkie porażki polityczne, ważniejszy nawet niż sprawa utrzymania ziemi—chodzi tu już poprostu o życie nasze w dosłownem, powszedniém znaczeniu tego wyrazu. Z tém wyradzaniem się fizyczném idzie w parze wyjałowienie umysłowości naszéj. I nasuwa się pomimowoli złowieszcze, rozpaczliwe pytanie: jeżeli mamy zmarniéć, umrzéć jako rasa, to jaki cel mają wszystkie usiłowania, wszystkie prace nasze?"

Rzadko kto zapewne zgodził się z twierdzeniem tego rozpaczliwego wykrzyknika. Co jednak na razie można było mówić? Żadne rozumowanie nie zrównoważy cyfr, wszelkie wątpliwości, nie poparte danemi, wyciągniętemi z wielkiéj ilości faktów, mają siłę przekonywającą o wiele mniejszą niż liczby, mówiące toż samo we wszystkich pozycyach. Wykazanie nawet, że „Głos" wzmocnił jeszcze ponure światło statystyki poborowéj (1), nie wiele by pomogło, gdyż najsurowsza krytyka musiała by zostawić aż nadto wie-

(1) „Głos" w sprawozdaniu swojém uszeregował gubernie według procentu nieprzyjętych z powodu niskiego wzrostu i na téj tablicy opierał wnioski; to jest oczywiście błędem, gdyż ze stanowiska zdrowotności nietrzymanie miary na wysokość jest najmniejszą wadą; przytém procent za-niskich jest wszędzie bardzo mały.

le wyników, zdolnych do przerażenia nawet mało wrażliwych umysłów.

Kwestya jest palącą i nie wylęgła się z powietrza, można więc było spodziewać się, że krajoznawcy nasi (a mamy ich chyba, kiedy wydają własny organ „Wisłę“), zajmują się zebraniem materyału, potrzebnego do ostatecznego orzeczenia, czy należy przyjąć wyrok, wyciągnięty z cyfr statystyki urzędowéj, czy nie; czy jesteśmy rasą zwyrodniałą, czy téż możemy jeszcze żywić nadzieję bytu. Rzeczywiście rok ubiegł i znowu sprawa wzniesioną została przed forum opinii publicznéj. Pierwszy zabrał głos „Kraj“. Znajdujemy w nim, jak się spodziewać należało, nowe liczby. Dane statystyki urzędowéj nie zostały bynajmniéj podane w wątpliwość, autor zgadza się zupełnie z faktem, że jesteśmy wątlejsi i nędzniejsi, niż wschodni i zachodni sąsiedzi nasi, a tylko stara się powstrzymać przedwczesne *pessymistyczne* wywody o wyradzaniu się rasowém narodowości naszéj. Według niego, głównym (nie jedynym) czynnikiem naszego wynędznienia fizycznego jest zły stan ekonomiczny, bieda, która nie pozwala odżywiać się należycie głównéj masie ludności. Przytoczone cyfry dowodzą, że gospodarstwa chłopskie są zbyt szczupłe, za czém idzie obniżenie stopy życiowéj („*standard of life*“), zastąpienie lepszych pokarmów przez gorsze: pszenicy i żyta przez groch i kapustę, przedewszystkiém zaś przez kartofle. „Głos“ najlepszy stan zdrowotności gubernii suwalskiéj uważał za wynik najmniejszego procentu zamieszkałych w niéj Polaków, „Kraj“ zwraca uwagę, iż jest to gubernia najbogatsza. Na 19 gmin, dla których przeciętna ilość ziemi na osobę nie przechodzi 2 morgów (w całym kraju ta przeciętna równa się 1,6 morga, w całéj gub. Suwalskiéj = 2) znajdujemy w niéj 75 gmin, mających więcéj ziemi i 2 tylko gminy o ilości mniejszéj; natomiast 6 gmin dochodzi tu do maximum uposażenia gruntowego włościan w Królestwie. W téj samém gubernii suwalskiéj przeciętna osada włościańska (20 morgów, w całém Królestwie tylko 12) jest największą z pośród wszystkich; największym jest również procent ogólny gruntów włościańskich w stosunku do całéj przestrzeni rolnéj. „Głos“ zwracał uwagę, że najgorsze pod względem zdrowia gubernie, kielecką, radomską, łomżyńską, kaliską (błędne ułożenie z powodu złéj zasady—niskiego wzrostu), zaludnia największy procent Polaków. „Kraj“ twierdzi, że te gubernie są najuboższe. W kieleckiéj przeciętna osada wynosi 8 morgów, a na osobę przypada 1,3 morga; w radomskiéj—11 i 1,8; w łomżyńskiéj 13 i 1,8; w kaliskiéj 9 i 1,2.

Publicysta z „Kraju“ utrzymuje, że jakąkolwiek normę dla gospodarstwa włościańskiego przyjąćbyśmy chcieli, czy to obliczoną,

według przestrzeni dostatecznéj do utrzymania rodziny, czy też zastosowaną do sił roboczych tejże rodziny w kraju naszym, odpowiednio do jego warunków klimatycznych i do stanu techniki rolniczéj, wypadnie ją oznaczyć przeciętnie na 15—20 morgów. W Królestwie w r. 1871 osad włościańskich, liczących więcéj nad 15 morgów było około 200,000; stosunek ten jest o wiele pomyślniejszy, niż przy rozpatrywaniu gmin według przeciętnéj wielkości gospodarstwa w każdéj z nich. Wskazuje to na wielką ilość małorolnych i całkiem bezrolnych, skutkiem czego przeciętna ogólna znacznie się obniża. Jeśli zaś całą ludność i całe gminy brać pod uwagę, to okaże się (z tablicy w artykule przytoczonéj), że wymaganiom tylko co oznaczonym czyni zadość zaledwie 30 gmin na 929, czyli 3,02% ich ilości ogólnéj.

„Kraj“ z wywodów swoich nie wyprowadza ostatecznych wniosków, ani téż nie próbuje budować teoryi żadnéj; konsekwencye zestawienia dobrobytu ze zdrowiem nasuwają się same, pominąć liczb tych przy rozważaniu sprawy danéj było niepodobna, szkoda tylko, że cyfry nie są obfitsze, pełniejsze i wszechstronniejsze. Ponieważ statystyka poborowa przestrasza nas dlatego, iż dowodzi, że jesteśmy *słabsi*, należałoby wykazać, że jesteśmy równolegle *biedniejsi*, a więc potrzeba by było przytoczyć, jakiéj przestrzeni są grunta, posiadane przez sąsiadów naszych i czy rzeczywiście podział nieruchoméj własności jest w jakikolwiek sposób proporcyonalny do sił fizycznych i zdrowia.

„Głos“ z wielką skwapliwością i humorem wyśmiał liczby i wywody „Kraju“, a niepodpisanego autora wprost zelżył. Trudno zrozumieć doprawdy podobną taktykę. Jeżeli „Głos“ uważał tę sprawę za tak ważną, jak to pisał przed rokiem, to niewątpliwie musiał pożądać wzięcia jéj pod uwagę przez wszystkich. Takie zaś traktowanie rzeczy i ludzi „z góry“ z pewnością ani nie zachęci nikogo, ani przyczyni się do spokojnego omawiania kwestyi.

Zabrał głos także w bieżącym miesiącu w tejże sprawie „Pisarz Gazety Świątecznéj.“ Uważał on początkowo, że cała wrzawa, wszczęta z powodu liczb poborowych, do niczego wogóle nie prowadzi, byłby się téż sam nie odzywał, gdyby nie związano w sposób niewłaściwy i nieprawdziwy kwestyonaryusza „Gazety“ („Jak my się żywimy?“) z wnioskami innych pism. Niestety, z przykrością powiedzieć musimy, że „Pisarz Gazety Świątecznéj“ sprawy zupełnie nie znał, gdyż zdaje mu się, że przyczyną wrzawy były liczby z jednego roku 1885. Aby więc je zbić, przytacza dane z poboru, przeprowadzonego w r. 1876, które znowu mają dowodzić, że Polacy są najzdrowsi. Autor nie wskazuje wcale źródła, z którego zaczerpnął

taką wiadomość, nie ma więc ona przez to żadnéj poważnéj wartości. Pomimo to sądzimy, iż zdanie takiego gruntownego znawcy ogromnéj większości naszego społeczeństwa ma swoją wagę, a twierdzi on, że owe niby zwyrodnienie ludu jest rzeczą nieprawdziwą i urojoną.

Do „Gazety Rzemieślniczéj“ zwrócił się p. Stanisław Skibiński z listem, w którym proponuje założenie przy tejże gazecie „Dodatku dla ślusarzy.“ Dodatek ten—według myśli projektodawcy — powinien być redagowany praktycznie, pomijać wyższą matematykę, a opierać na doświadczeniu, na jasno i zrozumiale sformułowanych tabelach, określonych dowodzeniami w cyfrach, oraz wykreśleniami. Będąc zaś takim, tworzyłby w pewnych razach podręcznik dla każdego zrozumiały i łatwo dający się zużytkować. Dodatek prócz tego powinien zawierać statystyczne dane o fabrykach i przedsiębiorstwach w kraju i Cesarstwie, gdzie i jakie roboty się rozpoczynają, a tém samém powiadamiać czytelników o drogach, na których mogli by znaleść pracę i środki do życia. To „dałoby możność krajowcowi stanąć do konkurencyi z zagranicznymi rzemieślnikami.“ Wreszcie, w „Dodatku“ winny być rozwiązywane kwestye społeczne, tyczące się rękodzielnictwa krajowego.

Autor listu zwraca się do współtowarzyszów pracy i do prasy, wzywa pierwszych do czynnego, drugą do słownego poparcia jego zamiaru. Pan S. wykazuje, że wszędzie na zachodzie istnieją instytucye, pomagające robotnikom zarówno w pracy jak i w wynalezieniu zarobku. U nas nic podobnego nie ma, to téż w jednym miejscu ludzie chętni i zdolni do pracy mrą z głodu, w drugim brak jest robotników. Jeżeli rzemieślnicy złączą się na drodze prowadzącéj do oświaty, to jednocześnie będą mogli załatwić wiele palących w ich życiu potrzeb.

„Gazeta Rzemieślnicza“ uznała myśl p. Skibińskiego za bardzo trafną i godną urzeczywistnienia, porozumiała się ze specyalistami, wzywa więc ślusarzy do zapisywania się na prenumeratorów. Jeżeli do *20-go listopada* zapisze się 300 przedpłacicieli, „Dodatek“ zacznie wychodzić już od 1-go grudnia. Gdyby inne rzemiosła zapragnęły posiadać własne „dodatki“, „Gazeta“ każdemu zapewnia swą pomoc.

Nie wątpimy, że dobra myśl p. Skibińskiego wywoła gorące poparcie. Jeżeli wśród naszych czytelników znajdzie się ślusarz, to mu szczerze radzimy zapisać się jak najprędzéj na listę prenumeratorów „Dodatku“; w każdym razie życzymy przedsiębiorstwu jak największego powodzenia. *Ludwik Straszewicz.*

NEKROLOGIA.

† **Mikołaj Akielewicz** urodził się w Kownie roku 1830, kształcił się w szkołach miejscowych a następnie w uniwersytecie moskiewskim. Między 1850—1860 r. mieszkał w Wilnie i stąd pisywał do „Gazety Warszawskiéj" pod pseudonimem Agricoli lub Chłopa maryampolskiego korespondencye, które budziły niezwykle żywy interes zarówno treścią odnoszącą się do położenia wieśniaków na Litwie i Żmudzi, jak i obrobieniem. Gorliwie zajmując się sprawą rozkrzewienia oświaty wśród ludności litewskiéj, w czasie poruszenia kwestyi wyzwolenia włościan ułożył „Elementarz dla chłopów" (Wilno 1860, tłómaczony na litewski), „Wykład modlitwy pańskiéj" (tże t. r. po litewsku), „Kwestarz jeżdżąc po Litwie naucza" (tże t. r. po litewsku). Jako filolog badał mitologię litewską, a jedna z prac jego o „bogach litewskich", prostująca zapatrywania Lelewela, dołączona została do V-go tomu dzieł tego autora. W rękopiśmie zostawił Słownik litewsko-polski, opatrzony porównaniami z językiem słowiańskim, greckim, gockim, łacińskim i sanskryckim, oraz „Geografią dawnéj Litwy." Po r. 1863 przeniósł się do Paryża, skąd pisywał korespondencye do „Gazety Warszawskiéj", „Wieku" i „Kuryera Warszawskiego", a także pomieszczał prace swoje w pismach litewskich „Auszre", „Gazieta Lietuwiszka." W „Kraju" petersburskim drukował rzecz „O znaczeniu Kurszata dla języka litewskiego." W 1886 wydał pod pseudonimem Vytantas'a broszurę p. t. „Rzut oka na starożytność narodu liewskiego." Kiedy w ostatnich latach powstało w Paryżu towarzystwo litewskie pod nazwą „Żelmna", powołany został Akielewicz na jego prezesa; kierował niém nie w duchu wyłączności litewskiéj. Zmarł w ostatnich dniach września r. b. w Paryżu.

† **Stefan Ludwik Kuczyński** urodził się we Lwowie 13 sierpnia 1811 r. i tu ukończył zarówno gimnazyalne jak uniwersyteckie nauki, przeszedłszy studya filozoficzne i prawne. Był następnie przez dwa lata adjunktem wydziału filozoficzno-matematycznego, a w roku

1835 otrzymał stopień doktora filozofii. Dawszy się poznać z kilku rozpraw w języku polskim i niemieckim, powołany został r. 1836 na katedrę fizyki i matematyki stosunków do uniwersytetu w Innsbrucku, gdzie zostawał do r. 1839, kiedy go uniwersytet jagieloński na katedrę fizyki wezwał. Objąwszy ją, był na niéj czynnym przez lat 45, to jest do r. 1884, w którym dla słabości zdrowia usunąć się musiał, by spocząć po tak długiéj i chlubnie spełnianéj pracy. Mimo licznych zajęć i ogłaszania prac naukowych, Kuczyński chętnie podejmował się bezinteresownego pełnienia posług obywatelskich; od r. 1840 do 1847 był bezpłatnym dyrektorem ówczesnego liceum św. Anny, oraz kuratorem wszystkich zakładów naukowych wolnego miasta Krakowa i jego okręgu; od roku 1840 był członkiem czynnym Krakowskiego Towarzystwa naukowego; a kiedy nastąpiła zamiana tegoż na Akademią Umiejętności w roku 1872, pozostał czynnym członkiem téj instytucyi i sekretarzem 3-go jéj wydziału aż do śmierci. Nadto od r. 1847 był członkiem czynnym galicyjskiego towarzystwa gospodarczego; od r. 1868 członkiem komisyi egzaminacyjnéj kandydatów stanu nauczycielskiego, a od roku 1872 do 1876 radcą miasta Krakowa. Jako profesor odznaczał się jasnym, gruntownym i pociągającym wykładem, a w najtrudniejszych okolicznościach i kolizyach stał zawsze wytrwale w obronie godności uniwersytetu. Ważniejsze jego prace naukowe są: „Anleitung zur Construirung und Conservirung der Blitzableiter“ 1838, „O undulacyach światła“ 1842, „O sile magnetycznéj ziemi“ 1847, „Gabinet fizyczny w Krakowie“ 1864, „Plan prac sekcyi meteorologicznéj“ 1867, „Pierwiastki siły ziemskiéj magnetycznéj w Krakowie“ 1870, „Przyczynek do teoryi soczewek“ 1872, „Przyrząd do unaoczniania linii falistych złożonych, powstałych wskutku interferencyi fal poprzecznych“ 1872, „O sposobie użycia soczewek dwuwypukłych grubych zamiast szkieł jednobarwnych“ 1872. Zmarł zasłużony i zacny profesor w Krakowie 8 października.

† **Leon Cienkowski** urodził się w Warszawie r. 1823; wykształcenie średnie otrzymał tamże, uniwersyteckie w Petersburgu, gdzie się oddał specyalnym studyom nad naukami przyrodniczemi. W roku 1846 za rozprawę „Kilka faktów z historyi roślin szyszkowych“ otrzymał stopień magistra. Kiedy Akademia Nauk wysyłała Jana Kowalewskiego do Egiptu celem poszukiwania piasku złotodajnego, Cienkowski dodany mu do pomocy, studyował tameczną faunę i florę. Powróciwszy został nauczycielem w liceum Demidowa w Jarosławiu. W r. 1850 otrzymał stopień doktora i katedrę botaniki w uniwersytecie petersburskim, którą zajmował lat kilka. W tym czasie ogłosił rozprawę „Zur Befruchtung des juniperus communis“

(Moskwa, 1853). Około r. 1860 wyjechał do Drezna. W roku 1862 otrzymał katedrę botaniki w Szkole Głównéj i figurował w spisach lekcyi jako nominat przez lat dwa, ale wykładów wcale nie miał. W roku 1870 powołany został na katedrę botaniki do uniwersytetu odeskiego; był tu lat 6, poczém przeszedł do uniwersytetu w Charkowie. Dotknięty ciężką chorobą żołądkową, szukał pomocy u lekarzy wiedeńskich. Spowinowacony z nim profesor konserwatoryum lipskiego skrzypek Brodzki, zabrał go do siebie dla lepszego nadzoru. W Lipsku tedy, w szpitalu miejskim zakończył życie 8-go października znany i w Europie uczony przyrodnik, zajmujący się głównie niższemi organizmami. Prace jego pomieszczane były głównie w „Archiv" Schultzego, w „Jahrbücher" Pringsheima, w „Botanische Zeitung" i w „Mémoires de l'Académie." Po polsku drukował tylko opis podróży swojéj po Afryce w „Gazecie Warszawskiéj" r. 1856.

† **Józef Kasznica** urodził się r. 1834 w Dynowie w Galicyi. Ukończywszy wykształcenie średnie w Rzeszowie i Krakowie, poświęcił się nauce prawa w uniwersytecie jagielońskim, gdzie się zetknął z całym zastępem zdolnéj młodzieży, która miała niebawem odznaczyć się w literaturze i życiu społeczném. Stopień doktora praw otrzymał w uniwersytecie wiedeńskim po publicznéj w dniu 5 marca 1860 r. obronie tez prawniczych i politycznych: „Sätze aus allen Zweigen des Rechts- und Staats-Wissenschaften" (Wiedeń, str. 11). Związany węzłami przyjaźni z rodziną Popielów, dał się poznać sferom wpływowym w r. 1861 i pozyskał katedrę encyklopedyi nauk prawnych a następnie katedrę prawa kanonicznego w nowozałożonéj r. 1862 Szkole Głównéj w Warszawie. Jasnością wykładu, gruntowną nauką, uprzejmością i serdecznością umiał sobie pozyskać szacunek i miłość studentów, którzy nawet w razie, gdy się nie zgadzali na poglądy profesora, silnie konserwatyzmem zabarwione, potrafili ocenić szczerość przekonań i zacność charakteru. Od roku 1876 aż do r. 1886 sprawował on obok obowiązków wykładającego także obowiązki dziekana wydziału prawa i na tém stanowisku wiele robił dla studentów dobrego. Powołany do Lwowa na katedrę prawa kanonicznego, opuścił Warszawę, do któréj się przywiązał i w któréj życiu bardzo czynny brał udział. Odwiedził ją w tym krótkim czasie dwukrotnie. Na zjeździe prawników w Krakowie we wrześniu r. b. znajdował się i głos zabierał. Z Krakowa przybył do Warszawy, gdzie go serdecznie przyjęto. Po powrocie do Lwowa zachorował i w dniu 7 października żyć przestał. Poświęciwszy się wykładom, które prowadził z pamięci, rzadko kiedy posługując się notatkami piśmiennemi, mało ogłosił pism obszerniejszych, cho-

ciaż w sprawach ogólnych głos nieraz publicznie zabierał i odczyty chętnie wygłaszał. Z broszur i artykułów następne zanotować należy: 1) „O pojęciu i systemie nauk społecznych“ (Warsz. 1870, str. 26); 2) „Kilka słów o znaczeniu prawa w społeczeństwie“; 3) „O stosunku prawoznawstwa do innych nauk“ (Warszawa 1875, str. 26); 4) „O wyrazie socyologia (Warsz. 1874, str. 8); 5) „Kilka uwag z powodu niektórych pism filozoficzno-prawnych wydanych w ostatnich latach“ (Warsz. 1874, str. 64); 6) „Wyobrażenie ludowe o prawie i prawo zwyczajowe“; 7) „Zasady i polityka“; 8) „Pius IX wpośród dziejów“; 9) „O chorobach społecznych“ (Warsz. 1880); 10) „Na politycznéj niwie“. W języku rosyjskim dla pozyskania stopnia doktora w Cesarstwie, wymaganego od profesorów Szkoły Głównéj przy jéj przekształceniu na uniwersytet, napisał r. 1872 rozprawę: „O suszcznosti prawa“ (Warsz. str. 197).

† **Władysław Bentkowski**, syn znanego profesora i historyka literatury Feliksa i Emilii z Zejdlerów urodził się w Warszawie 24 września r. 1817 i tu otrzymał początkowe ukształcenie. Uniwersytet ukończył na wydziale prawa w Królewcu. Wróciwszy do kraju urzędował czas jakiś jako asesor prokuratoryi jeneralnéj Królestwa Polskiego. Niebawem jednak złożywszy urząd, zamieszkał na wsi, a w r. 1843 osiadł w W. ks. Poznańskiém, gdzie oddał się służbie wojskowéj i ukończył akademią wojenną w Berlinie. Lecz w tym zawodzie nie wytrwał; zamieszkał w Poznaniu i brał udział w życiu naukowo-literackiém tak silnie naówczas tam pulsującém. W r. 1849 bił się w powstaniu węgierskiém, za co następnie został w Prusach skazany na zamknięcie w twierdzy magdeburskiéj. Uwolniony redagował wspólnie z A. Rosem od 3 lipca 1850 do 28 grudnia 1851 dziennik polityczny p. t. „Goniec polski“. Nieposzlakowanym i niezgiętym charakterem i duchem poświęcenia pozyskał ufność współobywateli wielkopolskich i był kilkakrotnie wybierany od r. 1852 na posła do sejmu pruskiego, gdzie wraz z Niegolewskim i Libeltem dzielnie bronił praw narodowości polskiéj. W r. 1868 po śmierci serdecznego przyjaciela Hipolita Cegielskiego, objął zarząd pozostałéj po nim wielkiéj fabryki maszyn i narzędzi rolniczych aż do dojścia do pełnoletności Stefana Cegielskiego. W ostatnich latach pomimo słabego zdrowia, obrany prezesem wydziału historycznego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk poznańskiém, spełniał gorliwie obowiązki przewodniczącego. Zmarł w Poznaniu 2 października. Oprócz wielu artykułów pomieszczanych w czasopismach poznańskich i warszawskich (mianowicie w „Przeglądzie Naukowym“) ogłosił Bentkowski: 1) rozprawę napisaną na temat zadany przez Towarzystwo Jabłonowskiego w Lipsku o sejmach polskich: „Vicissitudines comitiorum in Po-

lonia sub regibus stirpis Jagellonicae habitorum." (Lipsk, 1839 w 4-ce str. 132); 2) memoryał spowodowany żądaniem ministeryum pruskiego, które zarzut umyślnego kaleczenia języka polskiego przez Władzę uważając za gołosłowny, zażądało dowodów: „Sprawa polszczyzny w urzędowych ogłoszeniach W. ks. Poznańskiego pod sąd filologów oddana" (Poznań 1858, str. 113); 3) artykuły dotyczące wojskowości w wielkiéj Encyklopedyi Orgelbranda; 4) Pamiętniki z czasu wojny węgierskiéj r. 1849, drukowane w „Kraju" 1885 r. Prócz tego przełożył on i ogłosił drukiem dwa tomy „Dziejów Anglii" Macaulaya. Odznaczały go oprócz charakteru dzielnego wielostronna wiedza, nadzwyczajny dar przekonywania, bezprzykładna bezinteresowność, gorliwość w sprawach narodowych.

† **Bibianna Moraczewska** urodziła się we wsi Zielądkowie powiecie Obornickim w W. ks. Poznańskiém r. 1811 z ojca Tomasza, matki Józefy z Kierskich. Była siostrą młodszą znanego historyka Jędrzeja; z nim razem oraz z drugim bratem Romanem kształciła się gorliwie w domu, odznaczając się wyborną pamięcią i bystrością spostrzegawczą. W r. 1842 przeniósłszy się wraz z Jędrzejem na stałe mieszkanie do Poznania, rozpoczęła działalność swoją literacką spółpracownictwem w „Dzienniku domowym", wychodzącym od r. 1840—1847 pod redakcyą Napoleona Kamieńskiego; pomieściła tu kilka powieści, z których dwie szczególniéj: „Ojciec Cyryl profosem" i „Przygoda Madalińskiego" zwróciły na autorkę bliższą uwagę. Należała ona do grona entuzyastek ówczesnych i serdecznemi stosunkami połączona była ze znakomitą poetką naszą Narcyzą Żmichowską (Gabryelą). W domu Moraczewskich kupiło się życie duchowe owego czasu, tu się spotykało wszystkich, co się pracą dla dobra ogółu wybili na wierzch, Władysława Bentkowskiego, Karola Libelta, Edwarda Dembowskiego, Lucyana Siemieńskiego i innych. W 1846 i 1848 wraz z panną Emilią Szczaniecką pielęgnowała w lazaretach ofiary boju z Prusakami. Po dopełnieniu tego bolesnego obowiązku wróciła do Poznania i zajęła się popularném opracowaniem dziejów kraju, wydając naprzód dziełko p. n. „Co się stało w Polsce od pierwszego jéj rozbioru aż do końca wojen za cesarza Napoleona" (Poznań, 1850, str. 143), a potém drugie, obszerniejsze p. t. „Co się działo w Polsce od samego początku aż do pierwszego rozbioru kraju" (Poznań, 1852, str. 349). Śmierć brata Jędrzeja r. 1855 była ciężkim dla niéj ciosem; ale jéj nie złamała tylko dodała bodźca do tém gorliwszéj pracy. Artykułami swemi zasilała: „Przegląd rzeczy polskich", „Głos polski", „Dziennik Poznański", „Dwutygodnik dla kobiet". W r. 1859 ogłosiła dwutomową powieść p. n. „Dwóch rodzonych braci". Od r. 1871 kiedy w Po-

znaniu założone zostało Towarzystwo pomocy naukowéj dla dziewcząt polskich, zajęła się z niezmordowaną gorliwością sprawami téj ważnéj instytucyi i aż do ostatniéj chwili życia w niéj wytrwała. Śmierć długoletniego przyjaciela Władysława Bentkowskiego podziałała na nią bardzo boleśnie; w cztery dni zaledwie potém i ona rostała się z światem 6 października. Przytomna do ostatniéj godziny, z pewnym humorem mówiła o zbliżającym się kresie życia: „Wszystko się na świecie kończy, skończyło się i z Bibianną Moraczewską“ powiedziała, robiąc aluzyę do sędziwego wieku swojego. Przed laty Żmichowska napisała o swéj przyjaciółce Bibiannie: Ona „wyobrażała mi kobietę najzdolniejszą do przeprowadzenia w rzeczywistość wszystkich kobiecych o niepodległości marzeń. Ona jedna mogła stanąć tak silnie, że jéj boleść nie zachwiała, tak wysoko, że jéj śmieszność nie dosięgła; a tak pięknie i bezpiecznie, że aż innym z nią razem stanąćby się chciało.“ Odwagą, siłą przekonania, przykładem zdziałała ona może więcéj niż gdyby nadzwyczajnym talentem twórczym błyszczała. Wpływy jéj były ciche, ale skuteczne.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Października 1887 r.

---

1. **Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem.** Studyum ekonomiczne *D-ra Janżuła* prof. uniw. moskiews. Nakładem „Kraju". Petersb. 1887, 8-o, str. 86.
2. *Michał Synoradzki.* **Szaraczki.** Powieść staroszlachecka. Warsz. nakł. „Biblioteki romansów i powieści". 1887, 8-o, str. 130.
3. **Flisak.** Powieść oryginalnie napisana przez *Koralinę.* Warsz. nakł. „Biblioteki rom. i pow." 1887, 8-o, str. 88.
4. *T. M. Dostojewski.* **Zbrodnia i kara.** Romans w sześciu częściach z epilogiem. Z upoważnienia spadkobierców autora przełożył *Bolesław Londyński.* Warsz. nakł. „Bibl. rom. i pow." 8-o T. I str. 294, tom II, str. 290.
5. **Opisanje knig i aktow litowskoj mietryki.** Sostawił mietrykant *S. L. Ptaszycki.* Petersb. 1887. 8-o, str. 280.
6. *Klemens Junosza.* **Przez różowe szkiełka.** Powieść. Warsz, nakł. „Bibl. romans. i pow.", 1887. 8-o, str. 153.
7. **Nowe tajemnice Warszawy.** Romans obyczajowy w trzech tomach oryginalnie napisany przez *Adolfa Dygasińskiego.* Warsz. nakł. „Bibl romans. i pow." 1887, 8-o. Tom I: Z pod ciemnej gwiazdy, str. 219; T. II: Upośledzeni i wybrani, str. 226.
8. **Teściowa moje utrapienie**, powieść humorystyczna. Z amerykańskiego umożliwił *Bruno Las*, illustracje po swojemu skopjował *Stefan Mucharski.* Warsz. nakł. „Bibl. rom. i pow." 8-o, str. 63 + VIII str. ogłoszeń.
9. **Przyczynek do etnografii ludu ruskiego** na Wołyniu. Z materyjałów zebranych przez *P. Zofiję Rokossowską* we wsi Jurkowszczyźnie w powiecie Zwiahelskim opacował *Prof. D-r I. Kopernicki.* Krak. 1887, 4-o, str. 99 (odbitka z tomu XI Zbioru wiadom. Komisyi antropol. Akad. Umiej.).
10. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego, Władysława Walewskiego.* Według planu Filipa Sulimierskiego. Tom VIII, zeszyt 94. od str. 721—800 (*Połockie—Popowice*).
11. **Sprawozdania meteorologiczne** za miesiąc Styczeń 1887 r. (wyd. Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przem. i handlu. Sekcja II.). Warsz. 1887, 4-o, str. 16.
12. *T. Flinzer.* **Metoda nauki rysunku**, oparta na zasadach naukowych. z 43 rysunkami w tekście i 26 litografowanemi tablicami. Przekład dokonany staraniem Redakcyi „Przeglądu Pedagogicznego". Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki. 1887, 8-o, str. 198 i II.
13. **Nieszczęśliwi.** Obrazki na tle codziennego życia skreślił *J. K. Maćkowski*, Serya I (cztery obrazki). Lwów, w księg. K. Łukaszewicza, 1887. 8-o, kart nlb. 4 i str. 139.
14. *C. Lombroso.* **Geniusz i obłąkanie** w związku z medycyną sądową krytyką i historyą przełożył *J. L. Popławski.* (Wydawnictwo. imienia T. T. Jeża). Warsz. (w księg. Gebethnera) 1887, 8-o str 367 i 9 tablic litogr. (Cena rs. 2 kop. 60.)
15. **Życie kobiety.** Listy o hygienie kobiecego organizmu. Przez *D-ra Adolfa Bagińskyego*, docenta uniwers. berlińs. Z najnowszego wydania niemieckiego przełożyli *Ad. W.* i *Ed. G.* Warszawa nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1888, 8-o, str. 179.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Октября 1887 г.